

**Jonas Philippe de**

**Dom "Pod Koszem z Kwiatami"**

Nie omieszkajcie odwiedzić małej, dwupiętrowej willi, zbudowanej z cegły i piaskowca w stylu, jaki cieszył się powodzeniem wśród średniej burżuazji z początku wieku. Zdobí ją mała pseudogotycka wieżyczka, na froncie klomb z kwiatami, z tyłu rozciąga się angielski ogród.

Niełatwo na pierwszy rzut oka odróżnić ją od podobnych, wspinających się po zboczu Saint-Cloud niemal aż do ogrodzenia parku. Na szczęście jednak na kracie, która ogradza ową willę od ulicy, widnieje ceramiczna tabliczka z wyrytym napisem „Pod Koszem z Kwiatami”.

Dziś prawie całkowicie zasłania ją bujny bluszcz. Może to i lepiej, gdyż w ten sposób dom broni się przed wścibską ciekawością przechodniów, za przyczyną których mogłyby odżyć ponure wydarzenia. A tak, otrząsnąwszy się ze swej niechlubnej przeszłości i odzyskawszy spokój, willa cieszy się dziś nowymi lokatorami, którzy nie podejrzewają nawet, jak żalosnych mieli poprzedników.

Gdy po przeczytaniu tej książki przechodząc tędy znajdziecie ceramiczną tabliczkę, zachowajcie dyskrecję i zadowolcie się jedynie przelotnym spojrzeniem. Zresztą nic tam nie ma do zobaczenia— jak mówią funkcjonariusze policji. Osobliwa jest jedynie historia domu, zapomniana niemalże przez wszystkich mieszkańców Saint-Cloud, z wyjątkiem komisarza policji.

Z ulgą odłożywszy ad acta sprawę domu „Pod Koszem z Kwiatami”, z wielu powodów, tak osobistych, jak i w obawie o zdrowie psychiczne, nie pragnie do niej

powracać. Nie kaźcie mu więc sięgać po dokumentację do kasy pancерnej. I nie zadawajcie żadnych pytań. Nie oczekujcie też wiele od młodego, nowoczesnego wikarego: ściągnie wąskie usta, nakreśli znak krzyża, może uśmiechnie się blado i ze słowami pożegnania oddali się pospiesznie. Diabelskie sprawy to nie jego domena. Bóg owszem, gdy się bardzo nalega.

Właściciel kawiarni zagadnięty na ten temat uda, że nie słyszał pytania, zajęty ścieraniem ze stolika jakiejś nie dającej się usunąć plamy. A na powtórne pytanie odpowie: „Razem 12 franków i 15 centymów”.

W ten właśnie sposób Saint-Cloud broni się przed niemiłymi wspomnieniami. A pył zapomnienia pokrywa już dawno raporty i protokoły tej niecodziennej sprawy: Ci, którzy byli w nią zamieszani, nigdy o tym nie Wspominają i wolą nawet nie myśleć.

Kto zresztą uwierzyłby w historię, raczej niezbyt miłą, która kwestionuje najświętsze wartości?

Czytelnik zapewne zdziwi się, że narrator zdaje się dawać jej wiarę, i zapyta nie bez pewnej zuchwałości, jakież to demiurg zdecydował, że ten nie wyróżniający się niczym dom i tak przeciętna rodzina jak Bordineau znalazły się nagle w karuzeli przedziwnych, a zarazem nieprzyzwoitych wypadków. A to słuszne pytanie pociągnie za sobą wiele innych. Na przykład:

-r- Skoro element fantastyczny musi od czasu do czasu pojawić się na scenie, pokonując kurtynę, to dlaczego nie wybierze w tym celu któregoś ze słynnych teatrów?

— Czy dlatego woli niewyszukane miejsca i przeciętnych ludzi, by przez kontrast osiągnąć lepszy efekt?

— Czy jego pojawienie się w danym miejscu jest kwestią przypadku, czy też rządzą nim jakieś wpływy telluryczne bądź dawne przekleństwa, które sprawiają, że pewne miejsca stają się nań bardziej podatne, jakby przepuszczalne?

— Czy przyciągają go może pełne rys i zakamarków czeluście mózgu, udzielające gościny wybrykom?

W tym miejscu wypada napomknąć, że absolwenci szkół technicznych nie widują nigdy UFO, podobnie jak księżom me objawia się Matka Boska.

— Czy rozgrywa on swoje przedstawienia na przyniesionym przez siebie ekranie, który zwinięty zabiera z powrotem, gdy dopełni się ostatni akt, tak że w końcu jego widzowie wypatrują go nawet we wzorach obić ściennych salonu, zaczynają wątpić we własne zmysły, w jedność wszechświata i z obawą spoglądają w lustra?

— I, za przeproszeniem, za czyją zgodą to wszystko?

— Czy przyświeca temu jakiś cel moralny?

— A może chodzi w tym wszystkim o przynajmniej częściowe ograniczenie dumy kleru?

— Może ktoś się po prostu zabawia? A w takim przypadku, gdzie kończy się zabawa i gdzie zaczyna złośliwość?

Można tak balansować między wszystkimi tymi hipotezami. Niektóre z nich opierają się na wierze w jakieś byty wyższe, inne w istnienie równoległych światów i czarnych dziur, może jeszcze z różową obwódką.

W rzeczywistości jednak dla nieszczęsnych ofiar dramatu, który tu zostanie opowiedziany, i tak „wszystko sprowadza się do jednego”, jak to wyraził pewien człowiek spadając z czternastego piętra, któremu pęd powietrza zarzucił marynarkę na głowę.

## **Anna**

Anna mocno Skrzyżowała ręce na małych piersiach, usiłując przepędzić z głowy brzydkie myśli. Zaledwie wyciągnęła się w swoim dziecięcym łóżeczku — tym samym, które kupili jej rodzice, gdy tylko wyszła z pieluch, a które dla trzynastoletniej dziewczynki było już ciut przyciasne — myśli powracały uporczywie, wślizgując się w obojętne rozważania o wydarzeniach szkolnych, Natarczywie niczym małe diabełki, ukazujące swoje czerwone pośladki przerażonym pielgrzymom w tle obrazów holenderskich mistyków. Katecheta chętnie posługiwał się nimi w klasie dla zilustrowania swoich nauk o piekle.

— Brzydkie myśli — podkreślał kajadz — należy wypędzać, gdyż przez nie dusza wędnie.

Anna obawiała się tego w nie mniejszym stopniu niż jej siostra o swą cerę, której pozbawienie świeżości powoduje przecież jedynie utratę powodzenia u . mężczyzn. A czymże to jest wobec łez aniołów!

— Kiedy grzeszysz przeciwko czystości, Anno, choćby tylko w myślach, na twojej duszy za każdym razem tworzy się nowa zmarszczka. I gładkie czoło albo różowe policzki będą. jedynie maską twojej prawdziwej twarzy, która upodabnia się do pośladków Lucyfera, jeżeli nie walczysz z pokusą. I tak ilustrując swe słowa niderlandzką sztuką malarską, wybitny katecheta przekonywał, jak bardzo przykra byłaby ta maska.

— Pamiętaj, Anno — kontynuował ksiądz Florian —

że miłość i czystość idą w parze. Jedynie czystym sercom dane jest poznać miłość Maryi, która wciąż szuka cię, zsyłając z nieba promienie swych łask, czuła, ale też wymagająca. Niech więc nie przesłoni cię cień grzechu, aby Jej miłość nie odwróciła się od ciebie, a twoje serce pozbawione Jej ciepła nie popadło w rozpacz.

Słowa księdza pobudzały gorliwość Anny, która będąc w wieku, kiedy rodzą się namiętności, przenosiła wszystkie swe uczucia na Madonnę, zachowując postawę adoracji i lęku. Bała się, by jej dusza nie pogrążyła się w mroku. Toteż teraz, krzyżując ręce na piersiach, starała się trzymać je w górnej partii ciała, gdzie, jak sądziła, demon bywa mniej natarczywy.

Koleżanki z klasy wyśmiewały się z jej purytanskich zasad. Te młode świntuchy nie uznawały żadnych świętości, a słowo „pozwolenie” było dla nich pozbawione sensu, skoro tylko zorientowały się, że przed nikim nie muszą się z niczego tłumaczyć ani pytać o zgodę.

Anna wzdychała myśląc o swych rozpustnych, skazanych na potępienie towarzyszkach, które nie mogąc doczekać się rozkoszy, jaką daje obcowanie z chłopcami, dostarczały swemu ciału wszelkiej przyjemności, która, przyznajmy, nie jest tak mała, jak zwykle się sądzić. Jej siła może bowiem zniewolić na zawsze wiele z tych osób, dla których przyszłe małżeńskie kontakty nie okażą się równie atrakcyjne.

Anna odczuwała na przemian to litość dla tych zagubionych istot, to znów wstręt. Wyrzucała sobie uczucie zazdrości, które dręczyło ją na myśl o ich wolności i rajskich rozkoszach, jakich musiały zaznawać za cenę swych dusz.

Skruszona, natychmiast zaczynała się modlić za swe towarzyszki, o ich poprawę. W duchu przekonana była, że Madonna i tak zawsze łaskawiej patrzyć będzie na nią niż na te zepsute grzesznice.

— Mylisz się, Anno — rozczarował ją spowiednik — Chrystus powiedział przecież, że grzesznik, który okaże

skruchę, wejdzie przed sprawiedliwymi do Królestwa Niebieskiego. Setki razy powtarzał w swoich parabolach: syn marnotrawny, zagubiona owieczka, dla której pasterz zostawia swoją trzodę, robotnik, którego zaangażowano w ostatniej godzinie, i tym podobne.

Słowa te powróciły do Anny przed sneM i wzbudziły w niej taki niepokój moralny, jaki poprzedza rezygnację. Dlaczego tak boleśnie walczyć z pokusą, skoro Chrystus łaskawym spojrzeniem obejmuje właśnie tych, którzy popadli w grzech. Jest niewątpliwe, że Chrystus, będąc człowiekiem, jak wszyscy jemu podobni nie jest ani pewny, ani stanowczy w swych postanowieniach.

Maryja Dziewica nie jest aż tak usłużna, jak by się wydawało. Można spokojnie spać na jej sercu, bez obawy, że jakaś lokatorka bez rekomendacji zajmie nasze miejsce. Pokusa, by pójść za paradoksalną filozofią Chrystusa, która zdawała się; zalecać grzech, by następnie prosić o przebaczenie, była silna. Uzyskanie zaś przebaczenia wydawało się Annie błahostką, acz niezbyt konsekwentną. Wzburzona, ale nie pokonana Anna odrzuciła te nieprzystojne myśli, odkładając ich analizę na później. Wyznaczyła sobie datę: miał to być dzień przeprowadzki jej rodziny do nowego domu w Saint-Cloud. Wówczas, leżąc w swoim nowym łóżku — gdyż zamówiono dla niej ten mebel, lepiej przystosowany do jej wieku, wyściełany różową tkaniną z Jouy — podejmie decyzję, czy ma przestrzegać wskazówek Chrystusa i Jego Matki, czy nie.

Póki co pozostała z rękami złożonymi na piersiach.

W takiej pozycji zastała ją mama, kiedy przyszła pocałować córkę na dobranoc, a że jak wszystkie bigotki wszę-dzierwiotrzyła zło, z pewną podejrzliwością potraktowała tę na pozór niewinną pozycję córki. Sama wychowywana była w jansenistycznej pogardzie dla ciała, a jej wrodzona oziębłość znacznie ją spotęgowała. Młodsza córka była dla niej pociechą. Pociechą po rozczarowaniach, jakich do-

starczała jej starsza latorośl. Wszak modliła się gorliwie i wytrwale<sup>^</sup>by jej dziecku oszczędzone zostały te nieczyste praktyki, jakim z upodohaniem oddawały się jej dorastające rówieśniczki. Jednakże niewytłumaczalna siła przyciągania rze|^y zakazanych sprawiała, iż pomimo tylu świec zapalonych na jej intencję Katarzyna, nie mając nawet szesnastu lat, dała się ponieść tej modzie i ośmielała się nawet przyprowadzać do domu swych kolejnych chłopców i, jakby już byli po ślubie, całowała ich i pieściła na oczach zrezygnowanej rodziny.

Matkę nie tyle bulwersowały te jawne postęпки dziewczyny, ile jej przyznanie się do o wiele nikczemniejszych praktyk, do jakich się skłaniała. Wywoływały one uczucie podłości i nieczystości. Mniejszą wagę przykładła do cynicznych wybryków swego syna, ucznia ostatniej klasy w liceum w Villejuif. Wręcz przeciwnie, traktowała je jako odegranie się na wszystkich plotkarkach za wstyd, jaki przynosiły jej rodzajowi.

Westchnęła przyglądając się niewinnej pozycji Anny, która być może spała — lub udawała, że\* śpi, aby uniknąć wieczornych modlitw, którymi zameczała ją matka.

Pani Bordineau odetchnęła z ulgą, liczyła bowiem na to, że jej młodsza córka, wychowana w pobożności, kierująca się duchem ofiarności, wytrwa w postawie czystości, a osiągnąwszy osiemnaście lat przywdzieje habit zakonny. Liczyła, że w ten sposób przynajmniej jedna z jej córek uniknie przykrego jarzma małżeńskiego i niespecjalnie atrakcyjnych ziemskich obowiązków.

W tym momencie przypomniała sobie, że jej mąż wkrótce pewnie wróci, bardzo głodny o tak późnej porze. Poszła więc do kuchni podgrzać kolację, mszcząc się na garnkach za drażącą ją niepewność.

Sama nie wiedziała, czy było to z jej strony wspaniałomyślnością, że przygotowuje regenerujący posiłek mężowi, który wraca wyczerpany z objęć jej rywalki, czy też ośmieszała się tą swoją gorliwością?



Nie miała najmniejszej wątpliwości co do swojego życiowego pecha, odkąd jej mężowi coraz częściej zaczęły się zdarzać wieczorne kolokwia na uniwersytecie w Nan-terre, gdzie wykładał socjologię. — Mam obowiązki wobec swoich studentów — powtarzał Jacques — nie mogę zbagatelizować tak istotnej rzeczy, jak uczestniczenie w tak zwanych seansach refleksji, kiedy to studenci zastanawiają się nad sobą, a także nad społeczeństwem.

Do Heleny Bordineau docierały plotki, że tym rozważaniom seminaryjnym towarzyszy muzyka oraz różne spirytualia, a czasem nawet i tańce.

Nie przyszło jej do głowy, że Jacques, już dawno odsunięty od małżeńskiego łóża, miał niejako pretekst, by szukać pewnej rekompensaty u studentek, którym się podobał. Gardziła jego postępowaniem. Była bliska przekonania, iż zmuszając go do czystości małżeńskiej, daje mu szansę wzniesienia się ponad niskie instynkty przeciętnego mężczyzny oraz zachowania energii dla pracy intelektualnej. Pełna zrozumienia dla wybryków\* syna, który mścił jej podłe urazy, znacznie surowiej traktowała wybryki męża, które w jej oczach zdradzały niewdzięczność i słabość.

Toteż bardzo cieszyła się na myśl o rychłej przeprowadzce do nowego domu w Saint-Cloud. Miała ona pozbawić jej~męża jednej z najczęstszych wymówek co do późnych powrotów do domu, spowodowanych jakoby odległością z Nanterre do Villejuif, w którym mieszkali dotychczas.

Miała jeszcze inne powody do radości z tej przeprowadzki. Także i ją przybliżało to do nowego miejsca pracy, zamieniła bowiem liceum w Villejuif na Vaucresson, zachowując przy tym stanowisko nauczycielki języka hiszpańskiego; odtąd będą mieszkali w bardziej ekskluzywnej dzielnicy; dzieci będą mogły uczęszczać do szkół mniej zaśmieconych przez obcokrajowców; krótko mówiąc, płynęły z tej zmiany same korzyści.

## **Zła reputacja**

Zdumienie tak niską kwotą czynszu wyraźnie odmalowało się na twarzy Jacques'a.

— Domyślam się, że jest pan zaskoczony śmiesznie skromnym czynszem, panie Bordineau — powiedział administrator Armand Lepchot. — Otóż dom ten nie cieszy się najlepszą opinią. Przed wprowadzeniem ustawy Marthe Richard był on jednym z tych dyskretnych burdelików — by nie powiedzieć: domów publicznych, albowiem trzeba cenić wagę słów — jakie upodobali sobie tchórzliwi rozpustnicy owych czasów. Do dziś jeszcze wytykany jest w okolicy.

Jacques Bordineau roześmiał się. — Nie zraża mnie to ani trochę. Zresztą od tamtego czasu diabeł został z pewnością stąd przepędzony.

— Naturalnie, usunęliśmy frywolne freski, wyzywające dekoracje, czerwony aksamit, błyszczące żyrandole, hebanowe drzwi oraz charakterystyczne meble, między innymi wymyślne łóżko ozdobione erotycznymi rzeźbami. Zlikwidowaliśmy również nadmierną ilość luster różnej wielkości, a także małe meble przypominające bidety. W niektórych pomieszczeniach trzeba było zniszczyć cały wystrój, imitujący na przykład Wschód bądź Saharę, lub też przedział pociągu.

— Bez wątpienia również salę tortur — dodał ironicznie Jacques.

— Oczywiście, nie pomylił się pan — ponuro odparł administrator nieruchomości. — Zupełnie nie wiedzieliś-

my, co zrobić z tymi przerażającymi narzędziami zawieszonymi na ścianach. Ostatecznie wrzuciliśmy je w kąt piwnicy. Ten dom naprawdę miał złą sławę.

— Jeśli z tego powodu opłata za mieszkanie w nim nie będzie wygórowana, to tym lepiej dla mnie — rzucił wesoło, Jacques.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedział administrator. — Zarówno uczciwość jak i zdrowy rozsądek nie pozwalają mi niczego przemilczeć. Jest rzeczą oczywistą, że mógłby pan zasięgnąć informacji na temat zalet i niedogodności tego budynku u poprzednich jego lokatorów, ale sędzę, że ich niedomówienia, wahanie z pewnością wzbudziłyby pańskie obawy.

— Nie bardzo rozumiem, o co chodzi? Jakie niedomówienia?

— Przemilczenie przyczyn, z powodu których opuścili tak wygodny dom.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że ukrywają te przyczyny?

— Nie. Wątpię jednak, aby przedstawili panu dokładniejsze, bardziej prawdziwe powody swojego wyjazdu, niż podali je mnie. A powody te — jak można było wyczytać z ich twarzy, gdy tylko wspomniałem o tym budynku — były poważne.

— Jest pan tajemniczy. Cóż więc wyczytał pan z ich twarzy?

— Chodzi mi nie tylko o wyraz przerażenia, lęku, co mogłoby sugerować, że dom jest nawiedzany, ile raczej niesmaku, odrazy, jaką budzi pomieszczenie, z którego wydzielają się nieprzyjemne zapachy. Ale nie mówią na ten temat nic, jakby powstrzymywał ich jakiś dyskretny wstyd.

— Może obawiają się kpin, szykan sąsiadów? Lokator dawnego burdelu to gratka dla plotkarzy.

— Myli się pan. Ręczę, że nie o to chodzi. Poprzednio mieszkała tu rodzina artystów, nie utrzymująca bliższych

kontaktów z sąsiadami, a głupie żarty, czy docinki jedynie by ich rozbawiły.

— Sugeruje pan, że bezsensowna byłaby rozmowa z nimi?

— Tak. Sądzę, że nie dowiedziałyby się pan od nich więcej niż ja. Nie powiedzieli też niczego konkretnego o skargach siedemnastu wcześniejszych lokatorów, którzy się tu zmieniali w ciągu trzydziestu lat. Wyprowadzając się, tłumaczyli enigmatycznie: „Wytrzymywaliśmy, dokąd mogliśmy, ale w końcu stało się to niemożliwością.” Nigdy jednak nie udało się dowiedzieć, co stało się niemożliwością. Próżne były mpje nalegania. W pewnym momencie moj rozmówcy zamykali się w sobie, jakby ogarnął ich jakiś wstyd nie do pokonania.

— Wstyd?.

— Takie odniosłem wrażenie. A teraz, skoro wie pan już o wszystkim, czy nadal decyduje się pan na wynajęcie domu?

Na chwilę zapadła cisza, po czym Jacques zapytał:

— Czy nie domyśla się pan, mimo milczenia pańskich lokatorów, co mogło uczynić tak nieznośny pobyt w tym tak z pozoru zwyczajnym domu?

Armand Lepchot zawahał się.

— Nie mam co do tego żadnej pewności, mogę snuć jedynie domysły, a ponieważ te wydają się dość śmieszne, więc wolałbym je zachować dla siebie.

— Ale...

— Nie. Proponuję porozmawiać o tym za jakiś czas, gdy już państwo trochę pomieszkają w willi.

— Bardzo chętnie.

— Teraz pan tak mówi. Pańscy poprzednicy oraz wszyscy inni, którzy mieszkali tu przed nimi, mówili to samo. Ale kiedy w umówionym czasie nalegałem na rozmowę, po prostu odmawiali!

— Z pewnością obawiali się śmieszności, gdyby przy-

znali, że ulegli pierwszemu lepszemu impulsowi, jakiemuś irracjonalnemu uczuciu niepewności, lęku, zagrożenia.

— Wykluczone — zaprotestował administrator — wydaje mi się, że to jakiś głęboki wstyd powstrzymywał ich przed przyznaniem się, co wyganiało ich z domu. Można to było wyczytać z ich twarzy. Było to coś zgoła różnego od zabawnego zakłopotania, spowodowanego obawą śmieszności, śmieszności, której większość z tych ludzi wyzwolonych z przesądów pod wpływem kina i fantastycznych powieści nawet by nie odczuła. Sprawiali wrażenie owładniętych gigantycznym wstydem, będącym konsekwencją wydarzeń, jak się zdaje, nie do opowiadania. Można by pomyśleć, że pomiędzy nimi a tą przeklętą willą zaszło coś, co dotknęło ich najintymniejszej części i co nie nadawało się do opowiedzenia osobom trzecim ... z wyjątkiem być może księdza w konfesjonale. Jacques wybuchnął niepohamowanym śmiechem:

— No cóż, po takim ataku frywolnych obrazków może pomóc jedynie egzorcysta. Coraz bardziej intryguje mnie pańska willa. Słuchając pana opowieści, coraz bardziej przekonuję się, że kolejni lokatorzy ulegali sugestii poprzedników. A idąc pó nitce do kłębka okazałoby się z pewnością, że pierwszy z nich znienawidził ten dom, kiedy Zastał swą żonę z kochankiem w małżeńskim łóżu. Nie chcąc podać prawdziwej przyczyny zasłonił się jakąś niesamowitą tajemnicą. Wystarczy, że następny >lokator rozwiązał umowę również z osobistych pobudek, nie nadających się do rozgłaszania, i też wytłumaczył się jakimś nękającym go widmem, a rychło powstała legenda o przeklętej willi. Później narastała już sama, przekazywana przez kolejnych lokatorów, na kształt kryształków rodzących się z roztworu solnego.

A pan będzie tym, który zdejmie czar — westchnął z lekkim uśmiechem administrator, wręczając swemu rozmówcy umowę. — A zatem — zapytał — decyduje się pan?

Jacques Bordineau, przyparty do muru, . zawahał się.

— Nie? chciałbym zamieszkiwać wraz z całą rodziną domu, który jest nawiedzany przez duchy. Słyszysz się nieraz o tego rodzaju przykrych historiach; I pomimo mojego głębokiego sceptycyzmu wobec tzw. „paranormalnych” zjawisk bałbym się, jeśli nie samego domu, to samego siebie i własnej podatności na sugestię. Ale w tym przypadku nie chodzi przecież o dom nawiedzany przez duchy.

— Oczywiście, że nie — zareagował administrator.— Po pierwsze dlatego, że domy nawiedzane przez duchy naprawdę nie istnieją, po drugie siedemnastu poprzednich lokatorów nie miałyby powodu robić z tego tajemnic. Na pewno chodzi tu o inne zjawiska. Być może lekki niepokój, złe samopoczucie, jakie budzi ten dom, spowodowane są koncentrowaniem się w nim szkodliwych promieni lub jakimś oddziaływaniem tellurycznym.

— Ponieważ nie wierzę ani w telluryczne wpływy, ani też w. szkodliwe promieniowanie, podobnie zreszłą jak w zjawy, widma, duchy i przedmioty, które przemieszczają się same, mam ochotę potraktować to jako wyzwanie, a także przez ciekawość wpisać się na listę mieszkańców jako dziewiętnasty lokator tego domu. Jestem aktywnym, wojującym racjonalistą.

— Czy to pańska ostateczna decyzja? — zapytał administrator.

— Mam jeszcze jedno pytanie; jeśli zrezygnuję z domu przed upływem roku, jak poprzedni lokatorzy, czy zobowiązuje się pan bez problemów zwrócić zapłaconą kaucję?

Administrator wznosił ręce do nieba.

— Jeśli tylko o to chodzi! Mogę nawet obiecać więcej: zwrócić panu całą kwotę również w przypadku, jeśli po roku zdecyduje się pan na dalsze zamieszkanie.

## **Katarzyna**

Katarzyna, podobnie jak wszystkie dziewczęta w jej wieku, wpadała w panikę, gdy jakiś mężczyzna szedł za nią na ulicy.

Tym razem było ich trzech! Szli z dziesięć metrów za nią. Równy rytm ich marszu — szli krokiem wojskowym — dudnił jej w skroniach. Wzdrygała się za każdym razem, gdy jakiś świński dowcip, opowiadany przez jednego z nich, wywoływał rubaszny śmiech towarzyszy.

Przerażona Katarzyna wielokrotnie próbowała zgubić ich w przecznicach, ale bez rezultatu. Wciąż słyszała za sobą wojskowy krok. Nie ulegało wątpliwości, że ją tropili. Była osaczona. Jej niepokój zmalował nieco, gdy rzuciwszy za siebie szybkie spojrzenie rozpoznała trzech chłopców z ostatniej klasy. Tworzyli oni bandę, której nazwę zaczerpnęli od starożytnych Rzymian. Nie byli ani przystojni, ani bogaci, nie byli też posiadaczami motocykli, lecz jedynie prymusami, co u dziewcząt nie zyskiwało im zbyt wielkiego poklasku. Niemile zaskoczeni taką niesprawiedliwością, nie dopuszczając do siebie myśli, że ich przyszłe tytuły doradców państwowych bądź inspektorów finansowych nie liczą się w przypadku tych nietrwałych, zmiennych romansów szkolnych — postanowili, że założą tajne stowarzyszenie, o którym wkrótce wieść się rozniosła w małym, zamkniętym licealnym światku. To Warzystwo obrało sobie za cel podbój dziewcząt wszelkimi możliwymi sposobami, także i tymi niedozwolonymi, ponieważ miłość nie szła w parze z cnotą.

Kuriacuszom przyświecała myśl, aby wspólnymi siłami, zdecydowanie, odnieść zwycięstwo tam, gdzie w pojedynkę im się nie udało. Na wieś wyjeżdżali zawsze razem, jak mrówki albo termyty, tworząc w ten sposób fantastyczny twór, w którym sumowały się pojedyncze frustracje i pożądania; podejmowali wspólnie wstępne kroki, podchody, razem też przyjmowali ciosy. Ich zasady różniły się od metod stosowanych przez pospolitych gwałcicieli, którzy byli postrachem okolic yillejuif. Jedną z zasad Kuriacjuszy było nieużywanie przemocy, przynajmniej fizycznej, w dążeniu do celu. Żaden z nich nie mógł zagarnąć zdobyczy na własność. Ich metoda polegała na roztaczaniu wokół wyznaczonej ofiary coraz bardziej zacieśniającej się siatki komplementów — zajęcie precyzyjne, niczym pisanie wypracowania — dopóki nie nabrała wystarczającego zaufania. Wziąwszy pod uwagę ich ustaloną reputację, zadanie nie było takie łatwe. Trzeba sobie jednak zdać sprawę, że ta podstępna nagonka intrygowała dziewczęta, a nawet fascynowała, w następnym bowiem etapie Kuriacuszom udawało się przyciągnąć je na pół onieśmiałe, na pół zwabione i zachęcane legendą, jaką stworzyły i wzbogaciły poprzednie ofiary — legendą o niewyobrażalnych rozkoszach, których dostarczało sześć rąk i troje ust, a nawet o bardziej intymnych przyjemnościach, jakich doznawały w gniazdku przygotowanym przez jednego z nich w mieszkaniu przeznaczonym dla służącej, Pokój ten uzyskiwali od rodziców, gdy torturując ich puszczałą-na cały regulator muzyką pop zapewniali, że z tej klitki gosposi nie będą dochodziły żadne odgłosy. Katarzyna nigdy nie dała złapać się w ich sidła, ponieważ należała do jednego mężczyzny. Ma się rozumieć do jednego w danej sytuacji. Tak więc tego wieczoru Kuriacjusze zaszczykali swą hałaśliwą atencją Katarzynę, co winno było przywrócić jej spokój, dodać trochę odwagi, gdyż pewna była swej nieuległości.



Ale Katarzyna, gdy tylko wyczuwała, że ktoś idzie za nią na ulicy, nawet gdy był to ktoś znajomy, zachowywała się jak ścigane, osaczone zwierzątko i przyspieszając kroku kierowała się do domu. Cała przerażona zastanawiała się, co będzie, jeśli zechcą wejść za nią. Na nic zdał się jej bieg po schodach na pierwsze piętro ani fakt, że gdy dopadła drzwi, za pierwszym razem udało się jej trafić do zanika i przez małą szparkę szybko wślizgnęła się do środka. Jeden z Kuriacjuszy był jeszcze szybszy, włożył stopę między futrynę i drzwi, zanim zdążyła je zamknąć. Nie pozostawało jej nic innego, jak walczyć albo pozwolić im wejść. Cóż mogła jednak zrobić sama przeciwko trzem? Zrezygnowana wprowadziła ich do domu, ale nie było mowy o pozostaniu w salonie, gdyż w każdej chwili mogli wrócić rodzice, więc przeszli do sypialni. Kuriacjusze rozsiedli się wygodnie na kanapie w kwiaty i znów zaczęli zarzucać dziewczynę argumentami, którymi dręczyli ją już od kilku dni. Rozumieli, że pozostawała wierna swojej sympatii, chociaż nie akceptowali takiego skąpstwa, bo czyż byłoby niewiernością z jej strony ulec trzygłowemu potworowi o sześciu rękach, etę., który w niczym nie przypomina człowieka, lecz raczej jakiegoś hinduskiego boga? Nie żądali przecież od niej serca; na cóż zdałoby się ono potworowi? Ale pewnej łaskawości, życzliwości, względów... a nawet mniej, jedynie uległości jej ciała, za co odebrałaby natychmiastową wyśmienitą rekompensatę. Czyż taki rywalmógłby stanowić zagrożenie dla jej przyjaciela? Czy potrafiłaby go bodaj określić, chyba że wymieni trzy nazwiska i sześć imion? Czy to może infantylna obawa kazała jej unikać tej niewinnej zabawy bez żadnych konsekwencji moralnych, czy też obawiała się niedyskrecji, co świadczyłoby o tym, jak mało znała Kuriacjuszy, którzy milczeli jak grób na temat swych ekspedycji? Przytaczając te argumenty, posyłali jej z kanapy najbardziej uwodzicielskie uśmiechy, muskając jej ręce, szyję, uda.

— Należę tylko do jednego mężczyzny — krzyknęła Katarzyna, .pakownie ich odpychając, tak że wszyscy trzej przekoziółkowali na kwiecistej kanapie.

Nie można zawsze odnosić zwycięstwa, chociaż tym razem, we własnym mieszkaniu buntowniczkim, pod groźbą nieoczekiwanego nagłego powrotu rodziców, byłoby ono tym bardziej chwalebne.

Niestety trzeba było ustąpić. Kuriacjusze zamierzali zrobić to dumnie, wedle wcześniej przygotowanego planu. Zebrawszy się zgodnie w jednej chwili, zaintonowali pieśń zemsty i ośmieszenia, rytmicznie skandując i powtarzając obraźliwe słowa pod adresem Katarzyny. Ona zaś unikając ich spojrzenia, wpatrzona w sufit lub w grafikę, jakby studiowała jakiś jej szczegół, manifestowała swoje głębokie znudzenie. To rozwścieczyło Kuriacjuszy. Na wzór armii, która odstępując od oblężenia posyła obraźliwe gesty w stronę wroga zebranego na murach<sup>1</sup>, zgodnym ruchem sięgnęli do swoich dżinsowych spodni odsłaniając to, przed czym broniła się Katarzyna. Nie mogła jednak powstrzymać się od spojrzenia w tamtą stronę z wyrazem pogardy wobec tego, co jej pokazano, który wkrótce zmienił się w szczerze zdumienie na widok starań, jakich dokładali Kuriacjusze dla dodania sobie odwagi i pewności siebie. Trzej kumple posunęli się do ostateczności w swej obrzydliwej gestykulacji, na skutek czego kwiecista kanapa zyskała trzy dodatkowe bukieciki konwalii.

Teraz już mniej zarozumiali, a nawet trochę smutni poprawiali ubrania, z minami lekko zażenowanymi, jak zwykle mężczyźni w takich sytuacjach, i pożegnali się przykładając palce do nieistniejących daszków czapek. Katarzyna wyszła za nimi, aby zamknąć drzwi na zasuwę, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Był to brat, który spptkawszy zbiegających Kuriacjuszy zapytał — nie aby kontrolować, lecz raczej z czystej ciekawości — o przyczynę tej wizyty.

Chętnie opowiedziała mu o komedii, jaką odegrała.

Piotr pogratulował jej, bowiem wyznawał podobne poglądy co do wierności wybranej osobie, z tym że jeśli o niego szło, to wyboru tego dokonywał codziennie.

Oboje tak bardzo pograżyli się w dyskusji o przyjemnościach i zaletach wierności oraz o niegodziwości miłości zbiorowej, że nie zauważyli, kiedy weszła ich matka, którą do sypialni córki przywiódł zapach niedopałków papierosów. Zaniepokojona przebiegła wzrokiem cały bałagan; nie zauważyła wprawdzie świeżo wykwitłych na kanapie konwalii, za to jej uwagę zwróciły fałdy i nierówności — niezawodny znak figli i harców, jeśli nie rozpusty. Badawczo przyglądała się meblom, obawiając się, że może znaleźć inne dowody „zbrodni”, na przykład jeden z tych akcesoriów ochronnych, którymi usłane było poszycie lasku w Vincennes, a które widziała często w koszmarnych snach, jak osiadają na podłodze sypialni jej córki, przypominając armię uskrzydłych lubieżnych pompe-jańskich amorków. Budziła się wówczas z krzykiem i solennie sobie obiecywała, że gdyby kiedykolwiek jej żaloszny sen stał się rzeczywistością, zakończy natychmiast swoje życie, naśladując w tym swą starszą siostrę, podobnie jak ona cierpiącą na serce i bigotkę, która „zeszła” na ulicy, zobaczywszy odsłonięty członek jakiegoś ciemnoskórego dżentelmena, wychodzącego w pośpiechu z szaletu.

## **Widma**

W czasie obiadu Helena Bordineau wyrzucała mężowi zbytnią opieszałość w podpisywaniu umowy o nowy dom w Saint-Cloud.

— Zupełnie cię nie rozumiem — mówiła. — Przecież wiesz, jak mi zależy, aby jak najszybciej opuścić Ville-juif z wszelkimi jego uciążliwościami, z jego zbieraniną mieszkańców, i zamieszkać wreszcie w bardziej stosownej dzielnicy, gdzie znajdziemy sobie pracę w dobrych liceach.

Kładła nacisk na słowo „dobre”, nie precyzując, mimo to wszyscy wiedzieli, że ma na myśli licea, do których uczęszczają wyłącznie dobrzy chrześcijanie.

— Ja tam się nie spieszę — wtrąciła Katarzyna. Obawiała się, że opuszczając Yillejuif straci aktualnego wybranka serca, bladego i wrażliwego ucznia klasy filozoficznej, którego wyprawa do Saint-Cloud z pewnością odstraszy. „Patrick kocha mnie, ale to romantyczny domator — myślała. — Jego przywiązanie do mnie sięga lasku w Vincennes, w którym się całujemy, i jeziora, na którym ukryci na dnie łódki odważamy się na coś więcej. Wkrótce zostanę wdową po nim, skoro on jest wdowcem po miejscach”.

Piotr przeciwnie, z niecierpliwością oczekiwał chwili, kiedy będzie mógł udać się na rekonesans miejsc swoich nocnych polowań wraz z ich cenną fauną.

— Nie spieszę się z decyzją, bo trzeba wszystko dokładnie przebadać, rozważyć, zanim podejmiemy zob-

wiązanie na lata. Czynnosc jest niski, ale nie bez powodu, jak wyznał mi administrator przed kilkoma dniami. Wszyscy dotychczasowi lokatorzy rozwiązywali umowę za ledwie po kilku miesiącach. Przeciętnie pozostawali tam niespełna rok. Zapytani o przyczynę, za każdym razem twierdzili, że pozostanie dłużej było nie do zniesienia. Administrator utrzymuje, że nie wie, co było przyczyną ich niepokoju. Twierdzi, że „uciekiniery” milczeli na ten temat z zawstydzenia czymś, co nie nadawało się do wyznania. Daje on po prostu do zrozumienia, że ten dom jest feralny, ale ja w to nie wierzę. Powiedziałem mu, co o tym sądzę, że legenda domu przynoszącego nieszczęście powstała prawdopodobnie, gdy jego pierwszemu lokatorowi żona przyprawiła rogi, albo coś w tym rodzaju; ten wyznał następnemu lokatorowi, że dom wydziela jakąś złowrogą aurę. I do tak zapoczątkowanej świątyni przesądów każdy następny lokator dodawał jedno piętro. A że każdego spotkało w życiu jakieś banalne nieszczęście, wolał zrzucić je na konto rzekomo przeklętego domu niż na swoje własne. Trzeba także wziąć pod uwagę ogromną łatwość ulegania sugestii naszych współczesnych, przeważnie pozbawionych oparcia w religii bądź filozofii. Na tej zasadzie widzi się, bez żadnego uzasadnienia, w następcy lokatora, który okazał się kryminalistą — kryminalistę, zbrodniarza masakrującego własną rodzinę bądź listonosza.

— To okropne — jęknęła pani Bordineau. — W takim razie nie chcę się tam przeprowadzać, skoro ten dom jest przeklęty.

— Och nie! Och, nie, tato! — jednocześnie wykrzyknęły dzieci.

— Ależ on wcale nie jest nawiedzany — zaprotestował pan Bordineau. — Właśnie wam wyjaśniłem, jak rodzą się widma w zbyt podatnej wyobraźni. Nawiedzane domy nie istnieją.

— Nie powiesz mi chyba, że ten dom jest podobny do innych, skoro uciekli z niego kolejno wszyscy lokatorzy !

krzyknęła małżonka. — Nie przekonują mnie twoje wyjaśnienia. Wielu ludzi sądzi, że ich dom jest powodem nieszczęść, Vale nie wynoszą się z niego z tego powodu. Skądinąd rozwiązałoby to problem mieszkaniowy. A propos, ilu lokatorów zerwało umowę?

— Siedemnastu — wyznał Jacques — a właściwie osiemnastu razem z ostatnim, z którym chciałbym się jutro zobaczyć i, jeśli mi się uda, pociągnąć go za język. Zależy mi przede wszystkim-na wyjaśnieniu rzekomych kiepskich żartów, jakie mogli im robić sąsiedzi pod pretekstem, że dom w przeszłości nie miał dobrej opinii. Może to właśnie spowodowało ich wyjazd i wytłumaczy wstydlive milczenie, niezależnie od tego, co sądzi na ten temat administrator.

— Dobrej opinii? — zaniepokoiła się pani Bordineau.

— Był czymś w rodzaju dystyngowanego i dyskretnego domu schadzek dla burżuazji — odpowiedział Jacques ostrożnie, wystrzegając się słowa "burdel", które bez wątpienia spowodowałoby, że jego małżonka nie zgodziłaby się przekroczyć progu domu naznaczonego takim piętnem.

Mimo jego ostrożności pani Bordineau wykrzyknęła: — A więc ten dom jest skalany grzechem. I ty chcesz, abym ja w nim zamieszkała, ja i moje córki! — Nie wymieniła syna, który jakoś podświadomie wydawał się jej. bezpieczny choćby i w mieszkaniu diabła, ponieważ był raczej po stronie tego ostatniego niż jego ofiar.

Mąż uspokoił ją, że już od blisko 25 lat willa w Saint-Cloud jest uczciwym domem.

— Czy zdezynfekowano ją należycie? — zapytała wciąż pełna niepokoju Helena Bordineau, wyobrażając sobie białe trąby powietrzne ścigające i unicestwiające w kątach małe rogate diabełki.

— Przemebłowano ją już ponad ćwierć wieku temu — odparł z naciskiem mąż — a kolejni lokatorzy wykonali wiele prac odświeżających.

— Ech! — zachnęła się Helena, która czytała kiedyś *Amytville* — diabeł kpi sobie z malowania, a nawet z egzorcyzmów. Mój drogi, twój pomysł z przeprowadzką mocno mnie niepokoi, mimo płynących z tego niezaprzeczalnych korzyści.

Jacques zniecierpliwił się.

— Miałem cię za rozsądniejszą i godną, aby być z tobą szczerym. Nie chciałem przed tobą ukrywać tego, CO' powiedział administrator, pomimo że to same bzdury. Nie chciałbym tego żałować.

— Och tak, tato! Przenieśmy się do tego nawiedzanego domu — zawołały dzieci.

Jacques Bordineau, zirytowany, trzykrotnie dobierał pieczeń, pomimo że cenił sobie jedynie białe mięso, i nie odezwał się słowem do końca posiłku.

## **Dziwy, dziwy**

Poprzedni lokatorzy willi nie przenieśli się daleko. Zajmowali teraz parterowy domek z ogródkiem na niewielkiej działce koło Roquencourt.

Kiedy Jacques Bordineau zadzwonił do nich, aby umówić się na spotkanie, przedstawili mu cały szereg istotnych powodów, dla których nie mogli się z nim zobaczyć. W ciągu dnia nie było ich w domu, wracali późno, wcześniej kładli się spać itd. itp. Jednak po długich naleganiach udało mu się uzyskać zaproszenie na przyszłą sobotę, w porze aperitif.

Już od wejścia uderzyły go ich znudzone miny.

— Niewiele możemy powiedzieć na temat domu — zapewnili go zgodnie. — Jest bardzo wygodny.

Ogrzewanie sprawne. Ogród jest bardzo przyjemny.

— Dlaczego w takim razie opuścili państwo tak wygodne mieszkanie? — wyraził swoje zdziwienie Jacques Bordineau. — Tym bardziej, że zamieszkaliście w pobliżu. Wiem, jakie czynsze są w tej okolicy. Z pewnością za obecne małe mieszkanie płacicie więcej niż za willę w Saint-Cloud.

Jego rozmówcy wydawali się coraz bardziej zakłopotani.

— Faktem jest, że nie podobał nam się dom, ale to sprawa czysto osobista.

— Czy wiedzą państwo o tym, że przed wami już siedemnastu lokatorów opuściło ten dom przed upływem roku?

— Słyszeliśmy o tym, ale nie wiemy, dlaczego to zrobili.



Jeśli chodzi o nas, nie mamy nic więcej do powiedzenia. Nie czuliśmy się w tym domu dobrze, i to cała prawda. Jacques Bordineau zaatakował wprost:

— To znaczy, że w willi przydarzyło się coś, o czym nie ośmielacie się powiedzieć?

Byli lokatorzy podskoczyli, jakby otrzymali cios. Mąż o mało nie puścił pary z ust, ale uprzedziła go żona, która odezwała się pierwsza.

— Przyznaję, że czuliśmy się w tym domu dziwnie, jakbyśmy nie byli sobą, pełni niezdrowych, niemoralnych myśli. Zdaję sobie sprawę, że to była autosugestia wywołana dawnym piętnem domu. Nie potrafiliśmy się od tego uwolnić, więc woleliśmy go opuścić.

Kobieta zawahała się.

— Poza tym mamy dwójkę dzieci. Zrobiliśmy to szczególnie ze względu na nie.

Mąż gwałtownie uderzył w stół.

— Zostaw dzieci w spokoju. Kto w to uwierzy?... — syknął.

Nagle umilkł. Żona westchnęła. Jacques Bordineau nie ustąpił.

— "Chyba nie chcecie mi państwo wmówić, że opuściliście tak wygodny dom, o tak niskim czynszu, z powodu niejasnych wrażeń, które można sobie wytłumaczyć autosugestią.

Mąż i żona jednocześnie podnieśli się. On powiedział oschle:

— Nie mamy nic więcej do powiedzenia i proszę nas teraz zostawić w spokoju.

Gdy Jacques Bordineau poirytowany kierował się do drzwi, kobieta podbiegła i zatrzymała go na chwilę.

— Czy ma pan dzieci? — wyszeptała.

— Tak.

Popatrzyła wówczas na niego z wyrazem obawy, a może nawet przerażenia, który potem długo go prześladował.

## **Katecheta**

Jacques'a Bordineau niemało kosztowało, aby umówić się na spotkanie z katechetą z liceum, do którego uczęszczała Anna, a jeszcze więcej, aby zadać mu pytanie tak niezwykle w ustach agnostyka zatwardziałego w swym racjonalizmie.

— Proszę księdza, czy wierzy ksiądz w diabła? Ksiądz uśmiechnął się ze zrozumieniem i z pewną zadumą.

— Pyta mnie pan, panie profesorze, o podstawowy problem współczesnej teologii. Nawet hierarchia kościelna milczy na ten temat. Dlaczego więc ja miałbym panu odpowiedzieć? Obawiam się, że dotknął pan czulego punktu współczesnego Kościoła — ach! to okropne słowo — i przyszedł pan, aby mnie dręczyć, zabawić się łatwo moim kosztem.

Wówczas Jacques Bordineau, chcąc rozwiać podejrliwość księdza, musiał opowiedzieć o tym, co usłyszał od administratora na temat domu w Saint-Cloud oraz niepokoju, jaki ten dom w nim wzbudził.

Ksiądz zązartował: — Dla takiego racjonalisty jak pan musi być szczególnie przykre przyznać się, i to przed księdzem, że ogon kota z Cheshire, który go połechtął w nos, mógłby być rzeczywistością.

— Rolę wojującego laika stawiam na drugim planie.

Przede wszystkim jestem ojcem rodziny i muszę dbać o jej dobro — odparł sucho Jacques. — Nie wierzę w zaświaty ani duchy, zaś na temat ich istnienia powiem księdzu to,

co zoologowie twierdzą o skłonności krokodyli z Nilu do pożerania kąpiących się, wydanych im na łup: „Te zwierzęta z rodziny jaszczurkowatych zgodnie z najbardziej udokumentowanymi dziełami nigdy nie zaatakowałyby człowieka; niestety nie potrafią czytać”.

— To dość subtelny, a zarazem nie pozbawiony hipokryzji sposób uznania jakiejś innej rzeczywistości, kryjącej się za tą dotykalaną — zauważył ksiądz. ,

— W tej sytuacji jest mi to obojętne, czy duch istnieje rzeczywiście, czy jest projekcją podświadomości poprzednich lokatorów. Być może kwestia ta zainteresowałaby mnie jako filozofa, gdybym był filozofem, ale dla lokatora podejrzanego domu, a zarazem ojca rodziny liczy się jedynie spokój moich bliskich.

— I dlatego przychodzi mnie pan zapytać, czy wierzę. w diabła?

— No właśnie, ja sam w niego nie wierzę, dlatego radzę się tych, którzy wierzą, gdyż przez całe wieki musieli oni wypracować sposoby obrony przed wybrykami, jakie mu przypisują. Tak więc, nie wierząc w diabła, ale uznając istnienie tak zwanych diabelskich sztuczek, przychodzę do księdza po poradę, tak jak bym poszedł do wiejskiego znachora, aby dał mi lecznicze zioła. On wierzy w ich magiczne właściwości, podczas gdy mnie przekonałaby jedynie jego znajomość przyrody.

Ksiądz uśmiechnął się, wstał i wyjął kilka książek z biblioteczki.

— To są dzieła poświęcone demonologii, jak również rozmaite studia o egzorcyzmach. Proszę je przeglądnąć, jeśli to pana interesuje, ale nie znajdzie pan tam niczego poważnego. Przed wszystkim egzorcyci sami nie wierzą w Szatana. Po prostu dlatego, że nigdy go nie spotkali. Ksiądz Louis Costel, który studiował rzekomo satanizm normandzkich wiosek, w których roi się od znachorów i rzucających uroki, również nie spotkał Złego w akcji, lecz jedynie naiwność i przesady, które wyjaśniają tyle

niecodziennych zjawisk. Toteż w podobnie kategoriyczny sposób wypowiada się na temat egzorcystów w swojej diecezji. Nigdy nie widzieli czynów ani zjawisk, które by można było zaklasyfikować jako diabelskie. Przypadki opętania, do których są wzywani, okazują się atakami hysterii. Nawiedzane domy, do których spieszą z wodą święconą, to przeważnie sprawka figlarzy, a niewytłumaczalne pożary, o których sensacyjne wzmianki pojawiają się w lokalnych dziennikach, są zwykle dziełem zręcznych mistyfikatorskich pirotechników, kierowanych złą wolą.

— A więc Kościół nie wierzy w diabła — jęknął Jacques z przerażeniem, niewątpliwie komicznym jak na

zaciekłego racjonalistę. — I nie ma żadnych sposobów obrony?

Ksiądz zbliżył się do niego i pogładził go po ręce, jakby chciał pocieszyć.

— Wy, agnostycy, jesteście naprawdę dziwni — powiedział z lekką ironią. — Kiedy jeden z tych wiatraków, z którymi tak zażarcie walczyacie, rozpada się sam, krzyczycie, że to zdrada!

Przypominacie owych normandzkich rabusiów, którzy skarżyli się, że w Dolnej Bretanii jest mało bogatych klasztorów do złupienia. Wygrażając pięściami w kierunku nieba, wołali: „Zakichany kraj”.

— Myli się ksiądz. Nie ubolewam nad niszczeniem świątyń przesądu, ale nad zaprzepaszczeniem empirycznych tajemnic, jakie w sobie kryły. Agnostyk nie przeczy temu, że woda święcona wskutek niewytłumaczalnego dotychczas naukowo działania może przeciwdziałać skutecznie histeriom, które natomiast są dobrze znane lekarzom.

— Obawiam się, że nie jestem w stanie pomóc panu. Dzisiejszy Kościół nie wierzy już w diabła ani w jego zastępy. Odkurzanie legend i przesądów nagromadzonych przez wieki przyczyniło się także do oczyszczenia dogmatów i dziś już nie znajdzie się już żadnego diabła. Proszę uważnie przeczytać *Credo*, które jest kamieniem

węgielnym wiary. Znajdzie pan tam dogmat o Wcieleniu, a także o Odkupieniu, ale żadnej wzmianki o Szatanie. Jest to pewna niedorzeczność, jeśli się nad tym dobrze zastanowić. Nie występuje tam nawet słowo „zło”, podczas gdy obecny jest „grzech”. Ale czy może być grzech bez zła? Co więcej, nawet w *Pater noster*, modlitwie tak prostej i bliskiej, w której Szatan mógłby znakomicie pełnić rolę czynnika pedagogicznego, nie wspomina się o nim. Jest tam wprawdzie aluzja do pokus i zła, ale nie są one personifikowane. Na koniec dodam, że imię Szatana czy Lucyfera nie występuje w modlitwach mszalnych, z jednym wyjątkiem „ostatniej ewangelii”, która pochodzi z baroku i została dołączona później.

— A Biblia? — zaproponował Jacques.

Ksiądz poszedł po egzemplarz Starego Testamentu, dyskretnie ukryty na drugiej półce w drugim rzędzie, jak to zwykle bywa u katolików.

— Proszę, niech pan sam zobaczy, co mówi na temat kuszenia Księga Rodzaju.

Zachęcony przez księdza, Jacques Bordineau ze zdziwieniem przeczytał na głos wersety, z którymi nieraz zetknął się w swojej chrześcijańskiej młodości, i zdumiał się, że nie dostrzegł wówczas ich szczególnego charakteru.

„A wąż był najbardziej przebiegły ze wszystkich zwierząt polnych, które Jahwe Bóg stworzył. On to rzekł do niewiasty: »Czy to prawda, że Bóg powiedział: Nie jedzcie owoców ze wszystkich drzew tego ogrodu?« Niewiasta odpowiedziała wężowi...”<sup>1</sup>

— Dalej, dalej — powiedział ksiądz — opis kuszenia i upadku jest znany. Chciałem tylko udowodnić panu, że w Biblii nie ma mowy o Szatanie, tylko o zwykłym wężu, „najbardziej przebiegłym ze wszystkich zwierząt polnych”. Otóż, nie żaden diabeł, ale zwierzę. Biblią to podkreśla, jak pan jeszcze zobaczy. Proszę przeczytać werset 14.

32

---

<sup>1</sup> Cytaty z Biblii Tysiąclecia, wyd. II, Poznań-Warszawa 1971.

Jacques Bordineau znów podjął lekturę: „Wtedy Jahwe rzekł do węża: »Ponieważ to uczyniłeś, bądź przeMety wśród wszystkich zwierząt domowych i polnych; na brzuchu będziesz się czołgał i proch będziesz jadł pó wszystkie dni twego istnienia...

— Proszę się tu zatrzymać — powiedział ksiądz — reszta nas w tej chwili nie dotyczy. Czy teraz, po przeczytaniu tego fragmentu, może pan powiedzieć, jako bezstronny" czytelnik, bez przesądów, co pan zrozumiał?

— No, że Adam i Ewa posłuchali rad węża, zwierzęcia przebiegłego, i że Jahwe zemścił się na nim skazując go na pełzanie, co, pozwala przypuszczać, że przedtem wąż miał nogi. Ten opis jest w równym stopniu bajką zoologiczną, co historią upadku człowieka.

— I występuje w nim jedynie mały, wijący się w pyle wąż — podkreślił ksiądz.

— W Ewangelii spotyka się dużo diabłów. Chrystus ciągle przepędza całe ich hordy z ciał chorych, których uzdrawia..

— Te magiczne wierzenia w duchy przynoszące choroby były wówczas bardzo rozpowszechnione w całym świecie antycznym. Przetrwały do dziś w społecznościach afrykańskich. Nie mają jednak nic wspólnego z Lucyferem i jego zastępami, będącymi w znacznej mierze średniowiecznym wymysłem, rozpowszechnionym przez misteria wystawiane na dziedzińcach katedr.

Jacques mocno poirytowany przerwał mu.

— To już szczyt wszystkiego. Naprawdę, to przechodzi ludzkie pojęcie! Ja, agnostyk, przychodzę do księdza, aby dowiedzieć się czegoś o diable — jak sądziłem, księdza dobrym znajomym — a ksiądz mnie strofuje, że ośmieliłem się myśleć, iż diabeł jest jednym z aktów wiary. Jeśli chodzi o mnie, sądzę, że diabeł istnieje jako wytwór nieświadomych lęków, które drzemią w każdym, nie tylko w katoliku. Myślałem, że ci ostatni wypracowali skuteczniejsze środki zaradcze przeciwko tak zwanemu

diabelskiemu opętaniu niż prymitywni afrykańscy szamani. Nie przyszedłem, aby usłyszeć od księdza wyznanie wiary, przyszedłem po lek, a tymczasem nie uzyskałem ani jednego, ani drugiego. Ksiądz skrzywił się. Miał jednak dobry humor. Ta dyskusja okazała się rozrywką w przeciwieństwie do męczących godzin, kiedy to wciskał dzieciakom z przedmieścia bzdury z współczesnego katechizmu.

— Ponieważ odebrano panu diabła — powiedział wesoło — pozostają jedynie parapsychologiczne fantasmagorie. Przykrą atmosferę tego domu dałoby się doskonale wytłumaczyć na bazie modnej obecnie teorii impregnacji ścian. W jej świetle ściany owej willi przechowują pamięć ów cierpienich i nienawiściach, a także radościach jej byłych mieszkanców. To tłumaczyłoby, dlaczego w niektórych pokojach można zobaczyć wychodzące ze ścian i przechadzające się zjawy — duchy tych, którzy tam mieszkali — na dodatek z głowami pod pachą. Jak precyzuje w jednej ze swych książek parapsycholog Roger de Lafforet, specjalista od nietypowych zjawisk dotyczących nieruchomości, duchy te nie są powracającymi, lecz pozostającymi, zarejestrowanymi w pamięci ścian. Jego zdaniem poczciwe stare metody egzorcystów, a więc modlitwy, poświęcone palmy, kropidła z wodą święconą, kadzidło mogą rzeczywiście w przypadku tego typu zjawisk działać zbawiennie, pomimo że autor sam wydaje się nie wierzyć w ich skuteczność. Przypisuje im podobną rolę, jaką odgrywa w medycynie placebo. Chińczycy wpadli na to całe tysiąclecia przed nami. Dziś jeszcze najnowocześniejsze nawet konsorcjum w Hongkongu nie wybudowałoby wieżowca bez konsultacji ze specjalistą „od niekorzystnych fal odnośnie jego położenia”. W dawnych czasach w Chinach nie pozwalano nowym lokatorom wprowadzić się do domu, w którym popełniono zbrodnię, zanim policja pałkami, różgami, batami nie przepędziła z jego ścian i podłogi złych duchów.

Jacques westchnął.

— Ksiądz ze swoim sceptycyzmem jest gorszy od najbardziej zatwardziałego racjonalisty. Mam więc rozumieć, że jeśli z powodu domu doznam przykrości, nie będę mógł przypisać ich diabłu, by nie wyjść na przesadnego, zacofanego wieśniaka. Nie będę też mógł uznać ich za zjawiska paranormalne, gdyż uznano by mnie za naiwnego bądź nawiedzonego. Na kogo więc mogę zrzucić całą winę?

— Ależ na samego siebie — odpowiedział ksiądz z okrutnym uśmiechem, który nagle pojawił się na jego twarzy — i na swój godny pożałowania racjonalizm, który coraz bardziej słabnie.



## **Kara**

Oświadczenie Piotra Bordineau, że opuszcza Villejuif, by udać się na dalekie wygnanie, wywołało wielki płacz wśród licealnych koleżanek z ostatniej klasy. Mieszkańcom Villejuif zachodnie przedmieście Paryża rzeczywiście jawiło się jako inny kontynent, którego niezwykley krajobraz i obce obyczaje dane było poznać jedynie nielicznym wybrańcom, dysponującym środkami i-czasem. Villejuif i Saint-Cloud, rozdzielone „paryskim oceanem,, ,wydawały się ich mieszkańcom bardziej od siebie oddalone niż Londyn czy Rzym, które dzięki połączeniu lotniczemu oraz podmiejskiej komunikacji były niemal w zasięgu ręki. I aby tam się dostać, nie trzeba było pokonywać groźnego falowania i burz pełnych wrzasku bulwarów. Tak więc mieszkanki Villejuif, faworytki Piotra przez jeden dzień lub jedną godzinę, a także te, które miały nadzieję na jego względy, odbierały wiadomość o jego wyjeździe do Saint-Cloud jako wielką osobistą tragedię. Nie mogły pogodzić się z tą myślą. Nie wyobrażały sobie zupełnie, iż mogłyby przezwyciężyć fatalne skutki tego wyjazdu. Z pewnością przeczuwały, że ich szkolna miłość była zbyt nietrwała, błaha, powierzchowna. Łzy, które w tym wieku nigdy nie płyną zbyt długo, ustąpiły miejsca urazie wybranek, które czuły się porzucone. Było to z ich strony niesprawiedliwe, gdyż to nie Piotr, ale jego rodzice podjęli decyzję o przeprowadzce. Uczucie oburzenia zagościło przede wszystkim u tych, które niegdyś wybrane przez mistrza, ciągle cieszyły się

jego względami. Piotr nie dopuszczał bowiem, aby odzyskiwały choćby część wolności w dniu, w którym skłaniał się ku ich rywalce. Gromadził je wszystkie wokół siebie niczym w stawie, z którego w każdej chwili mógł wyłowić tę lub inną langustę, gdyby wrócił mu na nią apetyt. Lecz bardziej jeszcze rozgoryczone były te dziewczęta które dotąd nie zdostały zaszczyczone, nie miały więc nawet wspomnień na pocieszenie.

Początkowy smutek, a następnie niezadowolenie doprowadziły jedne i drugie do trzeciego etapu, w którym poczuły się zdradzone.

Jakkolwiek nowa moralność w sprawach seksu wyzwoliła dziewczęta z dawnego tabu, to nadal pozostała w ich głowach myśl, co prawda wypierana, ale zawsze gotowa się ujawnić, że kobieta oddając się mężczyźnie nieodwracalnie traci z siebie coś, za co należy jej się rekompensata. W przypadku młodzieńczych romansów takie porachunki nie mają znaczenia, dzięki czemu partnerzy mogą odnosić wrażenie, że względy, jakimi ich otaczają dziewczęta, są bezinteresowne. Chwila „zapłaty” zostaje przewidziana na czas zaręczyn, małżeństwa lub stałego związku.

Jednak gdy tylko zdarzy się zbyt „gwałtowne zerwanie — co zresztą jest rzadkie w przypadku szkolnych sympatii, które podobnie jak miłości dziecięce bardziej opierają się na podobnych zainteresowaniach niż na uczuciu — lub nagły wyjazd, który rozdzieli parę, to natychmiast zostaje wyciągnięta księga porachunków i ofiara gorączkowo wypisuje rachunek. U dorosłych poczucie krzywdy łagodzi zwyczaj pożegnalnych prezentów, ale czy Piotr, skazany jedynie na swe kieszonkowe, mógł zadośćuczynić tylu podbitym sercom i pocieszyć tyle ofiar? Uknuły więc został spisek i w najbliższą środę, w dniu, kiedy na sali gimnastycznej mogą przebywać uczniowie bez nadzoru, jedna z dziewcząt pod pretekstem jakiegoś pilnego wyjaśnienia zawołała tam Piotra. Proście

towarzyszyło sugestywne mrugnięcie oka, które miało zachęcić chłopca do zgody na spotkanie, było bowiem zapowiedzią pieszczot. Piotrowi nie spodobało się to, gdyż nie lubił, żeby dziewczyny decydowały za niego, a jeszcze bardziej, kiedy domagały się wyjaśnień.

W tym dniu sala gimnastyczna była pusta. Uczniowie niechętnie ćwiczyli w dniach wolnych od nauki. Dziewczyna zaciągnęła Piotra do szatni pełnej dogodnych zakątków. Zaprotestował, gdy zmuszała go, aby wszedł do kabiny. Czy bierze go za zabawkę? Zaprzeczyła, zapewniając, że chce jedynie być z dala od niedyskretnych uszu. Jakich uszu? — zdziwił się Piotr. Czyż nie byli sami?

Zaledwie wymamrotał swoje obiekcje, gdy drzwi wszystkich kabin nagle się otworzyły i wyszło dziesięć czy dwanaście ukrytych tam dziewcząt.

Oślupiały Piotr rzucił się do ucieczki. Dziewczyny złapały go i przerzuciły przez kozioł, i prfeytrzymały w takiej niewygodnej i poniżającej pozycji, z rękami i nogami dotykającymi podłogi. Początkowo zaskoczony, teraz wściekał się, siląc się na lekceważący ton, żądając wyjaśnienia tej maskarady. W odpowiedzi usłyszał śmiech, szyderstwa, drwiny. Zuchwałe, bezczelne dłonie wślizgnęły się pod jego brzuch i rozpięły mu pasek. Wśród wybuchów niezbyt radosnego, a raczej jazgotliwego śmiechu ułożyły go w pozycji, jakby miał dostać lanie. Taką to dziecinną zemstę zgotowały mu dziewczęta.

Początkowo Piotr o mało się nie roześmiał, ale później zawstydził się swej sytuacji, i gwałtownie zaprotestował, co ściągnęło na niego jedynie grad drwin.

— Jakiż on odrażający! — wybuchnęła jedna.

— Patrzcie na te dwie połówki księżycy, zbyt włochate i zbyt białe, przypominające nie wyczyszczonego rzepe — parsknęła druga.

Posypało się jeszcze wiele innych przykrych uwag na temat jego anatomicznej budowy, której szczegóły były

odkryciem jedynie dla nielicznych obecnych tam młodych dam.

Nadszedł czas bicia. Odbyło się to z powściągliwością, a nawet onieśmieleniem, jakiego można było spodziewać się po dziewczętach dobrze wychowanych i bardziej wrażliwych, niż im się samym to wydawało.

Piotr, tłumiąc wściekłość, skrzeczał:

— Za co? No, za co?

— Dobrze wiesz, zdrajco — odpowiedziały dziewczęta.— Porzucasz nas, aby swe godne pożałowania wdzięki ofiarować pretensjonalnym dziewczątkom,, paniusiom z ekskluzywnych dzielnic.

—Skoro moje wdzięki są tak żałosne, to dlaczego się złościacie i znęćacie nade mną?

— Choćby były najnędniesze, to pozbawienie ich nas bez naszej zgody jest niesłychaną obrazą — powiedziała inna rzeczowo, ale niesprawiedliwie, bo czyż Piotr był panem siebie i czy nie musiał jechać z rodzicami? Cóż, niesprawiedliwość jest niemal regułą młodych cierpiących serc.

Pomimo swej niepewnej sytuacji, Piotr atakował:

— Od kiedy to mężczyzna prosi o pozwolenie, gdy chce obsypać swoimi względami stadko smarkatych kochanek?

Na te słowa wściekłość dziewcząt jeszcze bardziej wzrosła, a ich złośliwość pomnożyła się.

Piotr, chcąc udowodnić, że zachował swą godność w chwilach najgorszego poniżenia, mimo bólu wydawał . lubieżne westchnienia. Ta prowokacja rozjuszyła je na dobre. Przywódczyni zawyrokowała:

— Niech ktoś pójdzie zerwać pokrzywy w ogrodzie nauczycielskim.

Młode niewiasty utworzyły" wokół torturowanego chłopca szyderczy krąg, obrażając jego męskość, zarzucając mu brak stałości, piętnując jego okrucieństwo. Od czasu do czasu któraś z nich opuszczała tańczące, aby dać

mu upokarzającego klapsa bądź też typowo babskim gestem udawać, że wbija mu w plecy spinkę do włosów. Zgięty wpół na koźle, Piotr z oburzeniem i przerażeniem spoglądał na różgę z pokrzyw w rękach jego ostatniej zdobyczy, Nadine, drobnej blondynki o łagodnych oczach, którą nadmiar nieszczęścia popchnął jednak do ostateczności.

Próbował ubłagać Nadine, wymawiając z czułością jej imię, ale mimo to drobna rączka, ciągle zbliżając się, nie zawahała się i kierowała ku niemu to ohydne zielsko. Dziewczęta pochylone z zaciekawieniem, głowa przy głowie, ze złośliwym uśmiechem na twarzach, oczekiwały podskoków nieszczęśnika.

Wówczas Piotr pod wpływem paniki i poniżenia wybuchnął głośnym szlochem.

Młodej Nemezis zadrżała ręka, później całe ciało. Pokrzywy wypadły jej z ręki i nieprzytomna z przerażenia padła na ciało Piotra i oblała je łzami skruchy. Wkrótce całe zgromadzenie zdjęte wzruszeniem prześcignęło ją w płaczu. Gdy już opadła jej złość, ujawniła się prawdziwa natura tych dziewcząt, które w rzeczywistości były łagodne i potulne. Przepraszając Piotra, pomogły mu wstać, zabiegając o to, która ma mu zapiąć pasek. Piotr zrozumiał, że całą tę komedię odegrały po to, aby zmusić go do próśb. Więc gdy tylko poczuł ulgę, przybrał z powrotem wyniosły ton i by dać upust swemu napięciu nerwowemu, wymierzył Nadine dwa policzki, mimo to że go przecież oszczędziła. Niektóre z dziewcząt zaczęły żałować, że przebaczyły mu tak szybko, bo zbyt ostro sobie teraz poczynał. On natomiast nie domyślał się nawet, że w ten sposób znów się im naraża, za co przyjdzie mu wkrótce drogo zapłacić.

## **Smutna sarabanda**

— Ponieważ jest pan zdecydowany podpisać umowę — powiedział do Jacques'a Bordineau administrator — powinienem panu pokazać dom, gdyż widział go pan dotąd jedynie na zdjęciu. Jacques Bordineau obawiał się trochę tej próby. Pragnął odsunąć ją jak najdalej z obawy, że może się rozczarować po pierwszym wrażeniu lub wręcz będzie zmuszony zrezygnować z tak korzystnego interesu. Zdawał sobie doskonale sprawę, że można przyzwyczać się do mieszkania, które na początku sprawia nie najlepsze wrażenie, a nawet w końcu można je polubić. Oglądając zdjęcia zdążył już oswoić się z tą willą, której styl „ceglano-piaskowy” nie miał w sobie nic pociągającego, ale on dopatrzył się w niej pewnej nutki retro. Poza tym owa stylizacja sprawiała, że willa przypominała te Z obrazów Toulouse-Lautreca.

— Ogród jest nieco zaniedbany — powiedział Armand Lepchot, gdy zbliżyli się do siatki. — Wybujale zielska sprawiają wrażenie bałaganu, ale wystarczy przeciągnąć po nich kosiarką i trawnik za domem nabierze przyzwoitego wyglądu. Na froncie, jak pan widzi, jest tylko żwir. To praktyczne. Gdyby jakiś złodziej chciał się zakraść nocą, będzie go dobrze słychać. Choć z drugiej zaś strony, kot albo jakieś inne zwierzę może nieźle napędzić strachu. Trzeba przyznać, że żwir czasem bez powodu może przyprawić o palpitacje serca.

Murek opasujący posiadłość porośnięty był gęstym

bluszczem. Kilka liści opadłych przy siatce odsłoniło fragmenty muru, do którego była przytwierdzona ceramiczna tabliczka z pochyłym napisem: „Pod Koszem z Kwiatami”, otoczonym stylizowanymi kwiatami.

— To nazwa dawnego burdelu — powiedział administrator lekko zmieszany. — Dotychczas tabliczka była schowana pod bluszczem. Zdaje się, że jeden, z jego pędów usechł i odsłonił ten napis. Jeżeli pan sobie życzy, każę go zdjąć.

— Proszę nic z tym nie robić — odparł Jacques Bordineau rozbawionym głosem — ta nazwa jest urocza.

— Naprawdę zamierza pan używać tej skompromitowanej nazwy?

— Mój Boże, to przedawniona sprawa. A zresztą, powtarzam, nazwa jest zabawna.

— Na pańskim miejscu nie: robiłbym tego — powiedział niepewnym głosem administrator.

— Sądzi pan, że mogłoby to „ściągnąć na” nas nieszczęście? Rzeczywiście, dom wzbudza jakieś dziwne urojenia nawet u osoby na pozór tak rozsądnej jak pan.

— To dlatego, że pozostawił we mnie pewne niemiłe wspomnienia, zupełnie zresztą irracjonalne. Dotyczy to czasów, kiedy przywróciłem domowi jego zwykłą funkcję.

— Opowiedział mi pan już, jak zniszczył frywolną dekorację domu. Od tamtej chwili upłynęło tyle czasu, iż dziwię się, że zapamiętał pan to tak dobrze. Go powoduje, że owo wspomnienie jest dla pana tak przykre?

— Istotnie, upłynęło już trzydzieści lat\* jak ta willa z domu uciech stała się znów przyzwoitym domem. Cóż, nie jestem już młodym człowiekiem, a co do wspomnień\* związanych z remontem są naprawdę przykre. Przez cały czas, gdy nadzorowałem pracę robotników, „którzy zdzierali tapety, burzyli prowizoryczne ścianki, zamalowywali rysunki nagich kobiet, przywracali bidetom ich niewinny wygląd, działo się ze mną coś dziwnego. Czułem się, jakbym dokonywał straszliwej zbrodni odzierając ten dom

z jego przybrania, szat, ozdób z brutalnością gwałciciela. Czasem, gdy wieczorem zostałem trochę dłużej po odejściu robotników, by skontrolować ich pracę, ogarniał mnie stopniowy nieokreślony smutek, jakieś niewytłumaczalne przygnębienie, jakbym mimowolnie, bezwiednie współczuł nieznanemu żalobie. W niektórych pomieszczeniach nachodziła mnie melancholia, osłabienie, znrzysłowe rojenia. Pewnego wieczoru poczułem taki niepokój, iż aby go opanować, musiałem rzucić się na kanapę, której jeszcze nie usunięto, a gdy zamknąłem oczy, zaatakowały mnie sprośne wizje. Był to z pewnością skutek zmęczenia połączonego z niezdrowymi wrażeniami, jakie musiały wyrzucić na mnie freski z saloników. Było to dla mnie bardzo niemiłe i jak już panu powiedziałem, do dziś pozostał mi niesmak po tamtych dniach.

Administrator, który szedł przed Jacques'em, otworzył bramkę, a następnie drzwi wejściowe. Wszystko w willi sprawiało wrażenie nowości: jasne ściany, wykładziny, sprzęt domowy. Cztery pokoje na piętrze były wyklejone sympatycznymi tapetami w kwiatki.

— Każdy z lokatorów coś ulepszył w tym domu, unowocześnił — powiedział administrator, Armand Lepchot.

— A było ich osiemnastu — wykrzyknął z zachwytem Jacques.

W salonie obitym niebieską tkaniną światło padało przez okno balkonowe, które wychodziło wprost na ogród. Jacques z rozrzewnieniem oglądał na tkaninie pasterki, zagrody z owieczkami, które były dekoracją jego burżuazyjnego dzieciństwa. W tej właśnie chwili zdecydował, że dla Anny przeznaczy pokój obity różową tkaniną z Jouy. Pomyślał, że taka dekoracja powinna wesoło i zdrowo wpłynąć na pierwsze marzenia senne młodej dziewczyny.

Poprzedni lokatorzy nie pozostawili żadnego mebla z wyjątkiem kanapy narożnej, która była robiona na zamówienie, specjalnie dopasowana do salonu — powie-



dział administrator. — Jeśli zechce ją pan zatrzymać, co osobiście bym radził, trzeba będzie dokonać drobnej reperacji.

Jacques zauważył, że w pokoju jest bardzo gorąco. Podeszedł więc do okna balkonowego, aby je otworzyć; mimo świeżego chłodnego powietrza z zewnątrz, dusił się nadal.

— Na pewno zostawię tę kanapę, skoro zrobiono ją specjalnie. Mam nadzieję, że jest wygodna.

Wydawało się, że administratorowi też jest za gorąco. Rozpiął kołnierzyk i rozluźnił krawat. Popatrzył na Jacques'a nieco zmieszany. Jacques usiadł na kanapie, by sprawdzić, czy jest miękka. Rzeczywiście była znakomita, z puchowymi poduszkami. Położył się na wznak i nagle ogarnęła go senność, ociężałość, a nawet ośpienie. Zdawało mu się, że z sufitu dochodzą jakieś głosy przypominające ćwierkanie. Z pewnością był to śpiew ptaków dolatujący z ogrodu; odbijany przez ściany, powodował dziwne uczucie pieszczoty, a jednocześnie stręczycielstwa. Ogarnęła go lubieżna słabość.

Zaskoczony, ale również urzeczony, coraz bardziej osłabiony wtulił się w kanapę, poddając się tym dziwnym wrażeniom. Coś podobnego odczuwał jedynie przy spotkaniach z ukochaną, kiedy pożądana osoba rozbierała się na jego oczach lub szeptała mu do ucha rozkoszne obietnice. Teraz, gdy brakowało tych bodźców, niewątpliwie przyczyny jego osłabienia należało upatrywać w dwóch szklaneczkach porto, które wypił u administratora. Nie był przyzwyczajony do picia na czczo. Nagle podskoczył, gdy poczuł wstrząs. To administrator osunął się na kanapę obok niego, tak blisko, że niemal dotykał Jacques'a. Początkowe uczucie niepokoju ustąpiło miejsca niewyraźnemu zmieszaniu. Administrator bowiem przesunął delikatnie nogę w kierunku nogi Jacques'a, zaledwie ją muskając. Zrobił to tak dyskretnie, iż można by sądzić, że było to przypadkowe. Jacques nie był pewny, czy był to gest przypadkowy, czy nie, sam

poczuł nagle gwałtowną erekcję. Był zdumiony i zażenwany.

Przypomniał sobie, że w wieku dziewięciu lat szaleńczo zakochał się w koledze z klasy, jak najbardziej platonicznie oczywiście, i był to błędzenie zmysłów, jakie zdarza się często w przeddzień dojrzwania, kiedy to skłonności seksualne nie są jeszcze dostatecznie ukierunkowane. Owszem, gdy miał lat piętnaście — daleki od jakichkolwiek marzeń homoseksualnych, wręcz przeciwnie, uganiający się za dziewczętami — zdarzyło mu się przeżyć rozkoszne uczucie podniecenia, gdy pewnego razu w metrze błakająca ręka jakiegoś homoseksualisty dyskretnie go muskała. Często wracał myślami do tego wydarzenia, które więcej się nie powtórzyło, i na karb zaskoczenia, tajemnicy oraz pewnego rodzaju upodobania, jakie w tym wieku towarzyszy niekiedy przymusowi, składał efekt oszołomienia.

Ale czym wytłumaczyć wrażenie, jakie wywołał bez wątpienia przypadkowy gest administratora. Jakież to skłonności spychane na dno podświadomości ujawniły się tak nagle? I dlaczego właśnie w tym czasie i w tym miejscu, tak nieoczekiwanie?

I co w nim mogło wzbudzić pożądanie tego małego człowieka, nienagannie ubranego, ale w wieku statecznym?

— Przyniosłem plan domu, zapewne zechce go pan obejrzeć, żeby zastanowić się nad rozkładem mebli — powiedział Armand Lepchot ciężkim, przytłumionym głosem, który zwrócił uwagę Jacques'a: Wzrok administratora był zmieszany, rozbiegany, ręce mu się trzęsły, gdy rozkładał plan, a jego udo uciskało — jak wydawało się jego rozmówcy nieprzypadkowo — udo Jacques'a.

Administrator rozłożył plan na kolanach swoich i sąsiada. Aby podtrzymać kartkę od spodu, wsunął pod nią rękę ocierając o Jacques'a. Ten nie zareagował, choć

zachowanie to bez wątpienia nie było jednoznaczne. Opanowała go jakaś niewiadoma, perwersyjna siła. Mógł uwolnić się od uciążliwego sąsiedztwa, na przykład wstać, by pójść zamknąć bądź otworzyć okno. Pozostał jednak bierny.

Administrator obserwował go kątem oka. Wyglądał na równie zmieszanego jak Jacques, jakby zawładnęła nim jakaś inna, niezależna od niego wola. Ręka administratora podtrzymująca mapę spoczywała teraz spokojnie na kolanach Jacques'a i poruszała się, ledwie zauważalnie, za każdym razem, gdy jej właściciel, ożywiony jakby niezrozumiałym zainteresowaniem, opisywał wymiary ściennej szafy lub łazienki. Wkrótce administrator skończył mówić ale jego ręce nadal głaskały nogi Jacques'a. Ten, niczym sparaliżowany, zupełnie nie reagował, administrator natomiast sprawiał wrażenie obojętnego i odległego, prawie jak lunatyk. Gdy ręka administratora powoli wędrowała wzdłuż uda coraz wyżej, Jacques uczuł falę gorąca, jego serce zaczęło bić szybciej. Te dotknięcia, o których sama myśl wydawała się obrzydliwa, kilka chwil wcześniej sprawiały mu przyjemność. Gdy ręka znalazła się jeszcze wyżej, wyrwał mu się okrzyk, na który echem odpowiedziało charczenie administratora. Stracił on panowanie nad sobą i rzucił się na Jacques'a zdzierając z niego ubranie. Jacques ku swemu zdumieniu zachował się tak samo. Gdy wśród tego obłędu na chwilę, wróciła mu świadomość, miał wrażenie, że słyszy jeszcze dochodzące z sufitu szepty delikatnych głosików. Wypowiadały jakieś niezrozumiałe słowa i wydawały mu się teraz współwinnie, a zarazem nikczemne.

Nagłe szturchnięcie wyrwało go z tych rozmyślań. Poczł na sobie ciężkie ciało administratora. Przemknęło mu przez głowę, że jeszcze parę minut wcześniej w podobnych okolicznościach walczyłby do upadłego, tymczasem nie uczynił nic, najmniejszego gestu obrony, prze-

ciwnie, przepelniony uczuciem nikczemnej rozkoszy, przyjął pozycję wyczekiwania na spotkanie tamtego.

Wśródczwierzęcych niemalże wrzasków dwaj mężczyźni zakończyli brutalną szarpaninę i opadli nieprzytomnie, każdy w innym kącie kanapy. Osłupiali, na dłuższy czas zaniemówili, poprawiając na sobie ubrania zmęczonymi rękami. Wzajemnie starali się na siebie nie patrzeć. Jacques odczuł jednak potrzebę usprawiedliwienia.

— Pierwszy raz mi się to zdarzyło — powiedział cicho. Ale tamten przerwał mu zmęczonym, zniecierpliwionym głosem:

— Wiem, wiem, ja mógłbym panu powiedzieć to samo. Ale czy mi pan uwierzy?

— Nie dosypał pan czegoś do porto? — zapytał Jacques z bladym uśmiechem, chcąc trochę rozładować atmosferę.

Administrator zaśmiał się smutno.

— Bardzo bym chciał, aby to, co się nam przydarzyło, było skutkiem jakiejś zmontowanej przeze mnie sztuczki. Musi mi pan uwierzyć, nic w moim dotychczasowym życiu nie usprawiedliwia dzisiejszego zachowania i nigdy nie ogarnęły mnie tego typu skłonności.

— Ależ mnie też nie! — wykrzyknął Jacques. — Jak zatem wytłumaczyć tę bezsensowną scenę, która się tu rozegrała? Będzie się pan śmiał ze mnie, jeśli powiem, że to wpływ domu. Wolę jednak wierzyć w takie wyjaśnienie, niż pogodzić się z myślą, że zwariowałem.

Jacques zauważył, że podniecenie, które go przedtem opanowało, teraz zniknęło zupełnie.

Wspomnienie tego, co się wydarzyło, pozostawiło ogromny niesmak, a męskość administratora napawała go obrzydzeniem. Odczuwał wstręt na myśl dotknięcia jego ręki. Jacques z przerażeniem stwierdził, że coś haniebnego wyłoniło się z nieznanych sfer, gdy leżał na kanapie, i zawładnęło jego ciałem i duszą. Skąd pochodziła ta koszmarna, zwyrodniała, przeciwna naturze istota? Czy była nią jakaś dotąd

nie ujawniona częśćka jego samego, czy też może zewnętrzny demon? Przecież, gdyby wierzyć teologii, każdy człowiek obok swojego anioła stróża ma u boku także osobistego diabła, przydzielonego przez Lucyfera do zniszczenia duszy, w każdej chwili gotowego przystąpić do ataku. Brednie! Nie będzie przecież brał dosłownie tych przesądów.

— Nie ośmielam się zaprosić pana do siebie na porto — powiedział administrator, gdy wracali.

— Nie odważyłbym się przyjąć zaproszenia — odparł powściągliwie Jacques.

Dwaj mężczyźni pożegnali się zimno, nie wracając ani słowem do tego co się wydarzyło.

## **Płótno z Jouy**

— Nie lubię tych tapet w prążki w stylu epoki Dyrektoriatu — powiedziała Helena Bordineau wysokim głosem. Przejęła ten sposób mówienia, który wydawał się jej nadzwyczaj wytworny, od Renee Saint Cyr, którą z wyglądu przypominała. Odzywała się tym tonem jedynie w dystyngowanym towarzystwie, nie ryzykując w szkole, gdyż uczniowie natychmiast by ją Wykpili.

— Masz rację poparł ją Jacques — są zbyt pretensjonalne.. Poza tym prążkowana tapeta w jadalni gryzłaby się z płótnem z Jouy, którym obite są ściany sąsiadującego z nią salonu, a który właściwie jest jej przedłużeniem, wyjęliśmy przecież podwójne drzwi.

— No właśnie — potwierdziła Helena — czułam, że coś tu nie gra. Ty mi uzmysłowiłeś, o co chodzi. Rzecz nie w tym, że nie podoba mi się tapeta w prążki, ale pstrokata całość, jaką tworzy z obiciem z Jouy. Może właśnie to obicie należałoby zmienić. Tkanina z Jouy zalatuje prowincjonalizmem i nie jest w dobrym guście.

Mała Anna natomiast była innego zdania. Podobała się jej bardzo ta tapeta pełna sielankowych postaci. Prawie nie odrywała od nich wzroku, snując marzenia o pasteczkach, pastuszkach i barankach, co stanowiło przyjemną rozrywkę w czasie nudnych posiłków rodzinnych. Byłoby jej bardzo żal, gdyby zmieniono tę zabawną tkaninę. Tym bardziej, że od pewnego czasu postacie ożywały w jej oczach. Pasteczek skinęła w stronę pastuszka, a ten w odpowiedzi unosił swoją czapkę,

podczas gdy zdumione baranki przestawały skubać trawę i podnosiły łebki. Anna trochę przerażona zastanawiała się, czy wciągnięta została w jakiś sen, czy też rodzina widzi to samo, co ona.

— Popatrz na pastuszkę, pasteczkę i baranki, czy widzisz, coś? — zapytała swą siostrę Katarzynę. mam widzieć? — odparła Katarzyna, rzuciwszy krótkie spojrzenie na płócienne obicie salonu.

— Czy nie masz wrażenia, że się poruszają?

— Poruszają! — powtórzyła osłupiała Katarzyna. — Ależ ty masz omamy, moja droga!

Anna, przygnębiona, dała za wygraną. A więc nic się nie porusza, a ja mam złudzenia! Przecież jednak pastuszek, ukłoniwszy się, zbliżał się do pasteczki, podrygując. Podchodzą do niej i brał ją w ramiona. Piękna brnila się trochę, po czym pozwalała mu na pocalunek. Po chwili jej ręce zsuwały się z ramion pastuszkę i opuszczały do jego paska, później jeszcze niżej. Podobną trasę przebywały ręce pastuszkę po plecach pasteczki, teraz sięgnęły jej pośladków. Tymczasem ręce pasteczki wróciły do młodzieńca i rozpięły go. Grube spodnie z baraniej skóry opadły pastuszkowi do kostek, odsłaniając chlubny narząd. Pasteczka zaplotła ręce w geście entuzjastycznego podziwu, po czym przeniosła je z pietyzmem na swojego bohatera, podczas gdy pastuszek rozpinał jej stanik. Pomagając sobie wzajemnie, wkrótce obydwójce stali nadzy, a ożywione baranki zaczynały wesoło brykać. Pastuszek i pasteczka, rozbawieni tym widokiem, naśladowali je, leżąc na sianie w małej szopie zbitej z bali drewnianych przetykanych mchem, obok której dzbanek i złamane koło od wozu dopełniały romantycznej scenerii. Zmieniając pozycje, oddając się od czasu do czasu gorącym fantazjom, pastuszek i pasteczka zabawiali się w najlepsze.

— Czemu nie kończysz zupy? — spytała zniecierpliwiona Helena Bordineau. Co z tobą, moje biedne dziecko, rozmarzyłaś się tak z otwartą buzią.

Anna zmusiła się do zjedzenia zupy, wciąż nie spuszczać oczu z płótna z Jouy. Pastuszek zostawił swoją przyjaciółkę, złapał tryka za rogi i popychał go w kierunku przygotowanego szałasu. Stary samiec opierał się potrząsając głową, ale gdy był już na miejscu, ożywił się i dokonał cudu. Baranki śmiały się ukazując swoje duże żółte zęby. Ale zapadał już zmierzch i pastuszek z żalem wracał na swoje miejsce na płótnie z Jouy, a pasteczka, doprowadziwszy ubranie do porządku, zbierała ze słomy kądziel. Baranki znów pasły się spokojnie. Ruchy wszystkich postaci spowolniały, aż do całkowitego zastygnięcia. Zbiegło się to z przełknięciem przez Annę ostatniej łyżki zupy.

— Nareszcie — ofuknęła ją matka. — Widząc cię, jak bezmyślnie gapisz się w tę tapetę, zastanawiałam się, czy nie oszalałaś.

Ale natychmiast zmieniła ton na łagodniejszy: — Myślę, że masz już dość, moje biedactwo, przeprowadzka była taka męcząca.

Nie dopisywały humory członkom rodziny Bordineau podczas pierwszego obiadu w ich nowym domu w Saint-Cloud. Wszędzie było pełno słomy, na podłodze, na meblach, nawet na obrusie. Bibeloty, rozpakowane naczynia leżały w nieładzie na podłodze, przysypane tym szarawym pyłem, który wciska się wszędzie podczas przeprowadzki. Również zakłócenie zwykłego rytmu dnia nie mogło wprawiać w dobry nastrój.

Piotr skarżył się, że jego sypialnia sąsiaduje z pokojem Katarzyny i że cienka ściana, w której osadzono drzwii nie będzie pochłaniała piekielnych rytmów rockowych płyt, bez których Katarzyna nie mogła się obejść pracując do późnej nocy. Ona z kolei odparowała, że będzie musiała znosić jęki i piski gąsek, które Piotr będzie przechowywał do późnych godzin w swojej sypialni, a może nawet w łóżku. Właśnie przed obiadem, gdy rozpakowywała paczki z książkami, dochodziło z sypialni brata sapanie, początkowo słabe, później coraz szybsze, zakończone



gwałtownym jękiem. Piotr zaprotestował: nie wprowadził jeszcze do swojej sypialni ani jednej wybranki. (Katarzyna zachichotała,..). Zresztą nie przyszłoby mu to nawet do głowy przy całym kataklizmie przeprowadzki.

\_To prawda — potwierdziła Anna — byłam w jego pokoju chyba z dziesięć razy tego popołudnia, by prosić go o pomoc przy przesuwaniu mebli. Nie było tam żadnej dziewczyny, chyba że się skryła pod łóżkiem!

Helena Bordineau westchnęła. Cóż za lekcja dla jej czystej, słodkiej córeczki!

— Przecież mi się to nie śniło — odparła Katarzyna trochę zbita z tropu. — Nie powiesz mi, że to jęczały ściany.

— Ściany są dziwne w tym domu — powiedziała rzeczowo Anna.

Matka zniecierpliwiła się:

— Mam nadzieję, że nie wracacie do tych waszych bredni o nawiedzonym domu — powiedziała zwracając się do wszystkich, a nie tylko do Anny. — Taki ładny i czysty dom nie może oddziaływać złowrogo.

W jej przekonaniu zjawy mogły się dobrze czuć jedynie wśród ruin i pajęczyn. Należy je więc odstraszać olejnymi farbami, błyszczącymi wyfroterowanymi parkietami i pogodnymi tapetami, jakie były właśnie w tym domu. Jej poprzednie obawy opuściły ją natychmiast, gdy zachwyciła się tym domem.

\_Ta willa — ciągnęła — miała może złą opinię w zamierzchłej przeszłości, ale jej wystrój został zmieniony, a my nie mamy nic wspólnego z okropnymi kreaturami, które ją zamieszkiwały. Jesteśmy przecież uczciwymi ludźmi!

Pokój zalał nagle gwałtowny i agresywny świergot ptaków.

— To dziwne, żeby ptaki śpiewały o tej porze — powiedziała Katarzyna.

Była jesień i właśnie przed chwilą zapadł zmrok.

Helena Bordineau poszła zamknąć drzwi od balkonu, który wychodził na ogród.

— Może to nietoperze? — powiedziała wzdrygając się.

Jacques'owi zdawało się, że w tym świergocie, skupiającym się pod sufitem, rozpoznaje tajemnicze kwilenie, które słyszał leżąc na kanapie z administratorem. I jego również przebiegł dreszcz.

Uwadę Anny znów przyciągała tapeta z Jouy, na której nagle ożyła pastereczka. Chwyciła swój kołowrotek i poruszyła nim jak oszczepem.

— Nienawidzę sprzedajnych kobiet — mamrotała wciąż Helena Bordineau. — Jeżeli pozostawiły po sobie jakąś niezdrową aurę w tym domu, spróbuję ją potraktować wodą, z Javel! Te brudy trzeba zdezynfekować jak pokój po zmarłym.

Cięnięty gwałtownie kołowrotek opuścił tkaninę i leciał wprost na panią Bordineau, która w tym samym momencie krzyknęła i chwyciła się za szyję. Gwałtownie coś zmiażdżyła, a gdy odjęła dłoń, na obrus spadł ogromnych rozmiarów szerszeń. Niemal w tej samej chwili zaczęła się dusić, a jej twarz oblała się potem. Ukłucie szerszenia spowodowało ognisko zapalne, które błyskawicznie nabrzmiało. Jacques Bordineau, zaniepokojony, wezwał pogotowie ratunkowe, którego numer zanotował przed kilku dniami w swoim notesie, jakby niewyraźnie przeczuwał jakieś nieszczęście...

Lekarz przybrał natychmiast zatroskaną minę.

— Użądlenia szerszenia w okolicy twarzy są zawsze niebezpieczne — powiedział do Jacques'a, gdy już zaaplikował jego małżonce zastrzyki z antyhistaminy i coś na wzmocnienie serca. — Owad przyleciał tu z pobliskiego gniazda. Szerszenie nigdy nie oddalają się zbyt daleko od swoich kolonii. Gniazdo znajduje się niewątpliwie w pańskim ogrodzie. Radziłbym odszukać je jak najszybciej i zniszczyć z pomocą strażaków.

Nazajutrz Jacques przeczesał cały ogród, lecz na próżno. Obrzęk na szyi Heleny nieco zmalął, ale wargi jej zrobiły się sine.

— Powinna dużo pić tej nocy — zalecił lekarz już przy wyjściu. — I proszę pozamykać okna w sypialni. Powtórne użądlenie mogłoby się okazać tragiczne.

Po jego odejściu Helenę ułożono w małżeńskiej sypialni z dwoma bliźniaczymi łózkami — był to sposób na stwarzanie pozorów współżycia, gdy tymczasem małżonkowie żyli w separacji—a Jacques przygotował się do czuwania przy niej przez całą noc, gdyż ataki duszności, wprawdzie teraz już rzadsze, mocno go niepokoiły.

Anna całując go na dobranoc, szepnęła ojcu do ucha:

— To nie był szerszeń, to pastereczka z tapety. Rzuciła w nią kołowrotkiem.

— Ależ tak, ależ tak — zareagował pobłażliwie Jacques, klepiąc córkę w policzek.

— Przysięgam ci, że to widziałam.

Gwałtowny tpn Anny zaskoczył go. Zrozumiał, że nie kłamie. Z pewnością — powiedział do siebie Jacques — padła ofiarą wytworu własnej wyobraźni. Ten incydent zatroskał go jednak.

## Oczarowanie

Niespełna na dwie godziny przed tym wydarzeniem jednemu z mieszkańców Saint-Cloud przytrafiła się dziwna przygoda, gdy po pracy wracał do domu ze swojego biura w Paryżu. Zmęczony po całym dniu, zagłębiany w siedzeniu samochodu, uległ posepnemu nastrojowi zapadającego zmierzchu. Las ciągnący się wzdłuż drogi wchłaniał jeszcze ostatnie promienie słońca, gdy na szosę spływało już jasne zimne światło księżyca. Kierowca westchnął. Ach, jakże ponura była ta godzina powrotu, bardziej jeszcze monotonna tej przedwczesnej jesieni! Zastanawiał się, skąd bierze się ogarniające go dyskretnie uczucie zniechęcenia. Wyłączył radio. Wydawało mu się, że poczuł się lepiej, gdy ucichł ten strumień monotonnej muzyki, podobnie jak chiński skazaniec odczuwał ulgę, a nawet radość, gdy powstrzymana zostanie nieubłagana torturująca go kropla. Ale gdy ucichła muzyka, powróciła melancholia, i tym razem nie potrafił już znaleźć jej przyczyny. Przyszło mu na myśl, by zagłuszyć ją szaleńczymi rytmami niezależnej stacji radiowej. Obawiał się jednak, że nie zniesie irytującego stylu prezenterów radia „Librę”.

Gdy zrezygnował z tego pomysłu, zaczęło go falami ogarniać przygnębienie, które stawało się coraz cięższe. Pomyślał, że jest to podstępne oddziaływanie stresu i że przepracowanie doprowadzi go kiedyś do wypadku na tej drodze wieczornych powrotów, nieodmiennie pustej o tej porze, kiedy to różowe słońce przestają podskakiwać jedynie  $t$  powodu nieśmiałości, cechującej wszystkie wielkie ssaki.

Przeczuwając niebezpieczeństwo, zwolnił. Mimowolna skarga wydostała się z jego ust, jak nieuzasadniona niezmierna rozpacz, która go przepełniała. Samochód zjechał lekko na porośniętą trawą pobocze i jeszcze zwolnił. Kierowca zamierzał zaparkować, by przejść się trochę i odzyskać równowagę. Nagle na środku drogi zauważył coś ogromnego, białego, co jakby zmaterializowało się w jednej chwili i znów wprawiło go w osłupienie. Gwałtowne hamowanie zarzuciło samochód na pobocze. Mężczyzna z czołem przytkniętym do przedniej szyby obserwował zjawisko. Czy to księżyc spadł na drogę, czy może gigantyczny holenderski ser? Wyobrażał sobie, że mógł to być balon, którego pilot znalazłszy się w opałach, zmuszony był lądować na drodze. Jednak nie było widać kosza. Przedmiot wydawał się nieokreślony, a jego kształty płynne. Teraz z sera w kształcie balonu zmienił się w białawą, opalizującą parę pośladków, której przedziałek coraz bardziej wyraźny okrywał się tajemnicą. Wydało mu się, że widzi owłosienie układające się pod wpływem wieczornego wiatru. Ta wizja napełniła jego duszę łagodną tęsknotą, która zatuszowała, a w końcu całkowicie wyparła niepokój, jaki w niej zagościł. Dwie półkule, lekko świecące, mrugały w jego stronę, odsłaniając w owych zmysłowych ruchach wejścia do grot lub gąszczy zaczarowanych lasów. Wyciągnął ręce i wydał usta, podobnie jak czynią to szympansy, by wydać okrzyk pierwotnego pożądania. Olbrzymi pulsujący organ zbliżał się do samochodu i wkrótce zajął całe pole widzenia kierowcy. Wyczuwało się lekką wibrację, a z głębi wąwozu, wstrząsanego powolnymi ruchami, wydobyło się stanowcze wezwanie.

Kierowca obezwładniony poczuł, jakby opuszczała go dusza. Gdy odzyskał świadomość, życie powróciło mu najpierw do palców; jeszcze nie widząc nic i nie słysząc, sięgnął ręką do kluczyka w stacyjce. Ale zamiast suchego, zimnego metalu poczuł ciepłe ciało. W tym momencie

odzyskał słuch i zdawało mu się, że słyszy pełne obietnic szeptu zachęcające go nachalnie, by się rozluźnić. Ponieważ rozróżniał jedynie cienie, lubieżne zarysy, migotanie, sądził, że jego wzrok nie funkcjonuje, sprawnie. Ale po jakimś czasie stwierdził, że widzi dobrze, pomimo iż przed jego oczami roztaczał się jedynie mglisty zmienny świat. Niemniej jednak delikatna skóra, której dotykał, pieszczotliwe słówka, które łechtały jego uszy, oraz lubieżne kształty powstające przed jego oczami skłamały go do wniosku, że znajduje się w jakimś podejrzanym miejscu lub że umysł jego pograżył się we śniez którego zapewne wkrótce się obudzi. Być może usnął, zaparkowawszy ostrożnie samochód na skraju drogi? Gdy spojrział poza te ektoplazmatyczne kształty, które tworzyły się i rozpływały wokół niego, jego wzrok zatrzymał się na ścianie z nitowanej blachy. Rozejrzawszy się dokoła stwierdził, że siedzi na kanapie umieszczonej pośrodku okrągłej metalowej sali, poprzetykanej bulajami. Sufit tworzył kopułę, w której umieszczony był dzwonek. Na licznych tarczach migotały czerwone i zielone światełka, a z podłogi wydobywało się pomrukiwanie.

Kierowca rozpoznał w tych kształtach zwyczajne UFO, nazwane również latającym spodkiem, którego istnienia, podobnie jak wszyscy inni, którym się taka przygoda zdarzyła, nie traktował poważnie, i nawet teraz, mając ów spodek przed oczyma, wzbraniał się jeszcze przed zaakceptowaniem go.

Jednak wyraźnie widział blaszane ściany i chciał się podnieść z kanapy, by uderzyć w nie pięścią. W tej samej chwili osaczyły go błagania. Zaklinano go, by się stąd nie ruszał, by pozostał jeszcze chwilę. Czyż nie mógł poświęcić jednej chwili swojego życia, aby uszczęśliwić biedne, opuszczone istoty? Podszedł jednak do ściany i wyciągnął rękę. Ale ta zagłębiła się w jakiejś miękkiej, mazistej substancji, przypominającej ciało. Wstrząsnęło to nim mocno i przez moment był nieobecny. Nie zauważył,

jak kosmiczne ręce uniosły go w przestworza i ułożyły na kanapie. Przytłoczyły go rozkosze tysiąca błędzących pó nim palców. Z urywków słów, które wyrwały się pieszczącym zjawom, zrozumiał, jak mu się wydawało, że ten nagły zapał spowodowany był upustem nadmiaru pożądania nagromadzonego podczas długiej tajemniczej podróży. Odnosił wrażenie, że UFO przybyło z daleka, z wyłącznie żeńską załogą na pokładzie, która po długim okresie wstrzemięźliwości stała się żarłoczna. Wśród czułych słów wychwycił strzępy dialogu, których wulgarny realizm przywodzi na myśl raczej domy schadzek Toulouse-Lautreća niż obrazy zmysłowych rajów Gustava Moreau, Przymknawszy oczy odgadywał w ich wypowiedziach akcent i wyrażenia charakterystyczne dla mieszkańców przedmieść, jakie wkładali w usta swych postaci z podejrzanych miejsc autorzy realistycznych przedwojennych filmów francuskich.

Ten sen, o ile to był rzeczywiście sen, spodobał mu się bardzo, i mężczyzna zrezygnował z zadawania sobie zbyt wielu pytań, jak również z zameczania nimi tych ujmujących czarodziejek w obawie, że iluzja zniknie.

Gdy te zabiegały, by dostarczyć mu jak najwięcej przyjemności, wydawało mu się, że słyszy stanowcze słowa wyrzutów, które mogły oznaczać: „No, no, panienki, trochę powściągliwości...” Gdy tylko zabrzmiały te słowa, ruchy rąk stały się bardziej opieszale i jednocześnie powrócił dziwny smutek, jaki towarzyszył mu podczas jazdy.

Ale czarodziejki już nalegały: „Och, niech nam pan pozwoli, od tak dawna zmuszone jesteśmy przebywać w tych okrutnych przestworzach”. Zgodny lament unosił się ze wszystkich stron rozległej sali o ścianach z miękkiej stali. Owe szlochy i dziwne słowa wzbudziły w kierowcy wahanie, czy to sen, czy jawa. Sądził raczej, że katapultowany w jakiś tajemniczy sposób w astralną przestrzeń, zamieszkuje tymczasowo coś na kształt Maison Tellier,

który porusza się po niebie i którego normalne okna zastąpiono bulajami.

Lamenty ustały i w pomieszczeniu zapanował radosny nastrój, jakby małe bachantki osiągnęły zakazany owoc. Poczul to w całym swoim ciele, które aktywne rączki wciąż przebiegały, obracały i tarmosiły. Zjawy pieszczotliwie szeptały mu do ucha, wypytując o upodobania, dając do zrozumienia, że od ich pełnego zaspokojenia zależy honor domu — jakiego domu?

Nadal sądził, że to wszystko dzieje się we śnie, gdyż pieszczoty, sprawiając wrażenie nierzeczywistości, nie umniejszając tym samym rozkoszy, jakie wywoływały, doprowadzały go do wyczerpania już to nerwowego, już to umysłowego.

Poczucie niepewności zrodziło w mężczyźnie lekki niepokój, jaki odczuwał ktoś wzruszony pięknem cmentarza, gdy wrażenie estetyczne miesza się z dyskretną trwogą na myśl, że przyszedł zwiedzić to miejsce jako przyszli lokatorzy. Niczym odwiedzający zmarłych, z pewnym wahaniem zgadzał się na tę mieszaninę melancholii i rozkoszy, jakie płynęły z tajemniczego urządzenia, gdyż czuł się w nim niczym w nekropolii, choćby i latającej, gdzie duchy powtarzały pewne gesty z minionego życia. Nie potrafiły im jednak nadać przekonującego pozoru rzeczywistości, gdyż bramy piekieł stawiały zbyt duży opór nawet skumulowanym siłom pożądania.

Gdy tylko uświadomił to sobie, wszystko wokół niego jakby zaczęło się cofać: ręce się oddaliły, mleczne zjawy rozplynęły się w delikatną mgiełkę, metalowe ściany stały się przezroczyste, następnie zarysy umalowanych twarzy, ozdobionych napuszonymi fryzurami, pospiesznie, ale jakby z wahaniem — niczym zmuszone do pożegnania przekształcały się w obłoczki mgły. W końcu z tych mglistych oparów przerwane go wyłonił się zagadkowy napis: „Pod Koszem z Kwiatami”, wygrawerowany pochyłym pismem na błyszczącej tabliczce, z pewnością



ceramicznej, i ozdobiony girlandami kwiatów w stylu Guimarda.

Po'urzekającej wizji, której kierowca sam położył kres, pozostało mu, gdy otworzył oczy w swym samochodzie, jedynie lekkie zakłócenie zmysłów. Temu zaburzeniu niewątpliwie należało przypisać jego wrażenie, że śmierdzi jakimiś tandetnymi perfumami, oraz halucynację, która przez chwilę zadźwięczała mu w uszach płataniną głosików jednocześnie radosnych i rozpaczliwych, które ucichły, zakończone ledwie zauważalnym westchnieniem gdzieś w górze, na znów opustoszałym niebie.

Zapuścił silnik, szybko zapominając o tym koszmarze — tak to odbierał — w istocie dość niezwykłym, co' można było wytłumaczyć nadmiernym przepracowaniem.

Droga była pusta, a po balonie w kształcie pośladków dam Toulouse-Lautreca nie pozostało ani śladu. Zamyślił się na chwilę, zapalił papierosa. Z całej przygody utkwił mu w pamięci jeden szczegół: wesoły napis „Pod Koszem z Kwiatami”; w istocie wdzięczna nazwa dla małej willi na przedmieściu.

## **Piotr i Katarzyna**

„To pierwsza noc w tym domu, dlatego nie mogę zasnąć”, rozważała Katarzyna, dziwiąc się jednak, że pomimo chłodu oblewa ją pot. Przypomniały się jej westchnienia, jęki, które słyszała tego popołudnia, jakby dochodziły ze ścian. Nie miała powodu, by nie wierzyć-zapewnieniom Anny. Skoro u Piotra nie było dziewczyny, skąd mogły się wziąć te sapania, westchnienia i lubieżne jęki? Gzy należało wierzyć w opowieści o opętaniu, o którym wspomniał pewnego wieczoru ojciec, kiedy wahał się jeszcze, czy podpisać umowę? Ułożyła poduszki tak, że mogła pozostać w pozycji prawie półsiedzącej, jak miała zwyczaj to robić w czasie bezsennych nocy. Chciała w ten sposób uwolnić się od koszmarnych rojeń na jawie, jakie ją wówczas prześladowały. Z lękiem dotknęła, ściany przylegającej do łóżka. Nie zdziwiłoby jej zbyt, gdyby ta okazała się wilgotna i ciepła jak ciało. Ale ściana była gładka i chłodna jak każda przyzwoita ściana pokryta tapetą. Wtedy Katarzynie wydało się, jakby coś przepłynęło nad nią. W słabym świetle, sączącym się przez okiennice, rozpoznała jakiś podłużny cień, niewyraźnie przypominający ludzkie ciało, który zbliżał się do niej stopniowo znikając. Teraz już nic nie widziała, ale czuła na swoim brzuchu i piersiach drżącą i ciepłą istotę, która wprawiała ją w przedziwne ckliwe rozmarzenie. Dziwiła się sama sobie, że się nie boi. Ta obecność wydawała jej się

sama nie wiedziała dlaczego — naturalna i znajoma. Istota lekko poruszyła się na niej, wprawiając ciało dziewczyny w rozkoszne drzenie, które wkrótce przeszło w tak silne dreszcze, że Katarzyna przeraziła się, odrzuciła gwałtownie kołdrę i zapaliła nocną lampkę. Natychmiast poczuła się uwolniona od tego niezwykłego ucisku. Badawczo przejrzała wszystkie kąty pokoju, ale nie udało się jej dostrzec żadnego podejrzanego cienia. Jeszcze chwilę wcześniej bezwolna, biernie zgadzała się na niezwykły atak: teraz rozbudzona na dobre była bliska paniki.

Narzuciła na siebie szlafrok i zapukała do pokoju brata, który odpowiedział mruknięciem. Weszła jednak, zostawiając drzwi uchylone, by do pokoju wpuścić trochę światła. Piotr usiadł na łóżku i patrzył na nią ze zdziwieniem pomieszanym ze złością.

— Dlaczego mnie budzisz? Cholernie długo nie mogłem zasnąć przez te odgłosy dochodzące z twojego pokoju. Nie wiem, co ty wyprawiasz w łóżku, ale potwornie hałasowałaś.

— Jak to! — oburzyła się Katarzyna. — Położyłam się natychmiast po wejściu do sypialni i nie robiłam nic. Przewracałam się tylko z boku na bok, by uwolnić się od dziwacznych koszmarów. Piotr zdenerwował się.

— Czy wreszcie się dowiem, dlaczego robisz pobudkę w środku nocy? Czy to znowu jakiś koszmar?

— Można by tak powiedzieć — odrzekła Katarzyna — ale ja jestem pewna, że nie spałam.

Opowiedziała mu o tym dziwnym ucisku, który ją tak przeraził. W trakcie opowiadania przysiadła na łóżku brata, a gdy wykonywała ten ruch, jej szlafrok odchylił się odsłaniając kolano.

Piotr położył na nim rękę z dwuznacznym uśmiechem.

— Co ci jest? — zdziwiła się Katarzyna.

Gest brata, w którym niby nie kryło się nic zdrożnego, zrobił na niej większe wrażenie, niż gdyby ją uderzył.

Jednocześnie zaskoczona poczuła ciepło pożądania rodzące się z pieszczonego kolana i ogarniające całe udo. Nie poruszyła się, wzburzona tym, co się jej przytrafiło. Piotr nie mniej zdumiony swym niestosownym gestem, nie cofał jednak ręki. Ogarnęło go jakieś nieznane zmieszanie. Katarzyna, dla której żywił zawsze jedynie braterskie uczucia, zmieniała się w jego oczach i nagle jawiła się niczym Wenus o wschodzie słońca, z obnażonym łonem, wilgotnymi ustami.

W rzeczywistości to przyspieszony oddech zdradzający emocje nadał Katarzynie taki wygląd.

Piotr zaczął przesuwając rękę z kolana na udo siostry. Katarzyna, uwieszona na jego szyi, rozchyliła lekko nogę ady nagły krzyk doleciał z sypialni Anny — z pewnością coś się jej śniło — budząc ich przywracając do rzeczywistości.

Katarzyna skoczyła na równe nogi i owinęła się szlafrokiem. Piotr ze zmieszaną miną skrył się pod kołdrą.

— Co się z nami stało? — wymamrotała Katarzyna przed odejściem.

— Nie wiem — odpowiedział Piotr. — Ten dom dziwnie na nas oddziałuje. Przepraszam cię za to, co się stało.

Katarzyna wzruszyła ramionami i lekko się uśmiechnęła.

— Na szczęście nic się nie stało. Zreflektowaliśmy się w porę. Ale trudno nam będzie p tym zapomnieć. Będę musiała zamknąć drzwi na klucz.

— Ależ to przecież ty wtargnęłaś do mojego pokoju — zaprotestował Piotr.

— Przeraza mnie sama myśl, że to mogłoby powtórzyć — powiedziała Katarzyna. — Powiedz szczerze: czy miałbyś na to ochotę?

— Tak — powiedział ponuro Piotr. — To jest jak trucizna, która we mnie wtargnęła. Już nigdy nie będę mógł traktować cię tak jak dotychczas.

— Trucizna! Miły jesteś — odrzekła żywo Katarzyna, dodając, jakby kpiła z siebie: — Ja też napiłam się tej trucizny i boję się tego, co mogłam zrobić. Musimy unikać pozostawania sam na sam.

— Przed wszystkim byłoby dobrze, żebyśmy nie byli tak osamotnieni, jak to się dzieje od naszej przeprowadzki do Saint-Cloud. Być może w tym tkwi przyczyna tego absurdalnego zdarzenia.

Oboje zgodzili się, że urządzą natychmiastową śmiałą nagonkę na terenie liceum.

## **Noc pełna fantazji**

Na krzyk Anny ohydne karły, upiory, bezwstydnie kształty, czarownice z zaświatów zgromadzone wokół jej łóżka, dręczące jej duszę całym swoim okropnym natęctwem, rozproszyły się spłoszone i wściekłe, pokonane przyływem czystości, na który się powołała.

Była to długa batalia i Anna czuła się tak zmęczona, jakby wspinała się na szczyt po węzłach sznura, z którym borykać się musiała na lekcjach gimnastyki. Czyż teraz, po nieporównanie bardziej chwalebnym zwycięstwie, sznur mógł stanowić dla niej jakąkolwiek trudność? Ta myśl dała jej pewności siebie; wyobraziła sobie pełne podziwu zdumienie nauczyciela gimnastyki, przystojnego mężczyzny z wąsikami.

„Tak, jeśli mierzyć je zawziętością wroga, zwycięstwo było niewątpliwie godne podziwu” — pomyślała z dumą Anna. Jeszcze raz przebiegła wzrokiem ściany swojej sypialni. Wszystkie postacie z różowej tapety z Jouy posłusznie powróciły do swoich szafasów i'chat, a przecież jeszcze przed chwilą...

Wszystko zaczęło się, gdy tylko Anna zgasła swoją lampkę przy łóżku. Najpierw w ciemnościach rozległ się koncert, na który złożyło się ćwierkanie, gdakanie, chichot, a gdy wszystko ucichło, tajemnicze światelko rozświetliło sufit, jakby farba na nim stała się fosforyzująca. Światło nadawało każdemu przedmiotowi jakiś nierealny wygląd. Toaletka i komoda stały się niewyraźne i straciły barwę, pufa przypominała skupioną w sobie, pulsującą

medużę. Światło to dawało również inne efekty. Wszystko, co znalazło się w jego zasięgu, nabierało wulgarnego wyglądu.

Pierwszym uczuciem, jakie ogarnęło Annę, był nie strach, lecz złość z powodu tej bezczelnej inwazji. Jakiż to ograniczony demon pozwalał sobie na tę grubiańską farsę. Nie wątpiła, że była to sprawka jednego z pomniejszych diabłów z bandy Lucyfera, gdyż wraz z dziwną fluorescencją poczuła odprężenie, które ją osłabiło. Bez wątpienia było to kuszenie, i wiadomo było, kto się za tym kryje.

W rzeczywistości Anna nie tyle bała się diabłów, o jakich mówił ksiądz na lekcjach religii, raczej zabawnych i śmiesznych niż niebezpiecznych, ile ich forteli

i postępków. Na myśl o tym ogarniała ją panika.

Uwagę Anny zwróciło teraz poruszenie, jakie zaszło w pejzażu tapety z Jouy, w miejscu, gdzie dotykała ściany noga łóżka. Czyżby miały się powtórzyć sceny z jadalni? Rzeczywiście, pastuszkowie, pastereczki, małe baranki, wszyscy ruszyli w jej stronę, w bezwładzie wtargnęli na jej łóżko i przeróżnymi gestami — jedni drżącymi rękami, drudzy drgającymi nozdrzami — o coś ją błagali. Chór cienkich głosików i beczenia błagał Annę, zaklinał ją, by otworzyła swoje serce na szczęście, które tylko czekało na sposobność, by unieść ją w niewyobrażalne rajskie krainy. Niech tylko zapomni zwodnicze słowa katechety! Niech odrzuci sprzeczne przykazania Dziewicy i Chrystusa! Niech rozłoży ręce tak mocno skrzyżowane na piersiach! Niech wsłucha się w słodki język swoich zmysłów! Niech posłucha rady poety i nie czeka, aż zwiędną róże! „Skoro z takim trudem przychodzi jej walczyć z pokusą” — kontynuowały głosy; czyż nie oznacza to, że zakazane przyjemności są naprawdę wspaniałe i że można się przed nimi obronić jedynie zamykając oczy i uszy, by nie dopuścić do głosu ciała, krótko mówiąc, stając się kaleką, starcem i głupcem. I dlaczego właściwie te przyjemności miałyby

być zakazane? Przez jakiegoś zazdrosnego Boga, którego racji nie mogła zrozumieć?

Anna pifzez chwilę była wytracona z równowagi. Jej koleżanki z liceum — myślała — mniej zasadnicze w sprawach cnoty, nie były przez to bardziej nieszczęśliwe, przed czym przestrzegał katecheta nauczając, że grzech zaciemnia duszę, przyćmiewa rozum, czyni człowieka złym. Anna nie wiedziała wprawdzie, co działo się w ich sumieniach, być może targanych wyrzutami, ale widziała je nie mniej radosne niż ona, wiedziała też, że te nie zawsze najrozsądniejsze błyskotliwie zdawały egzaminy.

Orszak profanów cnoty bezładnie posuwał się naprzód po kapie łóżka, wymachując pasterskimi laskami i kołowrotkami. Anna chcąc ich przepędzić pokropiła całe towarzystwo gałązką jemioły, którą przechowywała w kryształowym naczynku wypełnionym święconą wodą, stojącym u wezglowia łóżka. Niewiele tym wskórała: otwarły się parasolki, pastuszkowie naciągnęli na głowy kapturki. Annę zdziwiło, że woda święcona okazała się tak iriało skuteczna. Przypomniała sobie jednak słowa katechety: „Modlitwa zostaje wysłuchana jedynie wtedy, kiedy wypowiada się ją z sercem pełnym ufności i z czystą intencją”. Być może podobnie jest z wodą święconą, która skutkuje tylko wówczas, gdy używają jej osoby szczerze. A może ona, Anna, splamiona namowami pastuszków, nie była w stanie szczerze pragnąć, by woda święcona przegoniła całą tę czeredę i tym samym oddaliła pokusę, która wydawała się równie ponętna jak sam grzech?

Z początku zaniepokojona już miała się rozplakać, ale skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła się modlić; wkrótce ogarnęła ją złość. Chwyciła poduszkę niczym maczugę i cisnęła nią z całej siły w mały natrętny ludek; natychmiast wszyscy się rozproszyli, kołowrotki i laski połamały, a owieczki przewracały do góry nogami. Natychmiast z sufitu, jakby rozwścieczonego, zaczęły rozbiegać się we wszystkie strony błyskawice, rozświetlając pokój. Przeszła



nowa fala świergotu, który tym razem zdawał się dolatywać z ogrodu. Anna przez szczeliny w żaluzjach zobaczyła ogromny księżyc, jakby pocięty w paski. Ciało niebieskie chygotało, niczym pod wpływem wiatru. Nagle w niewytłumaczalny sposób zmieniło kolor na niebieski, później zielony i zmalowało, aż wreszcie całkiem znikło, jakby schowało się gdzieś w przestworzach. Sypialnia, na moment rozświetlona za sprawą tego dziwnego zjawiska, znów pograżyła się w mroku. Sufit znów tajemniczo świecił.

Anna klasnęła w dłonie. Wygrała tę batalię. Jej miniaturowi kusiecie pospiesznie wracali na tapetę z Jouy. Tak więc złość okazała się skuteczniejsza w takich sytuacjach. Diabły i diablęta, jak i wszyscy inni prześladowcy znajdują się tylko na przemocy. Nawet Chrystus, by przepędzić szatańskich kupców ze świątyni, posłużył się batem, a nie modlitwami. Ale Anna musiała jeszcze przewyciężyć własne serce, a niezbyt dobrze wiedziała, .tlla kogo onp bije, Wciąż zaciskała na nim złożone ręce. Całe to zamieszanie wyprowadziło ją trochę z równowagi; gdyby jeszcze raz przyszło jej przebyć tę próbę, nie mogłaby ręczyć za swoją stanowczość.

Ponowny atak nastąpił nagle i uderzył wprost. Nic nie widząc poczuła, jak jakieś ciepłe ciało ociera się o nią. Wyciągnęła rękę, aby je dotknąć, ale trafiła w próżnię. Coś jednak wyraźnie napierało na nią z boku. Zanim zdążyła znów położyć rękę na piersi, niewidzialny towarzysz pochwycił ją i umieścił na swojej, w czasie bardzo krótkiej materializacji. Wówczas Anna dowiedziała się, że ma do czynienia z osobą płci żeńskiej.

Pomimo swej naiwności dziewczyna wiedziała, że kobiety czasami ze sobą... ale nigdy się tym specjalnie nie przejmowała. Była więc mało wrażliwa na obecność tajemniczej istoty żeńskiej, aż do momentu, gdy ta przesłała Annie serię perwersyjnych fal, które wywoływały u niej szczypiącą gęsią skórkę.

Pomimo to Annie udało się znów złożyć ręce na piersiach. Wówczas przesłano jej całą serię najrozmaitszych perwersyjnych scen: zbiorowe uściski, orgie, igraszki z niewinnymi w stodołach. Spodziewano się widocznie wiele po tych spektaklach, gdyż przedłużano je aż do momentu, gdy Anna, wciąż niewzruszona, zbagatelizowała to wszystko ziewnięciem. Tajemnicza istota odpowiedziała lodowatą wściekłością. Anna poczuła uderzenie fal gniewu oraz syberyjskie podmuchy urazy. Wtedy po raz pierwszy uczuła lęk. Ta mroczna kreatura, która chciała jej upadku, była bezlitosna i okrutna. Gdyby bowiem usiłowała doszukać się dobra jej ciała i duszy, jak pragnęła przekonać ją o tym Anna, czyż przyjęłaby swą porażkę z taką furją? Przypominało to reakcję istoty perfidnej, której pułapkę zdemaskowano. Należało natychmiast ją przepędzić, aby nie miała czasu wymyślić jakichś nowych, sztuczek.

Anna zdawała sobie sprawę, że tak ciężka masa musi być mało wrażliwa na ciosy poduszką. Co do wody święconej, poprzednie bezskuteczne zastosowanie kazało Annie zważyć w jej moc.

Zdecydowanie nie mogła narażać swojej moralności na niebezpieczeństwo. Postanowiła jeszcze raz użyć przemocy. Ufała swoim mięśniom, dobrze wyćwiczonym na gimnastyce.

Obróciła się na bok i wymierzyła niewidzialnej zjawie podwójnego kopniaka, w który włożyła całą swą gorliwość, wzywając przy tym na pomoc świętego Jerzego i świętego Michała, obu wielkich wojowników z diabłami.

Zapomniała niestety o niematerialnej naturze owej istoty, tak więc kopniak przeszedł przez nią jak przez chmurę i Anna z całym impetem uderzyła w ścianę, co ją ogłuszyło.

Przeźroczysta istota mogła się widocznie zmaterializować wedle woli, gdyż dziewczyna poczuła, że ciepłe, silne ręce schwyciły ją za nogi. Oburzyło ją, że niebo zezwala, by słudzy demona używali fizycznej przemocy jako

dotatku do zwykłych praktyk kusicielskich. Jak można zatem winić biednych ludzi, skoro zmuszani są do grzechu siłą! Było to zaburzenie całej gospodarki dobrych i złych uczynków.

Anna zniechęcona, gdyż aniołowie i święci opuścili ją, poddała się zabiegom tych zuchwałych rąk. Muskały jej nogi, uda, sięgały nieco wyżej, dostarczając przenikliwej rozkoszy, której nie poczytała sobie za grzech, jako że została jej ona narzucona. Później ręce powędrowały jeszcze wyżej. Annie wyrwało się przy tym westchnienie, czego zaraz pożałowała — nie powinna była współpracować; gdy ręce sięgały szyi, zaczęły się na niej zaciskać. Anna, zdziwiona, sądziła z początku, że to dalszy ciąg pieścizot, i nie broniła się. Gdy jednak uścisk się zacieśnił, a ostre paznokcie zagłębiły w jej krtani, zaczęła się zaciekle bronić. Straszliwe ręce nie zwalniały uścisku. Anna poczuła na twarzy przykry oddech, cuchnący tytoniem i oparami alkoholu. W momencie pojęła, że ta pieścizająca żeńska istota przekształciła się w męską bestię o morderczych zapędach.

W ogrodzie znów ukazał się wielki świecący balon. Anna doznała dziwnego wrażenia, jakby nad nią czuwał, dodając jej odwagi. Wezwała na pomoc anioły i pełna rozpaczyny wydała długi, przenikliwy krzyk, który obudził Piotra i Katarzynę z ich koszmaru.

W tej samej chwili, gdy tamci na powrót odzyskiwali rozsądek i wróciło uczucie wstydu, Annę natychmiast opuściły zjawy, które ją prześladowały. Sypialnia pogrążyła się znów w łagodnym mroku jesiennej nocy. Dziewczyna przez chwilę rozmyślała z próżnością o swym podwójnym zwycięstwie oraz o wyzwaniu, jakie zamierzała rzucić temu pełnemu tajemnic zjawisku. Po czym zmęczona, ale szczęśliwa prawie natychmiast zasnęła.

## **Kuszenie**

Po przespanej nocy, bez sennych rojeń, Anna niemalże Zapomniała o przykrych wizjach Z poprzedniego wieczoru. Gdy się przebudziła, majaczyło jej jedynie jakieś mgliste wspomnienie, tak że zastanawiała się, czy przypadkiem wszystko to nie było snem. Małeńkie postacie z tapety z Jouy w jasnym świetle poranku wyglądały tak niewinnie i miło! Czyż był ktoś bardziej niewinny niż ta rumiana pasteczka; czyż istniał lepszy chłopiec niż ten radosny pastuszek? Małe baranki, tak jak wszystkie małe baranki na całym świecie, miały ładną wełnę i były rozkoszne, a szałas i szopy sielankowe. W tej wergiliańs-kiej scenerii nie było miejsca dla satyrów i bachantek.

Anna rozpromieniona wyruszyła na spotkanie nowego dnia i jedynie podczas przerwy w szkole zachmurzyła się na moment, gdy jej towarzyszka zabawy, widząc ją roztargnioną, zawołała: „Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła zjawę!”

Podczas kolacji powoli zaczęła opuszczać ją werwa. Żyrandol w jadalni oświetlał przede wszystkim stół, tak że pełen tajemnic zmierzch zaczął ogarniać malowidła z obicia salonu.

W królestwie cienia bukoliczni bohaterowie zaczęli tracić swój wdzięk, przestawali się uśmiechać i jakby zaszywali się podstępnie w mrocznym lesie. Małe gospodarstwa, obory stawały się posepnymi ruinami. Gdy żyrandol zamrugał, Annie wydawało się, że widzi sowę przelatującą między dwoma chwiejącymi się dachami.

Z całą siłą powróciło wspomnienie straszliwej walki, jaką stoczyła ze Złym. Przypomniały się jej słowa księdza: „Demon nigdy nie daje za wygraną i ustępuje dopiero wówczas, gdy ulegniemy pokusie.” Perspektywa, że znów zostanie poddana nowej próbie, przekraczała jej siły. Anna rozplakała się.

Widząc to ojciec, poruszony, usiadł przy córce, by ją pocieszyć. Delikatnie obejmując za szyję, zapytał o powód zmartwienia.

— Masz jakieś kłopoty? Czy ktoś cię skrzywdził?

— Nie — zaszlochała Anna — boję się.

— Czego się boisz? Że nie powiodło ci się na klasówce? Nie lubisz swoich nowych koleżanek? Czy są wobec ciebie złośliwe?

Anna pomimo swego strapienia o mało co nie wzruszyła ramionami, ojciec był tak daleki od prawdy! Nie mogła mu przecież o wszystkim powiedzieć! Czyż może mu opowiedzieć o swoich halucynacjach? Było przecież jasne, że wyśmieje jej bajki o postaciach wychodzących z tapety oraz o niewidzialnych ektoplazmach. Poprzestała więc na powtórzeniu: „Boję się”, dodając tylko przyciszonym głosem.

— Boję się tego domu. Jest niedobry.

Byłaby z pewnością zdziwiona, gdyby wiedziała, jak wielki niepokój wzbudziło w sercu ojca jej wyznanie. Gdyby to zauważyła, może zdecydowałaby się na zwierzenia, bez obawy, że narazi się na drwiny. Jacques chciał się dowiedzieć, czy jego córka nie lubi swojej sypialni, swojego łóżka, czy też z powodu przeprowadzki, która zakłóciła jej zwykły rytm, przenosiła tę niechęć na cały dom. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Anna może uważać dom za zły sam w sobie. Zresztą nie miał jak o to zapytać, nie budząc, w niej lęku. Sam musiał się pilnować, by nie okazać niepokoju. Od chwili, gdy po żalostnej przygodzie z administratorem zaczął wierzyć w niezdrowy wpływ domu, uważał za swój obowiązek

zachować to dla siebie i z nikim na ten temat nie rozmawiać; przynajmniej dopóki nie będzie miał całkowitej pewności. Przybrał wesoły ton:

— Posłuchaj, Anno, nie masz się czego obawiać, jesteś tu przecież z rodziną! Nie lubisz tego domu...w porządku. Ale to dlatego, że go jeszcze dobrze nie poznałaś.

— Właśnie poznałam — odpowiedziała Anna posępnie.

— My także jeszcze nie przyzwyczailiśmy się do niego. Ale podoba się nam. Jest bardzo wygodny i tak łacinie się nazywa: „Pod Koszem z Kwiatami”. Popatrz na te polakierowane obrazki, na nowiutkie tapety, wesołe obicia.

— No właśnie, te wesołe obicia - wymamrotała Anna.

— A to co znowu — wykrzyknął zdenerwowany Jacques — czyżby nie podobało ci się obicie z Jouy? Przecież sama je sobie wybrałaś do sypialni, podobnie jak i kapę na łóżko.

— Podobało mi się, ale teraz już mi sięnie podoba — zrzędziła Anna.

Pani Bordineau, która dotąd nie włączała się do rozmowy, wyraźnie się zaniepokoiła.

— To kaprys, Anno, jesteś niegrzeczna. Wiesz dobrze, że dom bardzo mi się podoba, a wymyślasz jakieś historie, żeby mnie zdenerwować.

I zrezygnowana pokręciła głową.

— Ach! Cóż zrobić, dziewczęta w tym wieku chciałyby się przeciwstawiać całemu światu.

Ta interwencja wystarczyła, by Jacques stanął po stronie córki. Zapytał łagodnie, co w tym domu powoduje jej lęk.

— Nie'mogę powiedzieć—wymruczała Anna.

— W takim razie nie będę mógł ci pomóc.

— Ależ tak, możesz pomóc.

— W jaki sposób?

— Śpij u mnie w pokoju. Ten dom staje się zły właśnie w nocy. Twoja obecność może go onieśmieli. A jeśli mimo to będzie mnie prześladować, przynajmniej się przekonasz, że nie kłamałam.

Te ostatnie słowa wypowiedziała całkiem cicho, z czego Jacques był bardzo zadowolony. Podobnie jak Annie, i jemu nie zależało na tym, by wszyscy się dowiedzieli — jej z obawy, przed drwinami, on zaś nie chciał wzbudzić paniki wśród mieszkańców domu „Pod Koszem z Kwiatami”.

— Nie mogę spać w twoim pokoju — zaprotestował Jacques. — Musiałbym tam przywlec swoje łóżko, a po całym dniu przeprowadzki nie mam już siły. Ale obiecuję ci, że zostanę przy tobie, dopóki nie zaśniesz, jak to często robiłem, gdy byłaś mała.

— Ja też to często robiłam — wtrąciła cierpko Helena Bordineau. — Nie mogłaś zasnąć, dopóki nie opowiedziało ci się jakiejś bajki. I trzeba było trzymać cię za rękę. Ileż to ja się nie nawymyślałam różnych nudnych historii, kiedy mi się wyczerpał stały repertuar! Od tego czasu jestem pełna podziwu dla pisarzy i scenarzystów. Nie ma nic bardziej męczącego niż wymyślanie. Powinnaś się wstydzić, że w tym wieku zawracasz ojcu głowę swoimi kaprysami z dzieciństwa.

To besztanie nie zmniejszyło radości Anny, która zapewniła sobie pomoc ojca przeciwko piekielnym zastępom.

Jacques dotrzymał obietnicy i gdy Anna wślizgnęła się do łóżka, usiadł u wezłowia i wziął ją za rękę jak dawniej.

— Czy trzeba ci opowiedzieć bajkę? — zapytał z lekkim przekąsem.

— Nie śmieć się — zaprotestowała córka. — To nie dziecinny kaprys. Boję się, bo poprzedniej nocy byłktu.

— Kto taki?

Anna nie odpowiedziała. Ogarnęła ją senność. Zanim zamknęła oczy, zdążyła jeszcze wymruczeć:

— Widzisz, to dzięki tobie nie przyszli dziś wieczór. Jacques nalegał:

— Powiedz wreszcie, co za „oni”?

Ale nie otrzymał odpowiedzi, a regularny oddech Anny wskazywał na to, że usnęła.

Delikatnie oswobodził swoją rękę. Teraz mógł iść się położyć. Postanowił jednak poczekać jeszcze chwilę, by się upewnić, że Anna zasnęła na dobre. Kiedy się nad nią pochylił, by posłuchać oddechu, widok małej główki z jasnymi włosami rozrzuconymi na poduszce wzruszył go tak bardzo, że sam się zdumiał. Schylił się i pocałował dziewczynkę w czoło. Anna poruszyła się, odkrywając przy tym ramię. Jacques nie rozumiejąc niczego, ryzykując obudzenie dziecka, pocałował ją tym razem w obnażone ramię. Natychmiast skarcił sam siebie za ten nieostrożny i zbyt intymny gest. Później jednak rozgrzeszył się. Uległ jedynie odruchowi czułości i tyle. Czy rzeczywiście czułości? Poczł, jak jego twarz oblewa gorąco, nie mógł oderwać oczu od ciała Anny. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. „Cóż! — powiedział do siebie — nie ma w tym nic złego, że ojca wzrusza widok wdzięków córki. Musi kiedyś nadejść ten dzień, kiedy zobaczy w niej kobietę, a nie ciągle małą dziewczynkę.”

— Z pewnością to nie kazirodztwo! — Ku swemu zaskoczeniu wypowiedział te słowa na głos, jakby uczestniczył w jakiejś dyskusji.

Nie zdziwił się jednak, gdy usłyszał — a może zdawało mu się, że słyszy — głos, który odpowiedział: „Kazirodztwo jest czymś naturalnym i pełnym uróku. Jest bardzo rozpowszechnione. Czyż jest rodzina, która kiedyś tego nie zakosztowała? Jego ofiara pragnie tego w równym stopniu co ten, kto je popełnia. Czyż nie rodzi ono fantastycznych więzów? I jaka rzadka przyjemność naruszać to straszliwe tabu. Czyż człowiek smakujący, życie może pogardzać tak wyrefinowanymi rozkoszami?” Skąd pochodził ten głos? Czy było to tajemnicze



rozdwojenie, w którym zła połowa jego samego usiłowała go zwieść?

Gdy zadawał sobie te pytania, przez pokój, niczym lot, wróbla, przemknęła fala cienkich głosików i zniknęła za oknem. Jacques, zaskoczony, przypomniał sobie podobne zjawisko, które miało miejsce w jadalni. Rzeczywiście, w tym domu działy się jakieś dziwne rzeczy. Tymczasem jego krew się uspokoiła i wstał, by pójść do łóżka. Schylił się chcąc okryć córkę, i wtedy nowa fala pisków przepłynęła przez pokój. W tym samym momencie Anna jakimś konwulsyjnym ruchem prawie całkiem się odkryła. Ukazała się jedna noga, goła aż do granicy wstydu, którą zaznaczała podwinięta koszula nocna. Jacques'owi Bordineau wydało się, że, poprzez żaluzje dostrzega, jak w ogrodzie przesuwa się jakiś biały kształt, przypominający ogromny balon.

Poczuł w głowie falę gorączki i w stanie półświadomości wyciągnął rękę fauna w kierunku ciała, które delikatnie błyszczało na dziwnie fosforyzującym suficie. Jego ręka już zaczynała pieszczoty, gdy nagle w przeblasku świadomości pomyślał o hańbie, która zatrułaby resztę jego życia, jeśli nie pokona tego niestosownego pożądania. Zmobilizował wszystkie siły, aby zapanować nad wolą. Ale w środku, w nim samym, coś się przyczaiło i zawiadywało mięśniami jego ręki. Czuł jednak, że to coś jeszcze nie w pełni się rozgościło, że szuka lepszej pozycji. Jeżeli pozwoli się mu rozpanoszyć, wkrótce stanie się częścią jego samego i bez reszty okryje go hańbą. Jeszcze istniała między jego wolą a tą „obecnością” mała szczelina, dzięki której mógł ją pochwycić i wyrwać ze swojego serca. Była to ostatnia szansa. Za cenę ogromnego wysiłku, wspomaganego gorliwą modlitwą, zdjął z Anny swoją dłoń i położył ją na zapalanej zarówno nocnej lampki. Trzymał na niej rękę tak długo, aż była dotkliwie poparzona.

Natychmiast niecodzienne światło zniknęło z sufitu. Anna podświadomie naciągnęła na siebie koc, a

kanie przelatujące przez ogród oddaliło się, aż w końcu ucichło.

Jacques chwiejnym krokiem wrócił do swojego pokoju. Ręka straszliwie go paliła. Wślizgnął się do łóżka, jednak nie dość cicho, by żona tego nie zauważyła.

— I co, śpi? — zapytała.

— Śpi jak aniołek — odrzekł.

— Więc przekonałeś się, że to były tylko wymysły! Jacques nie odpowiedział. Czyż mógł wyznać Helenie,

nie narażając się, że zostanie posądzony o chorobę psychiczną, że wie teraz z całą pewnością, iż dom jest nawiedzany przez coś, co można by nazwać demoniczną siłą? Czyż mógł się przyznać, ryzykując zarzut, że jest jak chorągiewka, iż przed chwilą odmówił żarliwą modlitwę? Do kogo się modlił?

## **List księdza**

Władze kościelne być może popełniły błąd powierzając księdzu Florianowi katechezę w liceum dla dziewcząt. Był on jednym z tych nowoczesnych księży, którzy chcąc oczyścić dogmat z dawnych przesądów, redukowali go do postaci szkieletowej. Tak więc na oczyszczonych ze starego kultu kościołach nie zostały już żadne resztki słabego ciała. Ale wraz z odpustami i szkaplerzami zanikało poczucie sacrum. Bóg odarty z ludowych ozdób, pozbawiony świec, zmuszony do wyrażania się potoczną francuszczyzną nie wzbudzał już trwogi, a nawet szacunku, ani u księdza, ani u jego owieczek. Zanikła też wiara w diabła. Znamiennym było, że odtąd hostię dawano do ręki, przed czym wzbraniano się długi czas w obawie, by Ciało Chrystusa nie zostało sprofanowane podczas czarnych mszy. Ksiądz zadumiał się: wszystko ułatwiało się wraz z szacowną bigoterią, zarówno cuda jak i sabaty.

Ksiądz był zbyt młody, by nie ulegać modom, ale nie na tyle stary, by mógł się pocieszyć zwodniczym sceptycyzmem. W niektóre dni, gdy ogarniało go przygnębienie, to co przetrwało z religii katolickiej, jawiło mu się jako orientalna tandeta, śmieszna i odpychająca na wzór miedzianego bądź skórzanego cacka, na które zwykle dajemy się namówić na tamtejszych bazarach, a które w naszej kulturze, w naszych domach nigdy się nie przyjmują.

Pozostawała więc księdzu z jego lat młodzieńczego zapału mglista wiara w konieczność cnoty, nadzieja, że

nasze zasługi zostaną wynagrodzone gdzieś w odległych zaświatach, oraz misjonarskie pragnienie niesienia pomocy młodym ludziom, by było im dobrze — jego hobby zaspokajające chęć oddziaływania na dusze.

Wszystko to nie było najlepsze dla młodych dziewcząt. Kobiety, nawet te wyemancypowane, nie nauczyły się jeszcze obywać bez przesądów, które mają się do religii tak jak romans do prawdziwej miłości. Dewocja i romansidła to dwie kaplice tej samej świątyni, do której uczęszczają. Jeśli pozbawicie ich różańców, szkaplerzy, porannych mszy, pogrążą się w bzdurach sekt, radiestezji lub „nauk paranormalnych”, o ile nie powierzą swych dusz jasnowidzom, a zdrowia filipińskim uzdrawiaczom.

Ksiądz Florian świadomy był, że traktując je urokami czystego dogmatu nie przyciągnie swych młodych licealistek, żądnych wrażeń, wychowanych w obyczajach i kulturze pop, pozbawionych bałwochwalczego kultu dla dawnej religii.

Pomyślał więc, że łatwiej uda mu się dotrzeć do ludzi, gdy odwoła się do prestiżu sztuki. Dlatego właśnie często ilustrował swoje katechezy dawnym malarstwem religijnym. W czasach gdy waliły się wszystkie wartości, jedynie sztuka pozostawała niewzruszona, i te dziewczęta, podobnie jak cały dum oszołomionych przez mass-media, oblegały wystawy, przekonane, że Manet był wielkim malarzem i że istnieje sztuka nowoczesna przez duże S.

„Dziewczęta potrzebują pobożnych obrazków” — powtarzał sobie katecheta. „Modlitewniki ich babek były ich pełne. Spróbujemy więc pogodzić etykę z estetyką!” Jednak estetyka pozostawała odrębnym działem. Diabełki Boscha, święci w ekstazie malowani przez prymitywistów, niebieskie wizerunki Chrystusa el Greca, Madonny Rafa-fU prędko ukuły w duszach jego uczniów uproszczoną MCiogie, która miała się do prawdziwych dogmatów podobnie jak „rojenia” Teilharda de Chardin do przemyśleń świętego Augustyna. Sztuczną pobożność ich babek,

przypominającą jezioro ingorancji, po którym pływają rózańce, skrawki płóto, których dotykała święta Teresa, gąbki zwilżone wodą z Lourdes, zastąpiła u tych dziewcząt religia z komiksów, nie mniej sztuczna i bardziej jeszcze narażona na błędzenie, gdyż pozbawiona obowiązków i sankcji. „Gdy metafizyce wyrastają piersi, skarży się ona, krzyczy, że to oszustwo, śmieje się bez powodu i zaopatruje w amulety. Religie najpierw objawione mężczyźnie, psują się za sprawą kobiet, tak jak ryba zaczyna psuć się od głowy” — takie to melancholijne myśli snuł katecheta.

Tak więc gdy mała Anna, jego była uczennica, nie mając komu się zwierzyć, pokonała trudy podróży z Saint-Cloud do Villejuif, by mu opowiedzieć w sekrecie o wydarzeniach owej nocy, poczuł, jak ogarnia go zniechęcenie. Gratulował sobie, że rozpałił wielki płomień świętości u wrót sanktuarium, a tymczasem ten pozostawił jedynie żużel w duszach młodego pokolenia!

W jego przekonaniu opisane przez Annę doświadczenia były jedynie zwykłymi etapami kuszenia. Podstępnie, podle kusiciel podsuwał najpierw pozornie niewinne myśli, później na zasadzie skojarzeń dodawał mgliste wizje, zanim otwarcie podjął lubieżny atak.

Tam gdzie ksiądz dostrzegał lekkie zaburzenie umysłu, Anna widziała konkretne obrazy, żaloszny dowód jej podatności na sugestię. Nie potrafił więc obronić dziewczyny przed tymi pułapkami naiwności. Co więcej, skłonności do przesądów tej młodej dziewczęcej duszyczki wzmocnione były przez nadmiar zbyt realistycznych obrazów, którymi tak chętnie upiększał swbje lekcje wychowania religijnego.

Świadomy własnych błędów, tym surowiej karciał Annę. Źródła zła nie powinna dopatrywać się w obiciach z Jouy, ale w sobie samej, i tam powinna je zwalczać. Niech się nie uważa za niewinną i nie twierdzi, że nieczyste myśli zostały jej narzucone z zewnątrz. Owszem

Pismo Święte mówi o diable, ale nie należy brać tego dosłownie i wyobrażać sobie jakiejś postaci, lecz jako częśćkę na samych, która ciągnie nas w dół, w przeciwieństwie do Anioła Stróża symbolizującego to, co dąży do duchowego wzrastania.

Krótko mówiąc, ksiądz wzbudził w niej taki wstyd z powodu przebiegłych pastereczek, zuchwałych potworów i fosforyzujących światełek, że Anna wybuchnęła płaczem. Nie mógł jej w żaden sposób pocieszyć. Zbyt dużo było pomiędzy nimi niedopowiedzeń.

Anna była przekonana o rzeczywistym istnieniu złowieszczych przebierańców, którzy zaatakowali ją przez zaskoczenie. „Nie — powtórzyła sobie — nie miałam w sercu żadnej nieczystej myśli, kiedy to wszystko się zaczęło, nie mogło to się też zdarzyć we śnie, bo przecież siedziałam przy stole, obudzona, besztana zresztą przez matkę.”

Ksiądz już miał zalecić Annie odmówienie cząski różańca lub dwóch, ale zreflektował się, że w stanie ducha, w jakim się znajdowała dziewczyna, mogłoby to jeszcze umocnić ją w przesądach. Odesłał zatem Annę do apteki z listem polecającym, aby wydano jej środek uspokajający, który miała zażywać przed snem. Nie ma takiego diabła, który nie ustąpiłby przed valium— zamruczał pod nosem ksiądz. Nie znalazł się nikt, kto by mu zwrócił uwagę, że sam Bóg również w szczególny sposób byłby przez nie osłabiony. Zresztą, któż by się ośmielił na to w epoce triumfu medycyny, kiedy nie pozwolono by ukrzyżować Chrystusa bez uprzedniego znieczulenia?

Ksiądz sądził również, że postępuje słusznie, wysyłając do, ojca Anny krótki list:

*Drogi Panie,*

*Zwracam się do Pana, gdyż obydwaj mamy za zadanie troszczyć się o duszę Anny, pańskiej córki.*

*Sądzę, że nie nadużywam zaufania, jakim obdarzyło mnie to dziecko,*

*przekazując Panu to, co mi opowiedziało. Tym bardziej, że sam Pan podzielił się ze mną swym niepokojem z powodu niezdrowego wpływu, jaki mógł wywierać nowy dom na pańską rodzinę. Czyżby to był zbieg okoliczności? Anna twierdzi, że od pierwszej nocy ma halucynacje wzrokowe i słuchowe, które interpretuje sobie jako sprawy diabła. Co do mnie, widzę w tym zwyczajne objawy kuszenia, ubarwione jedynie przez zbyt bujną wobraźnię. Mam nadzieję, że nie jest to dla Pana zaskoczeniem, iż w wieku pańskiej córki zdarzają się tego typu zaburzenia. Niekiedy nawet przebiegają bardzo gwałtownie. Ofiara wstydząc się, chciałaby je zatuszować. Mogą stąd powstać nerwice. Jeśli chodzi o Pańską córkę, obawiam się, by jej naturalne skłonności do przywidzeń nie były dodatkowo pobudzone przez Pańskie domysły, jakimi mógł się Pan podzielić z rodziną na temat tego domu, mówiąc, że jest źródłem nieszczęść i że jest nawiedzany. Pozwalam sobie zrobić Panu tę uwagę. Wiem, iż jest Pan zatwardziałym racjonalistą i nie ulega Pan tym bzdurom. Ale Pańskie dzieci nie są tak odporne jak Pan. Należy się szczególnie obawiać o małą Annę, by nie szukała u Pana ucieczki od mojego sceptycyzmu, gdyż słyszała, że opowiadał Pan o duchach jak o czymś, co istnieje, nawet jeżeli Pan żartował,*

*Zwracam się więc do Pana o pomoc w wyleczeniu tego uroczego dziecka z koszmarów, jakie sobie uroiło, a które mam nadzieję, szybko ustąpią wobec Pańskiego rozsądku oraz dzięki moim modlitwom. List wprowadził Jacques'a Bordineau w rozgoryczenie. Oto ksiądz zaklina go, by zachował zdrowy rozsądek, a on, agnostyk, zastanawia się nad istnieniem niewidzialnych mocy. Z pewną różnicą jednakże: on nie wiedział — albo jeszcze nie wiedział — do kogo się modli.*

## **Niepokojący administrator**

Armand Lepchot zapowiedział Swoją wizytę w domu „Pod Koszem z Kwiatami” na koniec dnia. Jacques Bordineau, wciąż pod wrażeniem okoliczności ich ostatniego spotkania, nie odważyłby się na spotkanie sam na sam. Ale o siódmej wieczorem cała rodzina będzie w komplecie, czuł się więc bezpiecznie. Pretekstem do tego spotkania miało być podpisanie dokumentów dotyczących umowy i ubezpieczenia. Ale Jacques Bordineau zorientował się zaraz po wyrazie twarzy administratora, gdy ten przemierzał jadalnię i ogród, że prawdziwym celem jego wizyty była chęć zobaczenia, jak nowi lokatorzy domu adaptują się w nim.

— Nie widział pan przypadkiem zjawy? — rzucił pytanie takim tonem, jakby świadom był jego absurdu i chciał dać do zrozumienia, że to jedynie groteskowy pomysł.

Jacques jednak nie dał się wywieść w pole i niezbyt uprzejmie odpowiedział:

— Niech pan nie udaje sceptyka. Doskonale pamiętam o pańskich niepokojących ostrzeżeniach, gdy omawialiśmy warunki umowy. Żałuję, że pana wówczas posłuchałem i uległem głupim przesądom. Tego domu nie zamieszkują żadne zjawy, wbrew wszelkim bzdurom, jakich pan naopowiadał. I nic na to nie wskazuje, byśmy je mieli tu zobaczyć. Zastanawiam się, czy to nie wymysł pańskiego chorego umysłu.

— Mój umysł funkcjonuje zupełnie sprawnie — uciał administrator dotknięty.



Obydwaj mamy od niedawna powody, by w to wątpić — odparł sucho Jacques. — Proszę się zdecydować: albo z pańskim rozumem jest coś nie w porządku, i w takim razie mogę wybaczyć pańskie ekscesy; albo jest pan zdrowy na umyśle, a wtedy jest pan dla mnie odrażający.

— Zapewniam pana o trzeciej ewentualności: perwersyjny duch tego domu opętał nas obu i przestraszył.

Jacques wzruszył ramionami. Nie chciał przyznać przed Armandem Lepchot, iż dom rzeczywiście ma jakąś „moc”, ani tym bardziej, że wówczas na tej przeklętej kanapie uległ własnym żądom. Wolał wierzyć w nikczemność administratora oraz w to, że został przez niego prawie zmuszony.

Widzę, że znalazł pan świetny wykręt! „To nie ja, to zjawa!” — powiedział bez ogródek, naśladowując płaczący ton administratora.

— ...albo diabeł — wtrącił poważnie administrator.

— To bardzo wygodne! A zatem piekło jest wszędzie dokoła, tylko nie w panu. Mając takie alibi można sobie bezkarnie popełniać zbrodnie, najokrutniejsze przestępstwa, nie biorąc za nie odpowiedzialności! Cała rzeka krwi nie zostawiłaby na was najmniejszej plamki! Wasze zjawy i diabły to doprawdy piękny wynalazek.

— Po kiego licha — ryknął administrator — miałbym wymyślać zjawy kompromitujące dom, odstraszające lokatorów, obniżające czynsze?

Jacques Bordineau z początku nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Później opanowała go straszna myśl. A jeżeli administrator wymyślił tę bajkę o złowieszczym wpływie domu, aby przekonać jego mieszkańców rodzaju męskiego, których systematycznie napadał — tak jak napadł na niego — że ulegając mu nie ponoszą żadnej winy, ponieważ zostali zaczarowani? W ten sposób nie narażał się na ich niechęć i przygotowywał niejako do nowego ataku. A gdy nieuchronnie małżonki wykrywały

owe ekscesy, czyż nie wystarczyło to samo wytłumaczenie, by one z kolei stały się fatalnymi potworami, oczekującymi przebaczenia, raczej pocieszenia niż zemsty? Tak więc również one wpadały w sieci zastawione przez Armanda Lepchot! Z całą pewnością zaklinał je wówczas, by wzięły udział w tych figlach, co pozwoliłoby mu wyleczyć się z homoseksualizmu, a one dzięki temu przy pomocy lekkiego grzechu będą mogły przewyciężyć grzech śmiertelny. Oto powód, dla którego lokatorzy, by nie upaść tak nisko, po krótkim czasie opuszczali dom, w rzeczywistości uciekając przed odrażającym administratorem.

Jacques, w miarę jak rodziły się jego podejrzenia, sam wpadał w ich pułapkę.

— Nie życzę sobie — powiedział ze złością — pańskich częstych wizyt. Jeżeli ma pan jakieś-dokumenty do przekazania mi, proszę przesłać pocztą, a jeśli to bardzo pilne, może pan nająć gońca. Pańska osoba budzi we mnie większą obawę niż dom. Dobrze wiem, do czego jest pan zdolny. Jest pan typem człowieka, przed którym za wszelką cenę należy ustrzec własną żonę i dzieci.

Znajdowali się w tym momencie w ogrodzie i administrator zauważył z sarkazmem:

— Widzę, że pańska rodzina zebrała się w salonie. Czy mam wyjść bramą z tyłu ogrodu, by ich nie zdemoralizować?

— Niech pan nie udaje głupiego. Helena byłaby zaskoczona, gdyby się pan z nią nie pożegnał.

Ustalmy jednak, że nie będzie pan się starał z nami widywać, przynajmniej na razie. To minimum, o które mogę pana prosić.

Jacques spodziewał się, że Armand Lepchot przystanie na to okazując swe niezadowolenie, ale ku jego zaskoczeniu wyglądał na zaleknionego i zmartwionego, jakby z rezygnacją przyjmował ciężar fatalizmu oraz przystawał na to, że go oskarżono i obwiniono o perfidię,

byle tylko przebaczone mu nieszczęścia, których mimo woli był sprawcą.

Kiedy Armand Lepchot zęgnął się, Jacques Bordineau zauważył, że Anna była nienaturalnie blada, a oczy wychodziły jej z orbit. Cofnęła się w głąb pokoju i skryła za wysokim fotelem, zza którego wystawała tylko jej przerażona twarz. Odprowadziła administratora wzrokiem do drzwi, jak gdyby był jakimś niezwykłym zjawiskiem, w które nie mogła uwierzyć. Gdy tylko wyszedł, pomknęła jak strzała do ogrodu, i rzuciła się w trawę.

— Cóż ona znowu wymyśliła? — narzekała pani Bordineau. — Zawsze gdy jesteśmy przy stole albo mamy zasiąść do stołu, tę małą napadają dziwne kaprysy.

Jacques podbiegł do Anny i podniósł ją.

— Co ci jest? — zapytał z mieszaniną irytacji i lęku w głosie.

— Ten człowiek, administrator. Przestraszył mnie. To człowiek zły i niebezpieczny.

— Dlaczego tak mówisz? Kto ci naopowiadał takich rzeczy? — zapytał Jacques, starając się ukryć swoje poruszenie.

— Kiedy był w salonie miałam wrażenie, jakby przeniesiono mnie na chwilę do innego świata. Usłyszałam piski, ciche głosiki, które go oskarżały, demaskowały. A na suficie pojawił się den w kształcie młodej dziewczyny, która załamywała ręce wskazując na niego. Wtedy głosy, pełne nienawiści, stawały się coraz silniejsze.

— Słyszałaś po prostu ptaki w ogrodzie. Drzwi balkonowe były szeroko otwarte. Jesteś zmęczona, zbyt dużo ostatnio pracujesz. Znowu coś ci się przywidziało.

Anna ,przez chwilę nic nie mówiła. Wreszde głosem zmęczonym, przygnębionym, jakby rezygnowała z dalszego przekonywania ojca, powiedziała:

— Poza tym wszystkie postacie z obida z Jouy krzyczały na niego i mu groziły.

### **Anna w niebezpieczeństwie**

Pod koniec wieczoru Jacques Bordineau poczuł, że ogarnia go jakaś niewytłumaczalna złość; Początkowo złożył to na karb niezbyt przyjemnej rozmowy z administratorem i postanowił napić się whisky, by rozproszyć tę chmurę.

Alkohol pogorszył jeszcze jego humor, który osiągnął swe apogeum, gdy Jacques zauważył zachowanie Anny podczas kolacji. Wciąż rzucała ukradkowe, niespokojne spojrzenia w kierunku obicia z Jouy w salonie, nerwowo nabierając zupę z talerza. Drżenie dolnej wargi zdradzało jej niepokój. Zamiast rozczulić, rozzłościło to jej ojca. Agresywnym tonem zapytał:

— I co, tego wieczoru już nie przyjdą?

Ta uwaga zdziwiła wszystkich i zbiła z tropu Annę. A więc jej wizje nie były ich wspólną tajemnicą, jej i ojca? Kpił z niej złośliwie, siorbiąc zupę. Najwyraźniej usiłował zranić Annę.

— Ksiądz Florian ma rację, ogarnia cię jakieś szaleństwo — dorzucił.

To do reszty wyprowadziło z równowagi Annę, której od rozmowy z katechetą nie opuszczała myśl, że może z jej głową jest coś nie w porządku.

W tym momencie, nie znalazłszy żadnego wyjścia, Anna rozplakała się cichutko, kąciki jej ust drżały. Jacques poczuł się w jakiś sposób winien, co wzmogło jeszcze jego złość.

— Jeśli to się nie skończy, odchodzę od stołu! — krzyknął.

— A ty co znowu? — zareagowała Helena Bordineau. — Cóż ci zrobiło to dziecko? Czemu się denerwujesz? Czy dlatego, że nie je? Wiesz przecież, że taka już jest. Za chwilę zobaczysz ją przy lodówce, jak wcina zimną wędlinę albo budyń czekoladowy. Wyjaśnij, o co ci chodzi! Co miało znaczyć zdanie, które przed chwilą wypowiedziałeś, i co ma z tym wszystkim wspólnego ksiądz Florian? Jacques zachowywał się, jakby nic nie słyszał. Nie miał ochoty wyjaśniać żonie przyczyn swego zdenerwowania. To była sprawa między nim a Anną, sprawa niemal metafizyczna, której Helena nie potrafiłaby zrozumieć, a która zaraz się rozstrzygnie, gdy zostaną z Anną sam na sam.

Wściekał się rozgniatając kromkę chleba w zaciśniętej ręce. Przenikliwym wzrokiem paraliżował Annę, która nie śmiała podnieść oczu na obicie z Jouy.

To również w paradoksalny sposób rozwścieczyło go.

— Patrz! Ależ patrz sobie! — powiedział z okrutną ironią.

Nienawidził jej w tym momencie, tej małej istoty rodzaju żeńskiego, pełnej przesądów, słuchającej podszeptów niekęzernego węża, kompromitującej dom, współniczki diabła, jego sztuczek i podstępów.

Nie chciał nawet wiedzieć, czy fantasmagorie z poprzednich nocy były jej wymysłem, czy też po prostu służyła jedynie za medium.

Nie obchodziło go to, czy była nadawcą czy ekranem, ważne było, że nieznośne obrazy wciąż istniały. Może to przekłute dziecko, po dwanaścikroć nieczyste, zrobiło z niego naiwnego i głupiego świadka swych absurdalnych kaprysów? Z lodowatej wysokości świątyni rozumu spadał przez nią w ciepławe grzęzawiska pierwotnej mitologii. Oto stał się bardziej naiwny od wieśniaków z obrazów Breughla, gotów tańczyć szaleńcze gigi, otaczać

cją wróżki i zarzynać czarne koguty. I to wszystko za prawą gorącej mocy kobiet. U nich wszystko przechodzi przez macicę, zbierając przy tym płyny ustrojowe oraz ciężkie zapachy. Ich łyzy to oczywiście i pretekst, gdyby ktoś próbował zdemaskować ich obłudę!

Demon! To właśnie słowo pojawiło się na ustach Jacques'a w jadalni, gdzie wszyscy milczeli obserwując na jego twarzy dalszy rozwój tej niezrozumiałej złości. Powstrzymał się jednak przed gwałtownym wybuchem.

„Pójdę zaraz do jej pokoju i ukarzę ją” — pomyślał, a prawa ręka już się zaciskała na niewidzialnym bacie, a może był to pogrzebacz? Ach ten poniżający list od księdza Floriana! Najchętniej wepchnąłby go Annie do gardła kawałek po kawałku. Albo podpalił go i rzucił jej w twarz. Spalić Czarownicę! Usmażyć ją! Na usta cisnęły mu się straszliwe słowa, których nie śmiał wykrzyknąć. Helena, usiłując bezskutecznie czytać z jego warg, w końcu się zdenerwowała:

— Dość tego! — krzyknęła — albo mówisz, o co ci chodzi, albo kończ to przedstawienie...

Po czym z ironicznym uśmiechem dodała:

— Ile szklanek whisky wypiliśmy przed kolacją? Jak ci nie wstyd! Żeby człowiek w twoim wieku nie znał umiaru.

Helena Bordineau miała szczególny dar dolewania oliwy do ognia. Zarzut, że się upił, w chwili gdy Jacques przeklinał sam siebie, że uległ innemu, o wiele bardziej groźnemu zamroczeniu, duchowemu — tak, uwierzyć w to było największym grzechem przeciwko duszy — doprowadził jej męża do szału. Wzrokiem pełnym zabójczej nienawiści obrzucił stół. Pistolet! Gdybyż miał przy sobie pistolet.

Mając taką rodzinę to wcale nie byłoby przesadą. Może nóż? Tak, nóż!

Nagłym ruchem porwał ze stołu nóż i wymierzył jego ostrze w żonę.

Anna wydała okrzyk, który skierował uwagę Jacques'a na nią. Natychmiast zakryła usta, przerażona, że zdradziła

się ze swoimi emodamij ale nie mogła się powstrzymać: Jej olbrzymie oczy wbite były w obicie z Jouy, drżącą ręką wskazywała w tym kierunku, i jękając się wyrzuciła z siebie:

Tato... tato... oni teraz krzyczą na ciebie.

To już było ponad siły Jacques'a. Przyskoczył do córki, mimo jej krzyków skrepił paskiem i zanim Helena, Piotr czy Katarzyna ośmielili się wtrącić, przerzucił ją przez ramię i zaniósł na piętro, w trzech skokach pokonując schody. Rzucił córkę na łóżko w jej pokoju, a przerażona Anna usiłowała skryć się pod kocem. Jacques zerwał go brutalnie i ryknął:

— Ciągłe ich jeszcze widzisz, czy nadal na mnie krzyczą? — Drżącą ręką wskazywał na tkaninę z Jouy, która zdobiła łóżko Anny.

— Tak — odpowiedziała, jednocześnie myśląc, że lepiej było zaprzeczyć. Ale jakaś nieprzewyciężona siła popychała ją, by powiedziała właśnie to, czego nie należało mówić wobec zmienionego do niepoznania ojca, przypominającego spienionego potwora.

Jacques wyciągnął teraz w jej kierunku zadźnięte, żądne krwi ręce. Ofiary — oto czego potrzebował, by się oczyścić z winy, by przywrócić swej duszy spokój zakłócony przez odrażającą Lilith. Czas naglił. Kto wie, czy jeśli będzie się odągał, on także nie zobaczy ozywających pastuszków i owieczek z tkaniny obiciowej z Jouy, czy nie usłyszy ich głosów, czy nie uzbroi się w amulety, czy nie uwierzy w horoskop, czy panicznie nie będzie się bał wysypania soli oraz innych horrorów natury ginekologicznej?

Chwycił Annę za szyję i zdjęty nieopisanym wstrętem, zaczął nią potrząsać z prawa na lewo, jakby sam usidlony był przez olbrzymiego węża, który isawił się nim niby grzechotką. Anna nie broniła się. Była sparaliżowana strachem.

Oczy zaczęły jej już zachodzić mgłą, gdy nagle od-

mówiła modlitwę, tym bardziej żarliwą, że mocno spóźnioną i ostateczną. Modliła się raczej o to, by jej ojciec nie został zabójcą, niż o własny ratunek. Gdy wypowiedziała te słowa, wyczerpana i bliska już utraty świadomości, Jacques zaplątawszy się w chodnik pośliznął się, puścił córkę i runął do tyłu jak długi. Potylicą uderzył o komodę i przez moment pozostał na podłodze zamroczony, z głową zwieszoną na piersi.

Gdy otworzył oczy, rozejrzał się dokoła ze zdziwieniem, skrzywił się i namacał guza.

— Co się ze mną działo? — zapytał Annę, która tymczasem wzięła się w garść i postanowiwszy ratować życie, była gotowa do ucieczki. — Skąd mi się wziął ten guz? I co ja robię w twoim pokoju? Zdawało się, że kryzys minął. Anna pogratulowała sobie, że jej modlitwa została tak szybko wysłuchana, zwłaszcza gdy zobaczyła, że matka pojawiła się w drzwiach, wygrażając trzymaną za szyjkę butelką wina.

— Już z nim lepiej? — zapytała Annę widząc, że jej mąż siedzi na podłodze, trochę zamroczony, ale zupełnie normalny.

— Tak — wysapała Anna.

W tej samej chwili dobiegła z ogrodu fala świergotu O zadziwiającym nateżeniu, która szybko się oddaliła, jakby błyskawicznie przeleciała nad ich głowami chmura jaskółek lub nietoperzy.

Jacques powoli, chaotycznie zaczął sobie przypominać swoje okrutne posunięcia. Teraz, gdy nagle opuściła go złość, która je podsyciała, stały się dla niego zupełnie niezrozumiałe.

Wszyscy wyszli; Anna jako ostatnia, przed zamknięciem drzwi uśmiechnęła się smutno.

„Nie ma do mnie żalu — rozmyślał Jacques — jakbym to nie ja był odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. A przecież o mało co jej nie zabiłem. Więc nawet to nie wystarczyło, by mnie obwiniła!

Zatem musiała przyjąć



wersję, z którą wciąż nie mogę się pogodzić: że to jakaś obca moc zawładnęła mną, tchnęła we mnie tę sztuczną złość, zdusiła ojcowskie uczucia i w ten sposób opętawszy mnie podszeptała zbrodnię, jako proste rozwiązanie na błahe niezadowolenie.

Któż więc opanował jego sumienie, kto kierował jego ruchami? I kto mógł mu zagwarantować, że to się już więcej nie powtórzy? Poirytowany wzruszył ramionami. Czy przypadkiem znowu nie ulega pokusie irracjonalnej motywacji swojego postępowania? Z całą pewnością „ten drugi”, który nim zawładnął, w rzeczywistości nie istnieje. Mogła to być raczej częśćka jego samego, która z powodu jakiejś słabości wyłoniła się teraz z podświadomości. Ale w takim razie, czyż nie był to przejaw jakiegoś szaleństwa? Czy lepiej było przyznać się do obłędu, czy uwierzyć w tajemnicze istoty zasiedlające sumienia? Może zdrowiej było wybrać to drugie? Ozaczałoby to kapitulację *Creda quia absurdum*. Ale czyż nie większym absurdem byłoby uznać się samemu za wariata, nadającego się do zamknięcia, mimo że żadne objawy na to nie wskazywały?

Wobec tej alternatywy zdenerwowanie Jacques'a znów zaczęło przechodzić w złość, w miarę jak rozważał to jedno, to znów drugie rozwiązanie.

Gdy zdał sobie z tego sprawę, ogarnęła go naraz powrót panika. Czy teraz powtórzy się tragedia? Czy to nie jakieś fatum wprowadzało go w taką złość z powodu córki i jej wizji? Dlaczego zwykła rozbieżność filozoficzna popychała go do morderczego szaleństwa? Na nowo pogrzyżył się w swoich rozważaniach. Zastanawiał się, czy to z powodu tak silnie zakorzenionego w nim racjonalizmu — gdy przeciwstawiono mu się pod jego dachem, i to jego własne dziecko — odczuł tę obrazę jako zamach na swoje ja, jakby mu je dwukrotnie wydzierano, a nawet jako próbę moralnego zabójstwa, przed czym nie mógł się obronić inaczej, jak przez unicestwienie sprawczyni. Był to chyba

rodzaj obłędu. Ale fakt, że stał się jego ofiarą, kazał przypuszczać, że to wpływ nieczystej i piekielnej siły. osłabił jego zmysł krytyczny.

Wariat czy opętany, na jedno wychodzi. Poczł się tym tak przygnęiony, że łzy napłynęły mu do oczu. Obojętnie, które przyjmie rozwiązanie, córka, w jego obecności była zagrożona. To go przeraziło. ,

Usłyszał delikatne stuknięcie drzwi. To Anna weszła ostrożnie, z nieśmiałym uśmiechem.

— Czy nie przeszkadzam?

Jacques cicho odchrząknął. Miał nadzieję, że córka nie zauważyła jego wilgotnych oczu.

— Przyszłam zobaczyć, czy czujesz się lepiej — powiedziała. — Wiesz, przestraszyłeś, nas.

Docenił to „nas”, wiedział, że ona jedna ucierpiała z powodu jego obłędu.

— To nie była twoja wina — dodała, obejmując ojca za szyję, by mu udowodnić, że już się go nie boi: że może jej zaufać.

— Ja się nie usprawiedliwiam — wybełkotał.

— Nie próbuj nawet — szybko wpadła mu w słowo. — To sprawka diabła.

Zmarszczył brwi.

— Anno, proszę cię, nie wyprowadzaj mnie z równowagi. Nie chcę słyszeć o twoim diable ani o ozywających pastuszkach i pasteczkach. To byłoby zbyt proste.

— Bó to jest proste. Istnieje Bóg i istnieje diabeł. Zresztą nie sądzę, żebyś znalazł inne wytłumaczenie. W każdym razie nic bardziej wygodnego.

Te słowa wypowiedziane spokojnym, zimnym tonem przez trzynastoletnie dziecko wprawiły go w zdumienie. Jaka z ciebie pragmatyczka! — powiedział przez nos. — Pragmatyczka? Co to znaczy?

— To właśnie iść na łatwiznę, szukać najłatwiejszych rozwiązań, to znaczy najbardziej fałszywych.

Zostaw więc diabła w spokoju!

— Bardzo bym chciała, żeby on mnie zostawił W spokoju...

— Ale mną nie on kierował! <sup>J</sup>— A więc kto?

— To był...to był... nie wiem zresztą, to było coś we mnie... coś takiego, na przykład, co zawsze odpychane pojawia się niespodziewanie, nie wiadomo dlaczego.

— Ja wiem dlaczego, już ci powiedziałam. I ksiądz Florian przekonał mnie o tym. To diabeł. Jeśli to nie był on, jak wytłumaczyć, że skierowane na mnie ataki ustępują, jak tylko zmówię modlitwę?

— Czy przed chwilą też odmówiłaś modlitwę?

— Kiedy twoje ręce zaczęły mnie dusić i zobaczyłam w twoich oczach, że to nie jesteś ty, ale ktoś inny, kto cię opętał i chce mnie skrzywdzić, nie próbowałam się bronić, odmówiłam żarliwą modlitwę i natychmiast upadłam na podłogę, zamroczony.

— Uderzyłam o komodę!

— Ogłuszony przez odwiecznego boskiego przeciwnika „innego”, który chciał mnie udusić. Zresztą nie pierwszy raz. W pierwszą noc w tym domu jakiś niewidzialny kształt też próbował mnie udusić. Gdy zmówiłam modlitwę i przeraźliwie krzyknęłam, postać rozplynęła się. To nie był zły sen, bo później paliła mnie szyja. Bóg ninie uratował.

Jacques nie skomentował tego. Przypomniawszy sobie, że on również żarliwie się modlił — do kogo? — poprzedniej nocy, kiedy to jakaś nieczysta pokusa ciągnęła go do córki. Czyż nie doznał wtedy natychmiastowej łaski?

To wspomnienie ukoronowało pamięć ostatniego zbrodniczego wyczynu i opowiadanie dziewczynki. O mało nie rozplakał się z nerwów.

— Może byśmy się pomodlili obydwój? — zaproponowała naiwnie Anna.

Jednocześnie opadły mu bezwładnie ręce, przygarbił się, wykrzywił usta.

Miał ochotę ją zabić!

Zaledwie doszła do jego świadomości ta złowroga myśl, znów ogarnęła go panika.

Anna padła na kolana i Jacques bądź to z obawy przed jakimś nieznanym Bogiem, bądź to z powodu słabości spowodowanej zmęczeniem, zrobił to samo.

## **Prywatka**

W trakcie zabawy Piotr, który czuł się trochę wyobcowany w tym nowym środowisku, pełnym olśniewającego blichtru, podszedł do chłopca pijącego samotnie przy barku w dużym salonie. Barek był już na pół opróżniony. Zapach rozlanego wina mieszał się z zapachem roślin dochodzącym przez ogromne drzwi balkonowe z głębi bujnego parku.

— Jest tu za dużo ludzi — powiedział Piotr — można się udusić.

— Tak zawsze jest u Dubois-Marjol — odrzekł tamten. — Ponieważ organizują przyjęcie tylko raz do roku zapraszają wszystkich. Ale co za wiele, to niezdrowo, dlatego te prywatki są zawsze nieudane.

— Nazywacie to prywatką? — zdziwił się Piotr, który widział mieniące się tu i ówdzie długie suknie i smokingi wśród tłumu w dzinsach i szmatławych sukienkach.

— Tak się to określa, kiedy wszystkie typy o wyznaczonej godzinie podnoszą swoje tyłki, by pójść potańczyć — odpowiedział grubiańsko towarzysz.

— A jednak ten dom jest dość ładny — rzekł Piotr, którego zachwyciło już tajemne przejście, okna opatrzone herbami w tym rzekomym zamku Ludwika XIII, sadzawka z łabędziami, starannie przystrzyżony trawnik i marmurowe wazy.

— Szampan jest zdecydowanie niedobry — odpalił bezczelnie tamten, jakby chciał zaznaczyć, że nie jest taki głupi, by dać się nabrać na ten podrabiany luksus, który niektórzy biorą za prawdziwy.

— A jakiego szampana pija się u was? — Zareagował Piotr, dotknięty, rzucając to pytanie dla zaczepki.

— Alez... tylko Morsauf, tak sędzę — odparł zaskoczony wzgardziiciel barku, wymyślając na poczekaniu nazwę.

— Ach, tak? — wykrzyknął Piotr — tego szampana moja matka używa do wieczornej kąpieli. Nadaje się jedynie do tego celu. Więc tak, więc u was pije się tego szampana? Ależ się zdziwi moja matka, gdy się o tym dowie.

— Pańska szanowna matka z pewnością nie kąpie się w szampanie Morsauf, ponieważ przed chwilą go wymyśliłem.

Piotr przez moment milczał skonsternowany. Wreszcie powiedział:

— Skoro wymyślił pan tę nazwę, to znaczy, że nie wie pan nawet, w jakim szampanie kąpie się pańska matka, i niewykluczone, że to ten sam, który później podaje się do stołu, jak w wielu domach, gdzie liczą się z wydatkami.

Wyprowadzony z równowagi tym ciosem rozmówca zatoczył się, wypił łyk niedobrego szampana, zakrztusił się, wyciągnął chusteczkę, etc, jednym słowem, wykonał serię drobnych gestów, które niewymownie już od dwóch czy trzech milionów lat sugerują u istot ludzkich kapitulację.

Piotr dumny był z siebie, że tak zwycięsko wyszedł z tego bezlitosnego pojedynku. Czuł się na siłach zmierzyć z establishmentem z Saint-Cloud, który w hierarchii społecznej plasował — niewiele się zresztą myląc — pomiędzy arystokracją a elitą sfer handlowych. W jego mniemaniu warstwa ta od pierwszej przejmowała sarkastyczną wyniosłość, druga natomiast napawała ją przekonaniem, że te młode dziewczęta o nienagannej rumianej cerze wraz z ich domami o wiecznie nowych tapetach i wykładzinach, podobnie zresztą jak produkty z ich sklepów, miały etykietkę „nie zmieniającej się jakości”.

Podeszła do nich Katarzyna.

— Nie cieszymy się zbyt wielkim powodzeniem wśród burżuazji — powiedziała.

Rzadko proszono ją do tańca. I zawsze kończyło się na jednym kawałku. Jej próby nawiązania rozmowy trafiały w próżnię.

Piotr też nie miał większego powodzenia. Oboje byli tym zaskoczeni i zniechęceni. Przecież w Villejuif zawsze odnosili takie sukcesy! Może to w ich ubiorze, sposobie bycia było coś, co kazało trzymać dystans wyrafinowanym, mieszkańcom Saint-Cloud?

Co powodowało tę niechęć? Gdy Piotr i Katarzyna dowiedzieli się o tym wieczorze, który miał być dla nich' pierwszym krokiem wprowadzającym do elity społeczności z Saint-Cloud, przeznaczyci na przygotowanie się do niego wszystkie swoje oszczędności. Katarzyna przeglądnęła się w lustrze usiłując spojrzeć na siebie krytycznym okiem redaktorki „Vogue”. Nie miała nic do zarzucenia swojej koktajlowej garsonce kupionej w butik w lewobrzeżnej części miasta. Następnie uważnym spojrzeniem objęła Piotra, usiłując bezskutecznie znaleźć jakieś uchybienie dobremu smakowi, co mogłoby zasugerować dumnym mieszkańcom zachodniej dzielnicy, że byli przybyszami z prowincjonalnej dzielnicy wschodniej. Piotr jednak wyglądał nienagannie. Miał na sobie nieco konwencjonalny garnitur z czarnego jedwabiu, bez krawata, a górne trzy guziki koszuli były rozpięte w stylu Bernar-da-Henri Levy'ego.

Czy może zdradzał ich akcent? Z pewnością nie. Rodzice Piotra i Katarzyny wykładali na uniwersytecie, i w domu posługiwano się językiem Voltaire'a z akcentem Anatola France'a a la Becheyllerie. A może wzięto ich za intruzów, którzy podstępem dostali się do elitarnych kół towarzyskich?

Piotr włożył dużo starania w to, by jego szkolni koledzy, dobrze notowani w eleganckich klikach, wy-

starali mu się o zaproszenie na „party”. Katarzyna ze swojej strony, by ugruntować ich pozycję, pozwalała tym wyniosłym ludziom na pewne poufałości na tylnych siedzeniach ich amerykańskich „vintage-cars”.

Obydwoje zaskoczeni byli protokołami i konwenansami etykiety, które w łonie jednego liceum dzieliły i określały poszczególne warstwy społeczne. Obecność pewnej liczby rodzin napływowych przyspieszyła to powolne rozwarstwienie. Dzieci stały się bardziej skrupulatne od swych rodziców w doborze towarzystwa. Przyjaciele coraz rzadziej rekrutowali się ze szkolnej ławy, częściej natomiast spośród krewnych i rodzin, które się wzajemnie odwiedzały.

Wystarczył najmniejszy ślad obcej krwi, bądź kultury, by wywołać gwałtowną reakcję wobec społeczeństwa. Burzyło to dzieło równości społecznej, jakie przez blisko pół wieku wypracowywała szkoła powszechna.

Dlatego właśnie na przyjęciu u Dubois-Marjolów nie spotykało się nigdy młodych mieszkańców Magrebu ani Antyli. Sławę swą zawdzięczał ten ród, zanim jeszcze zastygł w dumie klasy, łącznikowi symbolizującemu podwójny związek: niejakiemu Dubois z niejaka Marjol oraz koncentratów pomidorowych Dubois z makaronami Mar-jol; związek ten zaowocował z jednej strony dwoma synami i córką, z drugiej zaś makaronem po włosku Dubois-Marjol. Nie zapraszano tam też nigdy dzieci drobnej burżuazji, techników, urzędników miejskich, sklepikarzy. Wszyscy oni przekreśleni byli z góry z powodu braku Zasad, zbyt małej dumy oraz dlatego, że przestawali z kolorowymi. A nawet widziano ich, jak chodzili na bale tej miernoty, szeptali do ucha bezwstydnego wyznania.

Tak więc powoli odradzały się w demokratycznej Francji dwie antagonistyczne klasy: z jednej strony zamknięta elita, pogardliwie traktująca rozrywki naśladowujące te z dawnych dworów, a przynajmniej te z przed-



mieścia Saint-Germain z czasów Boldinich. Z drugiej zaś ta różnorodna zbieranina ludzka, której stałe upodobanie do burd i zamieszek na szczęście wysublimowało dzięki takim substytutom dawnych igrzysk, jak fantasmagorie ludowej prasy, wielkie mityngi sportowe, koncerty muzyki rockowej. Piotr i Katarzyna jako dzieci nauczycieli uniwersyteckich posiadali niezbyt określony status. Ich sytuacja przypominała los wywodzących się z ludu artystów w salonach rodzącej się III Republiki. To Barresa, to znów Zoli. Śmieć lub diament, zależnie od ich credo. Matka Katarzyny nie zajmowała się polityką. Opinię, jaką się cieszyła, zawdzięczała swojemu stanowisku nauczyciela języka hiszpańskiego, a więc języka, który stał się — odkąd zniknęły andaluzyjskie bony — wyłącznie językiem literackim, i tylko niezależne, a więc dystygowane umysły mogły sobie pozwolić na uczenie się go. Piotr korzystał jeszcze niekiedy z blasku dobrej opinii, jaką zyskały jego ojcu tytuły naukowe; jego przekonania gauchystowskie złagodniały zresztą i stały się tematem wstydliwym, niczym zastarzała rzeźączka- Uniwersytet stał się dla tych potomków oligarchii, niezdecydowanie anarchizujących, dystygowaną przystanią, w której mogli bez obawy upokorzenia schronić swoje opinie.

Mimo to Katarzyny prawie wcale nie proszono do tańca. Piotrowi udało się przekonać jedynie bardzo nieliczne grono dziewcząt, by dotrzymały mu towarzystwa w tych ćwiczeniach.

Postanowił zatem pomścić swoją porażkę przy pomocy tryumfalnego walca odtąnczonego z panią domu, ponieważ wśród tych dekadencckich finezji przeplatały się również walce, calypsos i tanga. Jakież Homer opíše wszystkie zabiegi i starania młodego człowieka, zmierzające do osiągnięcia tak ambitnego celu! Iluż rywali musiał pokonać i jakich wdzięków użyć, by zdobyć tę placówkę i zatknąć swój sztandar?

Doznał także wielkiego upokorzenia ze strony swojej partnerki, gdy już go wybrała: była sztywna i zachowywała dystans.

— Tak bardzo, pan nalegał, że nie mogłam odmówić. Ale proszę nie poczytać mojej uprzejmości za przejaw chęci zawarcia z panem bliższej znajomości. Nie wiem, jak i dlaczego pan się tutaj znalazł. Gdyby to ode mnie zależało, ani pan, ani pańska siostra nie bylibyście zaproszeni.

Piotr zbity z tropu na chwilę zaniemówił, po czym wykrzyknął ze złością:

— Może nie jesteśmy dla was zbyt dobrym towarzystwem. A jednak makarony Dubois-Marjol figurują w menu szkolnej stołówki, jemy je więc na równi z wami.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Niech pan da spokój z tymi przyciężkimi żartami na temat makaronu. Obydwoje jesteście z równie „dobrego” towarzystwa co my, nie w tym rzecz.

— O co więc chodzi?

— O to, że my nie jesteśmy wystarczająco simi w porównaniu z wami.

— Z nami?

— Tak, z mieszkańcami domu „Pod Koszem z Kwiatami”.

— A co ma z tym wspólnego nasz dom? — wykrzyknął Piotr.

— Mieliśmy doświadczenie z poprzednimi lokatorami. To nam wystarczy. Każdy mieszkaniec Saint-Cloud wam to powie: ich dzieci to były potwory. Prywatki, które organizowali u siebie, zawsze kończyły się orgiami. Znam straszliwe szczegóły, których nie będę panu opowiadać.

— Ale co to ma wspólnego z nami? — oburzył się Piotr. — Nawet nie znamy poprzednich lokatorów, ani ich dzieci. Nie odpowiadamy przecież za ich zachowanie.

— Przed nimi byli jeszcze inni lokatorzy i inne dzieci, również w naszym wieku.

— I co z tego?

— Jeśli wierzyć mojemu starszemu bratu, z nimi było podobnie. Wieczorki, które organizowali w domu „Pod Koszem z Kwiatami”, przekształcały się w prawdziwą rozpustę.

— Zbieg okoliczności!

— Ale z jeszcze wcześniejszymi też działo się to samo, jak twierdzi mój ojciec.

Zatrzymała się na chwilę w tańcu i popatrzyła mu w oczy.

— Proszę mi wierzyć — powiedziała poważnie — nikt w Saint-Cloud nie ma ochoty się z wami zaprzyjaźnić, ani z panem, ani z pańską siostrą. Osobiście nic do was nie mamy. Ale wystarczy, że jesteście mieszkańcami domu „Pod Koszem z Kwiatami”.

I natychmiast się oddaliła, pozostawiając go zaszokowanego pośród tancerzy, którzy się o niego objali.

## Niepokój Heleny

Jacques Bordineau był zadowolony, że dzieci poszły na przyjęcie i dzięki temu nie były świadkami sceny, jaką zrobiła mu żona. Odczekała do momentu ich wyjścia, z wyraźnym zniecierpliwieniem od czasu do czasu rzucając w kierunku męża piorunujące spojrzenia.

Jak tylko Anna poszła do swojej sypialni, rozpętała się burza:

— Czy byłeś u lekarza?

— U" lekarza? — zdziwił się Jacques.

— Tak, właśnie u lekarza. A raczej u psychiatry, bo gdzie, jak nie do psychiatry powinien się zgłosić ktoś, kto miewa takie napady jak ty?

Widząc, że Jacques ma rozbawioną minę, wybuchnęła:

— Stajesz się szalony, taka jest prawda. Wszyscy się ciebie teraz boją. Nie mówiąc o Annie, która przez całą kolację nie ośmieliła się na ciebie spojrzeć. To jasne, ze strachu jest bliska szału. Nic przecież nie rozumie.

— Ona doskonale rozumie! — wybuchnął Jacques. — Jeżeli się na nią zdenerwowałem, to nie bez powodu. Anna dobrze o tym wie.

— A jakież to tajemnicze powody upoważniły cię do tak brutalnego zachowania względem niej, że aż się rozchorowała ze strachu?

— Nie byłem brutalny — zaprotestował mniej pewnie Jacques.

— Na chwilę przed tym, jak weszłam do pokoju, trzymałeś ją za szyję. Anna myślała, że chcesz ją udusić.

— A ty wymachiwałaś butelką jak jakiś opryszek. Byłem przekonany, że chciałaś ją raztrzaskać na mojej głowie. To z tobą dzieje się coś niedobrego!

Helena Bordineau otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nic jej nie przyszło do głowy. To prawda, że porwała na chybił trafił butelkę z kredensu i wymachując nią rzuciła się w kierunku schodów. Ona, która nigdy nie miała z mężem żadnej poważniejszej sprzeczki, a tym bardziej nie doszło między nimi nigdy do rękoczynów, przez moment zamierzała rozbić mu butelkę na głowie. Westchnęła:

— Być może Anna ma rację, że to dom wywiera jakiś niezdrowy wpływ i wszyscy potraciliśmy rozum.

Jacques nie chciał zapuszczać się w tę dziedzinę i dyskutować z żoną na temat tego, co sam odkrył i czego się obawiał. Przywidzenia Anny były tajemnicą jego i córki. Helena nie dawała za wygraną:

— Pamiętasz, tego wieczoru, kiedyśmy- się przeprowadzili, Anna wypowiedziała dziwne słowa.

Twierdziła, że ten dom przynosi nieszczęście. Przypominam sobie, że nawet się na nią zdenerwowałam. Posądziłam ją, że chce zepsuć radość, jaką sprawił mi nowy dom.

Jacques podjął to jako pretekst.

— I właśnie dlatego tak się na nią zdenerwowałem — wymyślił na poczekaniu. — Znowu przyszła zawracać mi głowę tym rzekomym niedobrym wpływem domu „Pod Koszem z Kwiatami”. Podobnie jak ty, lubię ten dom. Nie rozumiem, dlaczego chciała nas do niego zniechęcić. Wziąłem to za chęć przekory wobec rodziców, częstej u nastolatków. To ich rodzaj buntu. Nie wiem, czy robiła to świadomie, czy Była to mniej lub bardziej spontaniczna próba Okazania nam jej potrzeby akceptacji. To było coś, czego nie mogłem zrozumieć. Stąd ten napad wściekłości, równie irracjonalny jak jej kaprys.

— A co właściwie ci opowiedziała? — zapytała Helena podejrzliwie,

Jacques zdał sobie sprawę, że posunął się ciut za daleko, nie doceniając inkwizytorskiej ciekawości żony. Trzeba było się wycofać.

— Och, nic takiego ponad to, co pierwszego wieczoru — powiedział uspokajająco. — Coś tam bredziła o wyglądzie salonu.

Helena uśmiechnęła się dwuznacznie.

— A po co poszedłeś do jej pokoju nazajutrz pó przeprowadzce? Czyż nie powiedziała ci, że się boi i chce, Żebyś ją trzymał za rękę, gdy będzie zasypiała?

— To był zwykły lęk małej dziewczynki, która miała poprzedniej nocy zły sen — odpowiedział Jacques ze spokojnym uśmiechem. — Nie miało to nic wspólnego ze Złowieszczymi czy nawiedzanymi domami.

Helena z niezadowoleniem pokręciła głową.

— Nie mówisz mi prawdy, czuję to. Zresztą, to ty sam nakładłeś dzieciom do głowy tych bzdur o duchach. Nie rozumiem, jak można być tak nieroztropnym. Dzieci są bardzo wrażliwe. A teraz się dziwisz, że Annie śnią się koszmary.

— To właśnie dlatego, że czułem się trochę winny, iż sam je wywołałem, te koszmary tak mnie zirytowały, że nie panowałem nad sobą.

Helena wzruszyła ramionami.

— Jak tobie można wierzyć? Jednego dnia spędzasz przy niej pół nocy trzymając za rękę, by odpędzić złe sny, a następnego wieczoru dręczysz dlatego, że się boi. Upieram się przy tym, co powiedziałam na początku: tracisz zmysły. To nie o Annę się obawiam, ale o ciebie. Powinieneś się leczyć.

Jacques nie wiedział, co odpowiedzieć. Ogarnęły go podobne myśli jak żonę. Jego atak szału był dla niego samego niezrozumiały. Chyba, że uwierzy, jakoby owładnęła nim jakaś diabelska istota, albo przypisze domowi nie mniej tajemniczą siłę oddziaływania. Przyjęcie jednej lub drugiej wersji oznaczało zaprzeczenie wszystkiego, w co

dotychczas wierzył: rozumu, porządku świata, wiedzy, autorytetów. Jednym słowem, musiałby się haniebnie zaprzeć samego siebie i stracić do siebie cały szacunek.

Obawa przed takim upadkiem wyjaśniała być może jego odruch szaleńczej wściekłości. Ze wstrętem rozpatrywał tę hipotezę, nie mógł bowiem dopuścić, by zwykły konflikt intelektualny mógł, nawet w momencie słabości, tak unicestwić miłość ojcowską. Po raz drugi na przestrzeni 48 godzin poczuł, jak wilgotnieją mu oczy, i powstrzymał szloch.

Żona obserwowała go w milczeniu.

— Sama już nie wiem, czy stajesz się wariatem i twój przypadek kwalifikuje się do leczenia — powiedziała w końcu. — Zaczynam się zastanawiać, czy Anna przypadkiem nie ma racji, kiedy twierdzi, że ten dom jest przeklęty. Powinieneś o tym porozmawiać z księdzem.

Usłyszawszy to, Jacques wzdrygnął się. Tylko nie to, w żadnym wypadku z księdzem — zdecydował. Tó pewne, że musi się kogoś poradzić. Gzas naglił. Obawiał się, że Anna z każdym dniem jest coraz bardziej zagrożona w jego obecności. Psychiatra na pewno nic by z tego nie zrozumiał. Bez wątpienia wchodziły tu w grę mało znane siły. Ale na pewno gdzieś na terenie Francji istnieje ktoś, komu przydarzyło się coś podobnego. To właśnie z kimś takim powinien się spotkać za wszelką cenę, i to szybko.

## **Piotr i Katarzyna**

Ze smętnymi minami wracali wąskimi uliczkami ze wzgórza Saint-Cloud w kierunku domu „Pod Koszem z Kwiatami”, który w duchu zaczęli przeklinać. Piotrowi udało się przekonać Katarzynę, że jedynie szybkie wycofanie, się może złagodzić ich porażkę.

Wymknęli się więc bez pożegnania, a ponieważ pomimo ich dyskrecji wszyscy patrzyli na nich coś szepcząc, na zewnątrz obnosili wyniośle uśmiechnięte twarze.

Córka właścicieli domu, która na chwilę przystanęła w tańcu, natychmiast powróciła do przerwanej zabawy ze sztucznym zapalem. Chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że zabawa trwa nadal. Całe towarzystwo gorliwie powróciło do pry wątkowych przyjemności, ale w przedziwny sposób zabrakło poprzedniego zaangażowania. Jakby po wypędzeniu diabła wszystko straciło smak.

— Na dodatek psują mi zabawę — złościła się dziewczyna.

— Podobnie było z ich poprzednikami — zauważył jej partner.

Stanąwszy przed bramą willi „Pod Koszem z Kwiatami” Piotr uniósł bluszcz, który częściowo zakrywał ceramiczną tabliczkę, i w zamyśleniu przyglądał się jej przez chwilę.

— Co może tkwić, do cholery, w tym koszu nieszczęść? — zrzędził.

— Bzdury i wymysły debilnych burżujów — ofuknęła go siostra.



— A jednak coś musi być. Przypomnij sobie naszą pierwszą noc.

Katarzyna osłupiała:

— Co chcesz przez to powiedzieć? Mówisz jak świeżo upieczony małżonek.

— Mam na myśli naszą pierwszą noc w tym domu. Katarzyna zaczerwieniła się. Teraz sobie przypomniwała. Jednak zaprotestowała.

— Nie ma co przesadzać z tą pierwszą nocą. Dzięki Bogu, nic się przecież nie stało.

— Taak... ale niewiele brakowało. Gdyby Anna wtedy nie krzyknęła...

— Ale właśnie krzyknęła — ucięła sucho Katarzyna. Piotr zdenerwował się.

— Nie myśl, że sprawia mi przyjemność przypominanie tych absurdalnych wydarzeń. Ale nie boję się tego robić. Jak również przypomnę ci o dziwacznych odgłosach dochodzących ze ścian, westchnieniach, jękach rozkoszy, które słyszałaś. Przecież sobie tego nie wymyśliłem,

— Pamiętam to bardzo mgliście.

— Dziewczyny nigdy nie pamiętają, do czego popchnęło je albo co kazało powiedzieć im ich roznamiętnione libido.

Chciała nadepnąć bratu obcasem na duży palec, by sprawić mu ból, ale on szybko cofnął nogę i Katarzyna klapnęła na siedzenie.

— Tak, to prawda — mówiła .poirytowana, siedząc w kurzu. — Słyszałam te odgłosy. Prawdą jest także, że nie broniłam się, kiedy mi położyłeś rękę na kolanie i zacząłeś przesuwając ją coraz wyżej. Ale to dlatego, że nie mogłam uwierzyć, iż możesz mieć jakieś złe zamiary- Jeśli staram się o tym zapomnieć, to nie przez hipokryzję, po prostu wstyd mi za ciebie. v

— To nie była moja wina. Pozwalałaś mi na to nie reagując. Byłem opętany.

— Ple, ple, ple! Wszyscy chłopcy mówią to samo.

— Ale ja nie jestem „wszyscy chłopcy”. Jestem twoim bratem.

— Byłeś nim, dopóki nie zachowałeś się jak pierwszy lepszy samiec.

Podniosła się. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Jednym ruchem doprowadziła się do porządku i objęła go za szyję obydwoma rękami.

— Przestańmy się na siebie gniewać — powiedziała.

— Zgoda — wymamrotał obejmując ją wpół. Przez chwilę stali tak przytuleni do siebie, z bijącymi Sercami. Ona głąskała go po karku. Jego ręce wędrowały coraz niżej w kierunku krzyży. Dziewczyna westchnęła cicho i wcisnęła kolano między jego uda. Teraz on dotknął ustami jej szyi, następnie policzka w pobliżu kącików ust. Odwróciła głowę i zastygli w długim pocałunku. Jedna ręka Katarzyny zsunęła się z szyi Piotra, na chwilę spoczęła na jego ramieniu, po czym, jakby zmęczona, opadła wzdłuż jego ciała.

— Twoja ręka — wyszeptał Piotr przerażony, a zarazem zachęcony.

Nagle chwycił siostrę na ręce i tak przemierzył chodnik, aż do drzwi, które Katarzyna sama otworzyła kluczem wyjętym z torebki. Wciąż niosąc ją, pokonał schody i rzucił na łóżko pośród książek do matematyki i pokrowców z rakietek tenisowych.

Tym razem zdawało się, że nic nie stanie na przeszkodzie szaleństwu, jakie ich opanowało. Trudno powiedzieć, czy to łamanie wszelkich tabu dodawało pikanterii ich rozkoszy, czy może sprawiła to instynktowna wzajemna znajomość ich ciał po tylu latach wspólnych zabaw. Gdy zrzucili z siebie ubrania, nowe śmiałe gesty wzmogły jeszcze ich zachwyty.

— Nigdy...jeszcze nigdy... — bełkotał chcąc powiedzieć, że nigdy dotąd nie zaznał czegoś podobnego.

— Ja też... ja też nie — szeptała Katarzyna wśród głębokich westchnień.

Jeśli przyjemnością jest to, co jest wytworem naszej wyobraźni, która przekształca rzeczy zakazane, oni z pewnością przeżyli jej szczyt. Ponieważ natura sprawiła, że rozkosz wyraża się głośnymi dźwiękami, odgłosy kazirodczych kochanków przebudziły Annę. A miała tym razem nadzieję na spokojną noc, ponieważ w czasie kolacji na obiciu salonu nie zauważyła żadnego poruszenia.

Słyszając jęki i westchnienia, przeplatane krzykami, urywanymi, niezrozumiałymi zdaniami, sądziła, że to nowe wybryki Złego. Pewna siebie po poprzednich, zwycięstwach, postanowiła pójść zobaczyć i zrobić porządek z tym sabatem.

Otworzyła więc drzwi do pokoju brata, skąd dochodził hałas, odważnie zapaliła światło i oniemiała na widok sceny, jaka się tam rozgrywała.

Piotr i Katarzyna zeskoczyli z łóżka, nadzy, spoceni, wściekli i odrażający, ociekający potem i śliną. Rzucili się na Annę. Piotr chwycił ją za szyję, podczas gdy Katarzyną drapała jej ręce.

„Znowu mnie duszą” — zdziwiła się po prostu Anna, którą przyzwyczajenie już zahartowało. Znała lekarstwo na to i odmówiła krótką modlitwę.

W momencie, kiedy ręce Piotra coraz groźniej zaciskały się na jej szyi, usłyszała dochodzący z korytarza trzask otwieranych drzwi. Zdażyła szepnąć Piotrowi do ucha:

— Mama nadchodzi.

Efekt był natychmiastowy. Piotr puścił Annę, chwycił Katarzynę za ramię, popchnął w kierunku łóżka mamrocząc do ucha:

— Schowajmy się, mama nadchodzi. Kierowany absurdalnym instynktem, niczym tropione zwierzę, zaciągnął na ich głowy koc i obydwójce czekali tak, zdjęci panicznym strachem.

Helena Bordineau, niezupełnie rozbudzona, w narzuconym niedbale starym peniuarze, pchnęła drzwi i ogar-

nęła wzrokiem pokój. Najpierw dostrzegła Annę. Wskazując na nią palcem, zapytała:

— To ty, Anno... cóż ty tu robisz, w pokoju Piotra? Następnie zobaczyła porozrzucane tu i tam ubrania Piotra.

— A więc już wrócił — zdziwiła się i rzucając okiem na owinięty kocem kształt machinalnie stwierdziła — śpi.

— Zdawało mi się, że słyszałam jakiś hałas — powiedziała Anna.

— Och, te twoje zwidy! Jaki hałas?

— Szmery, krzyki!

— Piotrowi na pewno coś się przyśniło.

— Tak, na pewno miał jakiś sen — pospiesznie przytaknęła Anna.

— Jazda, zmykaj do łóżka. To ty mnie obudziłaś otwierając drzwi.

— Dlaczego nie mogę wstać w nocy, kiedy mam na to ochotę — marudziła Anna.

— W wieku trzynastu lat nie wstaje się w nocy — niezbyt inteligentnie odpowiedziała Helena Bordineau.

W tym momencie zauważyła na dywanie ubranie Katarzyny: kostium od Saint-Laurenta, czółenka, pończochy, figi i pas do pończoch.

„Coś takiego, ona nosi pas do pończoch” — pomyślała Helena Bordineau lekko zbulwersowana.

Schyliła się, by wziąć w palce ten rozpustny ciuch. Przyglądnęła się mu. Wyraz oburzenia na jej twarzy zastąpił blady uśmiech. Rozchyliła poły szlafroka i usiłowała dla zabawy przymierzyć pas do gołego brzucha. Z łóżka dobiegło ją jakieś sapnięcie; a może poruszenie. Szybko się odwróciła, przerażona na myśl, że Piotr mógł ją zobaczyć. Na szczęście opatulony był kocem. Nie było widać nawet kosmyka włosów. Helena Bordineau położyła pasek obok ubrań Katarzyny. Dopiero teraz zastanowiła ją ich obecność w pokoju Piotra.

Dlaczego, do diabła, Katarzyna rozbierała się w poko-

ju brata? Może zrobiła to rozmawiając z nim oprzyjęciu, z którego wrócili? Jednakże Helena zaniepokoiła się. Czyżby Katarzyna zupełnie się rozebrała w obecności Piotra? To niemożliwe. Na pewno zarzuciła na siebie jakąś podomkę, zanim wszystko zdjęła. . Helena pchnęła drzwi do pokoju Katarzyny. Obrzuciła wzrokiem puste, nie rozścielone łóżko, szlafrok zawieszony na drzwiach łazienki, a na fotelach rozmaite dodatki: apaszki, torebki, biżuteria, spośród których Katarzyna wybierała przygotowując się na prywatkę. Zbita z tropu Helena wróciła do pokoju Piotra. Gdy się nad tym zaczęła zastanawiać, stawała się coraz bledsza. Powoli, ostrożnie zbliżyła się do łóżka, straszliwe podejrzenie kłuło ją niczym kolka. Uważnie przyglądnęła się niewyraźnemu kształtowi, który lekko poruszał się pod kocem. Jedną ręką chwyciła się za serce, drugą zakryła oczy. Następnie teatralnym, pełnym furii gestem, jakby chciała odrzucić wszystko, by myśleć jedynie o Bogu i ojczyźnie, zerwała koc. Krzyknęła przeraźliwie i padła jak długa. Natychmiast na korytarzu dało się słyszeć przyspieszone kroki.

— Co się tu dzieje? Co ci się stało? — spytał zasapany Jacques, widząc swą żonę na podłodze, trupio bladą, leżącą bez życia, syna i córkę zaplątanych w koce i Annę stojącą w progu, żegnającą się raz za razem...

Lekarz stwierdził u Heleny Bordineau jedynie kryzys nerwowy, a nie żaden zawał serca, co ją wyraźnie rozczarowało.

Zanim postawił diagnozę, Katarzyna odciągnęła go na bok i cała czerwona, przeprowadziła z nim krótką, nagłą, jak się wydało, rozmowę. Gdy lekarz podsumował: „To było jedynie lekkie uderzenie krwi do mózgu, któremu towarzyszą halucynacje i omdlenia. Można to przypisać pani przepracowaniu” — Katarzyna uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Diagnoza ta zapobiegła rodzinnemu dramatowi, sprawiła jednak, że Helena Bordineau uwierzyła w swe skłonności do lubieżnych wizji. W ten sposób powstała szczelina, przez którą mógł się prześliznąć demon domu „Pod Koszem z Kwiatami”.

## List Anny

Nazajutrz podczas śniadania Piotr i Katarzyna nie śmieli na siebie spojrzeć. Helena przyglądała się na nich zamyślonym wzrokiem. Jak mogła była sobie wyobrazić... Jacques, jak nieobecny, smarował masłem kromkę. Podejrzywał, że wydarzyło się coś, co chciano przed nim ukryć. Widocznie zakłopotanie dwójki starszych dzieci sprawiło, że zaczął powątpiewać w diagnozę lekarza. Może rzeczywiście Helena, jak oświadczyła wśród konwulsyjnych krzyków, zastała Piotra i Katarzynę leżących w łóżku razem, całkiem nagich „w pozycji nie pozostawiającej żadnych wątpliwości, co do natury ich stosunków” ? Gdy wziąć pod uwagę, do czego ich dom okazał się zdolny, nie byłoby w tym nic szczególnie zaskakującego. Anna z pewnością знаła całą prawdę, ponieważ była w pokoju w chwili, kiedy Helena z krzykiem upadła na wykładzinę.

Ojciec zbliżył się do Anny i szepnął jej do ucha.

— Byłaś przy tym... Musiałaś wszystko widzieć... Możesz mi powiedzieć bez obawy... Nie zdradzę cię. Pamiętaj, że jesteśmy współnikami.

Anna nie odpowiedziała. Powoli, bardzo starannie zajęła się obłupywaniem jajka ze skorupki, następnie krojeniem i smarowaniem kromki. Później ułożyła ją równiutko na stole, na sposób Prokrusta ścinając wszystkie nierówności, po czym wsypała okruchy do swojej filiżanki, w której była kawa z mlekiem, i z wielkim zainteresowaniem przyglądała się, jak pływają.

Jacques, poirytowany, zbeształ ją:

— Czemu się bawisz chlebem? Czekasz, aż wystygnie ci jajko? Poza tym nie odpowiedziałas mi.

— Zimne jest lepsze, wolę takie — zareagowała żywo Anna. — A zresztą to moje jajko, a nie twoje. Jacques przygryzł wargi. Zraził ją sobie i teraz nie ma co oczekiwać odpowiedzi. Mając jeszcze nadzieję na złagodzenie sytuacji, powiedział łagodnym tonem:

— Przepraszam cię, powiedziałem to dla twojego dobra. Nie wiedziałem, że lubisz zimne.

— Co zimne? — zapytała bezmyślnie Anna, po dziecinnemu bawiąc się kawałkami chleba, które pływały w jej kawie.

— Jak to co, jajka na miękko.

— Co?— wykrzyknęła gwałtownie. — Zimne jajka na miękko! Nie cierpię.

I szybko zabrała się do jedzenia, maczając chleb w jajku.

— Fe, wystygło! To przez te twoje pytania... Jacques wzruszył ramionami. Cały ten cyrk dał mu do zrozumienia, że Anna nie ma ochoty nic powiedzieć. A skoro nie chce mówić, to znaczy, że widziała coś, co riiie bardzo się nadaje do opowiedzenia. Odtworzył sobie w pamięci wczorajszą scenę: jego żona w konwulsjach, Piotr i Katarzyna zaplątani w koce i prześcieradła — dlaczego w prześcieradła, i czy nie pochodziły one przypadkiem z pokoju Piotra?... Usiłował sobie przypomnieć, czy materac był goły; w progu żegnająca się Anna. Może żegnała się odmawiając pod nosem tę swoją modlitwę, jak zawsze, kiedy miała do czynienia z jakąś „diabelską” sprawką?

— Gratuluję twoich znaków krzyża wczoraj wieczorem— rzucił zniecierliwiony w kierunku Anny, ale głosem przyciszonym, tak by inni nie słyszeli. — Gdyby nie one, nie wiem, co by się wydarzyło.

Anna przyparta do muru zawahała się:

— Przeżegnałam się, jak zobaczyłam mamę przewracającą się z tym strasznym krzykiem.



— A w tym momencie Katarzyna i Piotr wyskoczyli z łóżka, każde owinięte w prześcieradło. Zastanawiające, czyż nie? Zwłaszcza że łóżko Katarzyny nie było rozścielone. Skąd się tam wzięło jej prześcieradło?

Anna odsunęła jajko.

— Jest całkiem zimne — powiedziała. — To przez ciebie. Nie dajesz mi nawet zjeść spokojnie śniadania.

— Ugotuję ci drugie — pośpiesznie powiedział Jacques, stawiając jednocześnie garnek na gazie. Anna coś odburknęła, po czym spojrzała na Potra i Katarzynę, którzy odsuwali krzesła odrzucając serwetki. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Na ustach Katarzyny zarysował się nieśmiały uśmiech. Podobny pojawił się u Piotra. Chwycił siostrę i obydwójce pochyłili się ku sobie.

Piotr szepnął jej do ucha: — Oczywiście, przykro mi z powodu tego, co się stało. Byliśmy szaleni. Ale to było wspaniałe.

— Tak — westchnęła Katarzyna. — Ale nie mówmy już o tym. Wstyd mi.

Pocałowali się, a podczas tego pocałunku Anna widziała, jak Piotr pieścił szyję Katarzyny.

— To jajko dla ciebie — powiedział Jacques wyłaniając się z kuchni.

— Naturalnie, że Katarzyna była owinięta w prześcieradło z łóżka Piotra — powiedziała zdecydowanym tonem Anna. — Nic w tym dziwnego, przecież leżeli razem. Ale to nie ich wina, rzecz jasna, to sprawka diabła, który krąży w tym domu. Szkoda tylko, że mama weszła akurat wtedy, kiedy wszystko zmierzało ku pomyślnemu rozwiązaniu dzięki moim znakom krzyża.

— A może to właśnie przez te twoje znaki nadeszła matka — powiedział Jacques, zbyt zaskoczony nagłą wylewnością Anny, by zastanawiać się nad tym, co mówi.

— Na całe szczęście — ciągnęła Anna — Katarzynie udało się przekonać lekarza, że mama miała atak hysterii...

— Co takiego?

— W przeciwnym razie uwierzyłyby w to, co mu opowiedziana, a wtedy Piotr i Katarzyna musieliby popełnić samobójstwo. Zresztą, kiedy Katarzyna rozmawiała z lekarzem, modliłam się jak nigdy. Jacques zastygł bez ruchu, oniemiały, z jajkiem w ręku.

— Daj mi wreszcie to jajko — niecierpliwiła się Anna. — Znowu chcesz, żeby wystygło! Jacques zbulwersowany udał się do jadalni. A więc nad wszystkimi ciążyło przekleństwo. Chciało mu się płakać na myśl o bulwersującym zachowaniu dwójki starszych dzieci. Ale czyż miał prawo je potępiać, skoro sam tak mało był odporny na niechlubne pokusy?

Zanim zamknął drzwi, zapytał Annę drżącym głosem:

— Wyrządzili d krzywdę?

— Ale kto? — zapytała z niewinną miną.

— Piotr i Katarzyna, jak ich nakryłaś?

— Już się przyzwyczaiłam — powiedziała Anna z zimną krwią. Jej odpowiedź w każdej innej sytuacji wydawałaby się komiczna. — Piotr chciał mnie udusić. Pomodliłam się i uratowało mnie nadejście mamy.

Odpowiedź ta przeraziła Jacques'a. Jak długo jeszcze będzie ją bronił przypadek? Wciąż nie dopuszczał do siebie myśli, że zawdzięczała swoje ocalenie modlitwom i znakom krzyża.

Przed pójściem do szkoły Anna w pośpiechu, na stole w jadalni, wśród pustych filiżanek i okruchów, napisała list do księdza Floriana, katechety ze swojego byłego liceum w Villejuif:

„Niestety nie będę mogła widywać się z księdzem tak często, jak bym chciała, ponieważ droga z Saint-Cloud do Villejuif zajmuje tyle czasu, że nie zostałoby go już na rozmowy. Bóg sprawił na szczęście, że odtąd mogę się obyć bez księdza pomocy. Oczywiście to dzięki księdza katechezom.

Ostatnim razem zbeształ mnie ksiądz, że go zanudzałam opowiadaniem o różnych niesamowitościach,

jakie przytrafiały mi się w domu. Dał mi ksiądz wtedy do zrozumienia, z całą surowością, na jaką zasłużyłam, to prawda, że nie powinnam wierzyć w istnienie chochlików, rozmaitych duchów i widm, które jak mi się wydawało, widziałam. One mnie zwodziły, ponieważ byłam grzesznicą. Te małe stworki, które mnie otaczały na każdym kroku, były znakiem, że mam duszę splamioną grzechem. Były wysłannikami diabła. Tłumaczył mi ksiądz, że poradzę sobie z tymi wizjami jedynie wówczas, gdy ucieknę się do modlitwy i zachowam czystość. Posłuchałam księdza rady i teraz już jestem spokojna. Jak tylko pastuszkowie i pastereczki zaczynają ożywać na obiciu z Jouy w moim pokoju, skrapiam ich wodą święconą, przeganiam inwokacjami i litaniami. Wtedy zaraz się wycofują w bezładzie, zabawni jak nigdy, a ja klaszczę w dłonie. Co do obrzydliwych zjaw rodzaju żeńskiego, ciężkich, chociaż przeźroczytych, które usiłują zmusić mnie do jakichś nieprzyzwoitych gestów, unieść mi je niczym przekłuty balonik przez samo wezwanie imienia Jezus albo Maria. W nocy również przytrafiają mi się różne rzeczy. Mój ojciec, brat, siostra etc. próbowali mnie udusić. Ale modliłam się wtedy i jedno z nich klapnęło na siedzenie, dwójka pozostałych zmuszona była ukryć się pod prześcieradłem. Jedynie z mamą jest wszystko w porządku. Nocą w ogrodzie pojawia się fosforyzujący balon i słychać krzyki ptaków. Ojciec twierdzi, że ptaki w nocy śpią i że to mogą być nietoperze. Jedyne, czego nie mogę zrozumieć, to pojawiający się na suficie cień młodej dziewczyny, zawsze, kiedy administrator składa nam wizytę. Ten człowiek z pewnością przynosi nieszczęście. Na tym kończę i jeszcze raz księdzu dziękuję. Z pomocą księdza panuję nad tym wszystkim. Nie rozumiem tylko, dlaczego na obiciu z Jouy również baranki zachowują się nieprzyzwoicie. Przecież to są Boże stworzenia i powinny być niewinne. A jednak zauważyłam, że kiedy odmówię modlitwę, pas-

tuszkowie i pastereczki natychmiast przestają to robić, a baranki świntuszą dalej. Muszę wtedy powtórzyć modlitwę. Wówczas przestają, ale bardzo opornie. A nawet, w jednym kącie za stodołą, są dwa prosiaki, które jakby mnie ignorowały i dalej robią swoje, tylko nieco łagodniej. Nie wiem, co ksiądz o tym wszystkim myśli. Czy powinnam się modlić inaczej, czy też nic się nie da zrobić z tymi prosiętami, które mają tak złą opinię?

Przekazuję wyrazy szacunku."

Po przeczytaniu listu księdza ogarnęło wielkie zniechęcenie. Bliski był przekonania, że z dziewczętami nie można nic zrobić. Ale zaraz poczuł się winny. Intrygowała go ta historia z prosięciem. Przekartkował Biblię. Nie, to było w Piśmie Świętym. Znalazł wreszcie odpowiedni fragment u św. Łukasza „...Gdy wyszedł na ląd, wybiegł Mu naprzeciw pewien człowiek, który był opętany przez złe duchy. (...) A Jezus zapytał go : »Jak ci na imię?« On odpowiedział: »Legion«, bo wiele złych duchów weszło w niego. Te prosiły Jezusa, żeby im nie kazał odejść do czeluści. A była tam duża trzoda świń, pasących się na górze. Prosiły Go więc (złe duchy), żeby im pozwolił wejść w nie. I pozwolił im..." (Łukasz VII, 27).<sup>2</sup>

Ze łzami w oczach odłożył Świętą Księgę. Zrozumiał, że wprowadził Annę w błąd. Bóg pozwalał zatem, żeby demony opętały świnię i żeby te ostatnie dopuszczały się różnych wybryków na tkaninie z Jouy, a może coś jeszcze gorszego. Okłamał ją także twierdząc, że jej „wizje" musiały być przejawem odsuwanych pożądań; by sprawiać wrażenie bardziej pobożnego, w idiotyczny sposób określał je jako „diabelskie pokusy". Anna w-swoim dzieciennym manichejskim pojęciu zapamiętała tylko jed

119

no: w jej wizjach obecny był diabeł. Uważała je zatem za całkiem realne. Czy miała rację? Jak można się z tym pogodzić?

Jeszcze raz gorączkowo przekartkował Ewangelię i natknął się na słowa, które Jezus wypowiedział do swoich uczniów, gdy ci bezskutecznie próbując egzorcyzmów dziwili się, że demon im się przeciwstawiał: „Bo zaprawdę powiadam wam: jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarnko gorczycy, powiecie tej górze: »Przesuń się stąd tam«, i przesunie się. I nic niemożliwego nie będzie dla was. Ten zaś rodzaj złych duchów wyrzuca się tylko modlitwą i postem.”

„Ten rodzaj złych duchów”, zastanowił się ksiądz. Co Jezus chciał przez to powiedzieć? Czy istniał jakiś zły duch, któremu wolno było dopuszczać się straszliwych postępów, podobnie jak tym demonom, które nazywały się „Legionem”, wolno było ukryć się w ciałach świń. I czyż nie był on właśnie podobny do owego z-domu „Pod Koszem z Kwiatami”, który ustępował jedynie pod wpływem modlitwy Anny?

Już miał zamknąć Świętą Księgę, która nasuwała mu tyle pytań, a tak niewiele dawała odpowiedzi, gdy jego wzrok padł na słowo „nieczysty”, wypisane czarną czcionką na początku wersetu. Był jakby zmuszony przez jakiś gwałtowny impuls do przeczytania go.

„Gdy duch nieczysty opuści człowieka, błąka się po miejscach bezwodnych, szukając spoczynku, ale nie znajduje? Wtedy mówi: »Wrócę do swego domu, skąd wyszedłem^ a przyszedłszy zastaje go nie zajęтым, wymiecionym i przyozdobionym. Wtedy idzie i bierze ze sobą siedmiu innych duchów złośliwszych niż on sam; wchodzi i mieszka tam. I staje się późniejszy stan owego człowieka gorszy, niż był poprzedni.” (Mat. 12, 43)

Ksiądz nie wierzył w przepowiednie przy pomocy przypadkowo odczytanych tekstów. Ale czyż nie przemawiała do niego Święta Księga? I czy historia człowieka, z którego

wyszedł duch nieczysty, by powrócić ze zwiększoną siłą, nie była parabolą domu „Pod Koszem z Kwiatami”?

Kto mógł być tym tajemniczym, straszliwym duchem nieczystym?

Ksiądz przekonany, że niewiele może zrobić, by pomóc Annie, padł na kolana i pogrążył się w modlitwie, która być może była jedynym skutecznym sposobem.

## Opętanie Heleny

Helena zamocowała nad umywalką w łazience niklowaną rurkę, na którą nakłada się mydło o kształcie cytryny. To ekonomiczny i praktyczny sposób. Gdy na drugi dzień po swoim ataku, nerwowym wstała z łóżka późnym wieczorem, by umyć ręce i twarz, i gdy dotknęła mydła, spostrzegła po raz pierwszy, że ruch rąk pocierających mydło, które przez dłuższe używanie przybrało podłużny kształt, przypomina wyuzdany gest prostytutek obdarzających pieścotami swoich klientów. Świadoma tego, że poprzedniej nocy w jej mechanizmach ochronnych pojawiła się jakaś tajemnicza przeszkoda, poddała się wrażeniu, które ją opanowało, wywołując rumieńce na policzkach i jakąś przyjemną słabość w rękach. Teraz świadomie pieściła mydło! Roześmiała się krótko, jakby chciała przed sobą samą udać, że bardziej ją to bawi, niż wprawia w zakłopotanie. Kontynuowała te mydlane pieścoty, które dostarczyły nie znanych jej dreszczy; ogarnęła ją rozkoszna słabość, sprawiająca, że ugiwały się pod nią nogi.

Nieco później, gdy wróciła do łóżka, poczuła, jak wzdłuż rąk, całego ciała przepływa jakaś niezmierna słodycz, niby niebiańskie mleko, które wchłaniały jej ręce. Nieśmiało i z lękiem uniosła je do piersi, doznających teraz oszałamiającej rozkoszy, następnie dotknęła brzucha i ośmieliła się sięgnąć jeszcze niżej. Wbrew jej woli ręce same się ożywiły wykonując delikatne ruchy na wzgórku łonowym, podobne do tych, jakich nauczyło je to diabelskie mydło. „Diabelskie” — tak pomyślała przerażona,

wśród rozkosznych westchnień. Nie miała przecież żadnych złych zamiarów, kiedy wchodziła do łazienki, a bezbożne obnazki napadły ją niczym oszały kot i kierowały ruchami bez udziału jej woli. Bez wątplenia musiała być w tym sztuczka Złego. Zdażyła jeszcze pomyśleć o uwagach Anny na temat niebezpieczeństw kryjących, się w tym domu, zanim znów pograżyła się w nie znanych odczuciach, głośno wzdychając.

Gdy fala minęła, znów zaczęła się zastanawiać. Myśli Heleny zdominowało zdziwienie. Oto groteskowy przypadek wyzwalał w niej to, czego nawet nie zasygnalizowały dziewczęce marzenia z lat szkolnych, ukradkowe uściski wymienione z kolegami, czego nie wywołały również delikatne pieszczoty małżonka, którego kochała.

Fakt, że rozpoznała w owym wybuchu pożądania dzieło diabła, nie przeszkodziłaby zło dokonało w niej rewolucyjnych niemal spustoszeń.

Ustępowały wszelkie formy zahamowania. Porwana mocą rozkoszy Helena Bordineau czuła, jak na podobieństwo metamorfozy u owadów" zmienia się jej natura. Bachantka, która drzemała w niej od niemal dwudziestu lat, przebudziła się teraz, rozpanoszyła i wypełniała sobą każdy zakamarek ciała, wypierając i przeganiając zaleknioną i podejrzliwą dziewczycę, która pomimo stosunków małżeńskich i macierzyństwa pozostawała nienaruszona.

Improwizując wykrzyknęła:

— Nadejdźcie wreszcie, upragnione burze!

I nagle rozplakała się na myśl o straconych latach. Ogarnęła ją gorączkowa chęć odwetu. Wkrótce znów próbowała się oddać świętokradczym gestom, które zerwały jej pęta. Zażywała uciech swego ciała, aż wyczerpana opadła na poduszki.

O zmierzchu przebudziła się gwałtownie, i choć w pamięci ciągle tkwiły jej ostatnie ekscesy, nie mogła w nie uwierzyć. Dopiero piękący ból w żołądku uświadomił Helenię, że to nie był sen.



Uroniła sztuczną łezkę nad utraconą cnotą, wzruszająco westchnęła wspominając swoje pobożne życzenia z dzieciństwa, a w końcu wybuchnęła dionizyjskim śmiechem, który zdziwił zaniepokojonego męża i dzieci, czuwających w salonie. Obawiali się o jej zdrowie psychiczne. Czyż mogli przeczuwać, że ten brzmiały jak trąba śmiech był zapowiedzią hałaśliwej opery, w której drżące partie solowe miały się przeplatać z piekielnymi baletami?

W intymnych zakamarkach Heleny Bordineau nagromadził się wielki zapas zmysłowości, która teraz, gdy otworzyły się wszelkie zapory, groziła zalaniem i tak już osobliwej atmosfery domu „Pod Koszem z Kwiatami”.

Jacques przyniósł jej kolację do łóżka, ale odmówiła, twierdząc, że woli zejść do jadalni i usiąść do stołu ze wszystkimi.

— Czuję się już znacznie lepiej — powiedziała — a w łóżku jest mi za gorąco.

Wszystkich zaskoczyła jej obojętna wyrozumiałość wobec tego, co zwykle wyprawdzało ją z równowagi. To, że Anna siorbała zupę z talerza, że Piotr wycierał talerz chlebem bez pomocy widelca, że Jacques głośno jadł, przyjmowane było z wyrozumiałym, łagodnym uśmiechem.

Dziwnym wzrokiem wpatrywała się w Piotra i Katarzynę, którzy siedzieli obok siebie, a ich kolana od czasu do czasu stykały się. Zdradzało ich lekkie poruszenie ciał, pomimo że usiłowali zatuszować to patrząc w zupełnie przeciwne strony i nie zwracając się do siebie ani słowem. A więc poprzedniej nocy to nie był sen. Helena westchnęła niemal z zazdrością, jakby te karygodne przyjemności jej dzieci zostały nie tyle przed nią ukryte, co jej skradzione. Zauważyła wybałuszone oczy Anny, która zdawała się śledzić jakąś niezwykłą scenę rozgrywającą się na obiciu salonu. Nie miała zamiaru jej karcić, przeciwnie, pomyślała bowiem, że opętana jak i ona, ulegająca temu samemu zwodniczemu, uciążliwemu wpływowi,

który ciążył nad domem, córka towarzyszyła jej niejako i podtrzymywała dzięki tajemniczemu, niezwykłemu rytuałowi.

Musiały zadziałać jakieś czary, gdyż Helena położyła nagle gorącą dłoń na kolanie męża, czym wprawiła go w osłupienie. Jej ręka zaczęła błdzić, zatrzymała się na moment w zagłębieniu pod kolanem, gdzie cienka skóra szczególnie eksponuje wrażliwe nerwy, by następnie powędrować jeszcze wyżej z niezachwianą pewnością. Jacques nie mógł być bardziej wzruszony, nawet gdyby sto tysięcy dziewczic otoczyło go swoimi pieścizotami. Ten niezwykły kontrast pomiędzy długim, ćwierć wieku trwającym oczekiwaniem, w którym to okresie próbował wszystkiego, by przełamać upartą oziębłość Heleny, a jej nagłą zuchwałością wywołał piorunujący efekt — efekt iskry elektrycznej przeskakującej pomiędzy dwoma przeciwstawnymi biegunami, która go natychmiast naładowała. Helena namacawszy „rezultat” swojej akcji westchnęła. Jacques osłabiony czuł\* jak jej niecierpliwe palce manipulują wokół zamka błyskawicznego\* uporczywie usiłując doszukać się tam czegoś i uwolnić. Tymczasem dzieci zaczęły się już niepokoić tą sceną. Piotr i Katarzyna, którzy dopiero co otrząsnęli się ze swoich wstydlivych przeżyć, drżeniem warg zdradzali, że nie zniosą następnej takiej próby. Przerażona Anna wskazywała na obicie z Jouy bełkocząc coś niezrozumiale... Helena pochyliła się nad swoim mężem niebezpiecznie blisko. Piotr i Katarzyna jednocześnie jęknęli. Jacques, z otwartymi ustami, oniemiały, w ostatnim odruchu rozsądku usiłował powstrzymać Helenę, przytrzymując ją za włosy. Ona zaś nagłym ruchem, na podobieństwo rozdrażnionego psa, \* któremu odbiera się miskę, ugryzła go w rękę. Wtedy Anna krzyknęła. Helena rozwścieczona obróciła się ku niej i Chwyciła ją za szyję.

— Zamknij się, mała idiotko! — wysapała.

Anna wstrząsana, Coraz bledsza, nie opierała się.

Przymknęła oczy. Jej ręce złączyły się, wargi zaczęły się poruszać. Helena natychmiast zwolniła uścisk i przez moment sprawiała wrażenie ogłuszonej, jak ktoś, kto otrzymał cios. Po czym wzięła ze stołu serwetkę i wytarła nią czoło. Piotr i Katarzyna spuścili głowy, wpatrując się w talerze. Jacques ciężko dyszał.

Helena rozejrzała się dokoła, jakby szukała jakiejś istoty, która znikła, ponownie przetarła twarz i słabym, ale już spokojnym głosem zapytała:

— Czy ktoś życzy sobie jeszcze zupy?

Było to rytualne i puste pytanie, ponieważ jak daleko sięgnąć pamięcią, nikt nigdy w tej rodzinie nie dolewał sobie zupy.

Ale tego wieczoru (nie było to wszak najbardziej godnym uwagi wydarzeniem), każdy przykładowie skusił się na dolewkę udając, że się delektuje. Jacques, zaciekły wróg wszelkich zup i bulionów, połykał ją pośpiesznie i bez żadnego hałasu, jednocześnie lewą ręką poprawiając na sobie ubranie: Nagły zwrot w zmysłowości żony bardziej go teraz przerażał niż cieszył. Postawa Anny w czasie szaleństwa Heleny, próba uduszenia jej przez matkę wywoływały w nim zbyt bliskie i koszmarne wspomnienia. Gdy ręka Heleny potrzęsała Anną, jej usta poruszały się — czyż nie szeptała wtedy modlitwy? I czy nie zakończyła się natychmiast przerażająca scena? Czy to był cud? I to cud powtarzający się już trzeci... może czwarty raz?

Poczuł, że trzęsie się cały, od stóp do głów. W równym stopniu bał się siły krążącej po domu, jak porażki swojego rozumu, który nie potrafił znaleźć wyjaśnienia ani środków zaradczych.

Helena z zadziwiającym spokojem zaserwowała pieczeń. Ale na jej policzkach płonął ogień, a w oczach błyszczało światelko, jakiego nigdy dotąd u niej nie widział.

## **Rozmowa w ogrodzie**

Tym razem inicjatywę wziął w swoje ręce ksiądz Florian.

— Rozmowa? — zdziwił się Jacques Bordineau.

Czyż nie powiedzieli sobie wszystkiego w Villejuif? Jednak nie miał nic przeciwko tej propozycji. Zbyt wiele spraw leżało mu na sercu. Trzeba było im dać upust. Umówili się na jedno z popołudni, kiedy Jacques nie miał wykładów. Łagodne, jesienne słońce przyjemnie ogrzewało Ogród, wyniósł więc turystyczny stolik i dwa wiklinowe fotele... Było porto, whisky, drobne herbatniki, papierosy. Cofnął się o kilka kroków, by z perspektywy ocenić ten wystrój. Przyniósł jeszcze popielniczkę na nóżce i dwa dodatkowe fotele, jakby chciał dać tym do zrozumienia, że nie jest wykluczone, iż jacyś nieoczekiwani goście przyłączą się do nich, dzięki czemu spotkanie nabierało z góry charakteru garden-party.

To staranie Jacques'a, by nadać spotkaniu mniej oficjalny charakter, zbyt wyraźnie zdradzało jego zmieszanie. Czy będzie miał odwagę opowiedzieć księdzu o ostatnim incydencie, w który była wciągnięta Anna? Czyż nie oznaczałoby to, iż uwierzył w jakieś nadnaturalne zjawiska i tym samym zasilił szeregi wierzących w przesady?

Również ksiądz udawał się na to spotkanie pełen niepokoju. Dręczyła go myśl, że powinien przyznać się do Winy. Utwierdzał bowiem Annę w jej przywidzeniach, zamiast zachęcić ją do bardziej racjonalnego spojrzenia na

te sprawy, co oznaczałoby z kolei dla niego zaparcie się istoty jego urzędu.

— Odrobinę porto? — zapytał Jacques ceremonialnie rozpoczynając to kłopotliwe spotkanie dwóch renegatów, z których każdy, zapędziwszy się na teren przeciwnika, zamierzał zbombardować swój własny obóz, i ta używając broni nieprzyjaciela.

— Ponoszę wielką winę ! — zaczął ksiądz. — Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że zupełnie nie rozumiem kobiet, a tym bardziej młodych dziewcząt. Sądziłem, że przez swoje studia są bardziej uodpornione na wymysły dawnych legend. Zapomniałem niestety, iż kobiety bardziej niż my chodzą po ziemi i że potrzebują niezachwianej pewności, by móc spokojnie zajmować się obowiązkami swojego stanu. Robią wiele hałasu wokół własnej duszy i jeżeli religia czy metafizyka nie dają jasnych rozwiązań, będą szukać wewnętrznego spokoju u miejscowych wróżek bądź w barokowych kosmogoniach podziemnych kultów. W ten sposób w ich uproszczonym świecie diabeł nabiera znaczenia. Ja mówię swoim młodym uczennicom o grzechu i pokusie mając na myśli odwieczny konflikt między materią a duchem, a one wyobrażają sobie coś na kształt bokserkiego pojedynku pomiędzy diabełkiem Hieronima Boscha a czystymi archaniołami Rafaela. Tak więc kwestia pracy nad sobą ustępuje miejsca poważnemu problemowi polowania na człowieka lub jakimś innym szalonym wymysłem. Takie są młode dziewczęta w pełni rozkwitu: są okrutną obietnicą kobiety, którą modlitwa przemienia w czystą Madonę, gdy tymczasem pulsują jej piersi i rozpalają się tajemne żądze.

— Nie odpowiada mi sposób, w jaki ksiądz wyraża się o mojej córce — przerwał szorstko Jacques.

— Proszę wybaczyć — powiedział pokornie ksiądz. — Ale w tym momencie oskarżam samego siebie za to, że dałem się zwieść iluzjom. Nie powinienem był dostarczać moim młodym katechumenkom tematów, które pobudza-

ją je do rozmyślań. Dlatego nie wybrałem dróg nowoczesnego Kościoła, który odrzuca śmieci tradycji! Oto owoc mojego błędzenia: pańska córka traci głowę, wszędzie widzi, diabły, rzuca na ściany wytwory swojej podświadomości. To moja wina, to moja wielka wina.

Ksiądz ujął głowę w obie dłonie i kołysał się w wiklinowym fotelu niczym antyczna płaczka.

Jakkolwiek to zachowanie wydawało się Jacques'owi Bordineau nieco zbyt emfatyczne, współczuł księdzu i chciał go pocieszyć.

— To prawda, że w nauczanie księdza wkradło się trochę mitologii. Ale jej odrobina jest niezbędna, by nieco przyprawić krystaliczną miksturę czystego dogmatu, jak również, by pokonać za pomocą delikatnych zdobień wielobarwne freski, jakimi rozmaite sekty usiłują zwieść zmęczone i zranione dusze naszych dzieci.

Ksiądz potrząsnął głową.

— Biada religii, która zniża się do takich kompromisów. Dziś zdaję sobie sprawę, że pogłębiły one u pańskiej córki naturalne w jej wieku zaburzenia.

— Ale czy jej przypadek rzeczywiście należy, tak traktować? — wyraził swą wątpliwość Jacques. — Z jednej strony rzeczywiście kusi mnie, by uznać księdza rozumowanie. Mojemu naukowemu racjonalizmowi bardziej wypada złożyć na karb jakichś zaburzeń świadomości dziwne wizje, które zdają się prześladować Annę. A jednak nie mogę pozbyć się uczucia, że to jakaś obiektywnie istniejąca rzeczywistość.

Nagle ogarnęła go złość.

— Widzi ksiądz, do cz<sup>^</sup>go to doszło! — wykrzyknął. — Ksiądz sprawia wrażenie niedowiarka, a ja jako uczoney popadam w jakieś nielogiczne refleksje.

— Na pocieszenie powiem panu, że sam Platon zasięgał rady u Pytii.

Jacques roześmiał się i napełnił księdzu kieliszek. Stuknęli się wymieniając melancholijne, pełne zrozumienia uśmiechy.

— Rozumiem pańskie odczucia — powiedział cicho ksiądz. — Tylne również zdarza się, że w zaciszu zakrystii, w jakiś smutny wieczór, podobny do tych, które zna pan ze swojego tajemniczego domu, gdy o zmierzchu przelatują chmary uskarżających się nietoperzy — podobnie jak pan mi opowiadał — otwieram zasady swojego rozumu i czuję, jak cienie niewidzialnych istot wlewają w moje serce kolejno lęk i pocieszenie, jakby wokół mnie rozgrywał się jakiś mroczny pojedynek między tajemnymi mocami przyjaznymi i wrogimi. Jest to czas zwiarów i nieokreślonych obaw, również złudzeń. To zrozumiałe, że pan nie jest bardziej niż ja uodporniony na tego rodzaju czary.

— Obojętne, czy dzieje się to we mnie, czy na zewnątrz, w domu, coś w tym jest — mruknął Jacques.

— A gdy pomyślę, że byłem spokojny aż do spotkania z tym przeklętym domem „Pod Koszem z Kwiatami”, dochodzę do wniosku, że w tej willi musi być „coś”, czego nie było w poprzednim mieszkaniu w Villejuif.

— To znaczy, że wierzy pan trochę, iż wizje Anny mogą być realne.

— W Villejuif nie widziała nic podobnego. Ksiądz westchnął.

— Rzeczywiście to zadziwiające. Być może pierwsze zaburzenia psychiki związane z dojrzewaniem Anny zbiegły się w czasie z przeprowadzką do domu „Pod Koszem z Kwiatami”.

— Coś podobnego! — zachnął się Jacques.— Wszystko byłoby zbiegiem okoliczności, mój drogi Watsonie, zbiegiem okoliczności, że od pierwszego dnia naszego przybycia do domu „Pod Koszem z Kwiatami” moja córka widzi na ścianach ożywające scenki, że w swoim pokoju wyczuwa obecność bardziej lub mniej lubieżnych zjaw i na dodatek czuje się winna tego wszystkiego. Przypadek także, że moja starsza córka traci poczucie wstydu, a żona nagle staje się namiętna?

— Powrócę do wyjaśnienia, które poprzednio panu zasugerowałem, a które cieszy się powodzeniem u angielskich tropicieli duchów; mianowicie, że ściany są nasączone obecnością poprzednich mieszkańców. Według ich opinii ściany zawsze zatrzymują w sobie coś z dobrych i złych wydarzeń, jakich były świadkami, i mogą nawet odtwarzać ich obrazy. Dlatego czasem można zobaczyć przechadzającą się zakrwawioną postać w pokoju, gdzie kilka wieków wcześniej popełnione zostało morderstwo. Można też usłyszeć żalony głos, dochodzący z grubych ścian pokoju, w którym zamurowano niewierną żonę, gdy jej mąż wrócił z wyprawy krzyżowej wcześniej, niż się spodziewała. Podobnie może być z domem „Pod Koszem z Kwiatami”. W czasach, kiedy był jeszcze domem schadzek, mógł wchłonać aż nadmiar rozwiązłych obrazków, które ściany dziś jeszcze emanują.

— To mogłoby wyjaśnić rojenia z obicia z Jouy — Żartobliwym tonem odpowiedział Jacques, chcąc tym samym pokazać, że z hipotez księdza przyjmuje jedynie ich zabawny aspekt. — Ale — ciągnął dalej po chwili

ustanowienia — ta teoria nie tłumaczy faktu, że dom nie tylko emanuje obrazy, ale zdaje się, że chce popchnąć swych mieszkańców do rozwiązłości.

— Wedle spirytystycznych teorii, które pozwolę sobie przywołać, skoro obracamy się w tematyce fantastycznej metafizyki, dusze zmarłych bardzo przywiązanych do ziemskich pasji z trudem z nimi zrywają w zaświatach. Te nieszczęsne duszyczki, nie mogąc zrezygnować ze swoich dawnych więzów, krążą wokół miejsc, w których żyły, i usiłują jakby w zastępstwie przeżyć utracone przyjemności. To wyjaśniałoby nam sprawę: dusze zmarłych pensjonariuszy domu „Pod Koszem z Kwiatami” — a większość z nich już nie żyje, po czterdziestu latach — prostytutki zazwyczaj umierają młodo — te nostalgiczne, nie pocieszone dusze błakają się po domu, czyhając w każdym kącie. Gdy tylko któryś z mieszkańców wyda się psychicz-



nie trochę słabszy, usiłują rozpałcić w nim własne, nie zaspokojone żądze.

Jacques poruszył się w fotelu.

— Odbiega ksiądz znacznie od teorii nasycenia ścian, którą uczony mógłby ostatecznie jeszcze uznać

— powiedział niecierpliwie. — Mimo wszystko jakieś nie znane dotąd prawa fizyki mogłyby wyjaśnić to, że ściany przechowują i wysyłają obrazy. Należy pamiętać, że nasi przodkowie mogli sobie wyobrazić telefon czy telewizję jedynie jako czary. Ale kurtyzany zazdrosne o szczęście żyjących — to czyste brednie.

— Zapomina pan — zauważył łagodnie ksiądz — że Kościół wierzy w nieśmiertelność duszy. Na pańskim miejscu nie dziwiłbym się, że nieszczęśliwe duszę objawiają się żywym.

— Dostyc tego! To wszystko dzieje się w naszych głowach! Nie powinienem był wynajmować tego domu. Żadne z nas nie będzie mogło zapomnieć, że w pokojach miało miejsce tysiące orgii, a w salonie niewątpliwie zbiorowe.

— A w jadalni libertyńskie obiady — dorzucił ksiądz, udając postępowego, otwartego duchownego.

— No, no, pije ksiądz do mojego wrażenia autosugestii. Jacques nagle spochmurniał.

— Jednak ani księdza nieprawdopodobne tłumaczenia, ani moje dedukcje nie wyjaśniają faktu, że Anna wiele razy była zaatakowana przez któreś z nas ogarnięte nienormalną furją. Po tym wszystkim nie mogę już pozbyć się lęku o nią.

Ksiądz zaskoczony takim obrotem sprawy umilkł. Jacques odczytał tę postawę jako naganę.

— Anna padła ofiarą fizycznej agresji — wykrzyknął. — Nie da się temu zaprzeczyć! Kto zatem, zdaniem księdza, może mieć coś przeciwko niej? Czyżby prostytutki z domu „Pod Koszem z Kwiatami” były o nią zazdrosne?

- tki z domu „Pod Koszem z Kwiatami” były o nią zazdrosne?

Ksiądz zdenerwowany tą nagłą agresywnością uderzył pięścią w metalowy stół, który zadźwięczał jak afrykański bęben.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, by uwierzył pan w istnienie ducha domu, który was nie akceptuje i który najchętniej atakuje osobę najsłabszą, najbardziej wrażliwą z pańskiej rodziny. Istnieją zabójcze domy, które zabijają; to znana historia. Mogę panu opowiedzieć o prześladowającym demonie, jak również o tym, który dręczył księdza z Ars wszelkiego rodzaju hałasami, nocnymi, a nieraz przeganiał go z łóżka!

— Banialuki!

— Ale przecież przed chwilą sam pan twierdził, że pańska córka ustawicznie ulega atakom swego rodzaju czarów. Musi się pan na coś wreszcie zdecydować. Albo przyzna pan, że te ataki dadzą się wytłumaczyć w sposób naturalny, co nie byłoby zresztą takie trudne. W rodzinach często zdarzają się sprzeczki, które kończą się kuksańcami. Albo upiera się pan przy działalności złych duchów, w których istnienie rzekomo pan nie wierzy, bardziej niż ja. Chodźmy zatem w tym drugim kierunku. Przyprawia to pana o dreszcze, ale podejrzewam, że znajduje pan również jakąś dziwną przyjemność w łamaniu własnych zasad. Może więc dusze byłych mieszkańców domu mają szatańskie skłonności? Ja byłbym tu sceptyczny. Wydaje mi się mało prawdopodobne, by zagubione dusze tych nieszczęsnych dziewcząt, winnych już przez to, że wlewają w nas truciznę rozpusty; miały w dodatku zbrodnicze zamiary. Te ataki na pańską córkę pozostają więc nadal tajemnicą. Chyba, że powrócimy do hipotezy o istnieniu ducha domu nie mającego nic wspólnego z duszami tych dam, a który byłby rzeczywiście zły.

Jacques wznosił ręce do nieba.

— Uważa ksiądz zatem, że te damy, które — zgodnie z określeniem księdza — wlewają w nas truciznę rozpusty, w rzeczy samej nie są złe?

Ksiądz usiłował ukryć swe zakłopotanie.

— Mój Boże, z rygorystycznie ortodoksyjnego punktu widzenia bynajmniej nie postępują dobrze. Ale czynią to bez złej woli, ulegając naturalnej skłonności. prostytutki na ogół są uprzejme. Potwierdzili to między innymi Toulouse-Lautrec i Degas.

— -Dlaczego więc atakują Annę? — zapytał Jacques podejmując tę najwyraźniej nielogiczną i mało uczoną dysputę.

— W tym punkcie nie zgadzam się z panem — odrzekł ksiądz. — One jej nie atakują. Zadowolają się zasugerowaniem gestów, które zresztą, zaledwie zarysowane, natychmiast ustają.

— To dlatego, że Anna się modli! - Banialuki — wykrzyknął ksiądz mimo woli. Po tym wybuchu herezji rozmówcy na moment zamilkli oszołomieni.

— Ależ tak — pośpiesznie powiedział ksiądz — z pewnością modlitwa nie jest tu bez znaczenia. A może chodzi po prostu o wysiłek koncentracji, do jakiego mobilizuje się wówczas Anna, by pozbyć się niedobrego wpływu.

— Albo może — dodał Jacques jakby we śnie — te lubieżne duchy, jeśli to rzeczywiście są duchy, przez powtarzanie tego okrutnego gestu, który powstrzymują tuż przed spełnieniem, chcą nas ostrzec, że Annie grozi niebezpieczeństwo. Ta udana walka może być alarmującym sygnałem.

— Zaczyna pan już całkiem majaczyć — zbeształ go ksiądz.

— Chciałbym, żeby tak było — westchnął Jacques Bordineau, sięgając osłabłą ręką po butelkę whisky.

## **Dziwne spotkanie**

Anna usiadła pod wielkim bukiem, starannie naciągając spódnicę na kolana . Rzuciła teczkę na ziemię i podparłszy jedną ręką głowę, drugą oparła ją na trawie i zaczęła rozmyślać. Park w Saint-Cloud wydawał się jej dogodnym miejscem do snucia refleksji po wyjściu ze szkoły. Wieczorem było tu wielu spacerowiczów. Opiekunki z dziećmi przygotowywały swoich podopiecznych do wyjścia, a rowerzyści pośpiesznie kierowali się ku bramkom. Z ogromnych drzew opadała wieczorna wilgoć, chłodząc zatroskane czoła ostatnich przechodniów. Pomarańczowa poświata jesieni łagodziła niespokojne dusze młodziutkich uliczników, poetów, akwarelistów. Dyskretny szelest masowo spadających zwiedłych liści wtórował westchnieniom nieszczęśliwych kochanków.

Nastrój Anny harmonizował z tą jesienną melancholią. Nie miała poczucia winy, ale też nie czuła się tak całkiem niewinna. Nie mogła zaprzeczyć, że szaleństwa w domu „Pod Koszem z Kwiatami” były rzeczywistością. Nie mogła więc uznać twierdzenia księdza, jakoby jej wizje były wytworem rozgorączkowanej wyrzutami sumienia wyobraźni. Przecież w innych miejscach też miewała silne pokusy, nie zdarzało się jej jednak, by scenki z tapety ożywały i były nieprzyzwoite.

A wiedza księdza Floriana na ten temat wydawała się Annie zbyt skromna. Zdawał się on nie wierzyć w diabła, przyznawał jednak, że można się zasugerować do tego stopnia, by go wykreować.

Pokazywał artystyczne wyob-

rażenia piekła, żeby udowodnić jego charakter symboli ny i złudny, ale wznosił płonący miecz przeciwko grzechowi, jakby w duchu wierzył w rzeczywiste istnienie piekła równie gorącego jak to rozpalone ostrze. Jeżeli dla spójności jego nauki konieczne było odwoływanie się do mitów, niech sobie z nich robi użytek!

Przez tchórzostwo księdza Floriana Anna zmuszona była wybierać pomiędzy dwoma równie strasznymi werdyktami: albo kłamała, albo była szalona. Ponieważ skłaniała się ku drugiemu, pewna, że rzeczywiście przeżywała swoje wizje, pogłębiały się jej zmartwienia, gdyż w oczach świata uchodziła za oszustkę, podczas gdy sama uważała się za szaloną.

Szalona — pomyślała — to znaczy, że mam halucynacje. A zatem jej wizje nie były realne, pomimo że za takie je uważała. Pomyślała też natychmiast, że różnicę między halucynacją a rzeczywistością może ustalić jedynie przez jakiś obiektywny dowód.

- Zdjęcie albo lepiej film — powiedziała nagle do siebie, dziwiąc się, że wcześniej o tym nie pomyślała. Może przecież pożyczyć od Piotra kamerę, zabrać ze sobą do stołu i włączyć w momencie, gdy pastuszkowie, pastereczki i baranki zaczną się poruszać. Wszyscy kpiliby sobie z niej, to pewne. Ale chciałyby widzieć ich miny później, jak im wyświetli film. A jeżeli nic się nie nagra? Co za upokorzenie! Byłby to dowód jej obłąkania. Mniej wyrozumiali oskarżyliby ją o kłamstwo. A ojciec, czy on by uwierzył?

Zdziwiło ją nagle uczucie szczęścia i wdzięczności na wspomnienie, w jak brutalny i okrutny sposób potraktował ją ojciec owego wieczoru, kiedy w trakcie kolacji powiedziała, że postacie z obicia z Jouy... A więc musiał jej uwierzyć! Inaczej trudno byłoby wytłumaczyć tę furję. Gdyby uznał, że kłamie, wyśmiałby ją po prostu. Zdenerwował się dlatego, że się przestraszył i że wstydził się

swego lęku. Czego się obawiał? Oczywiście bał się uwierzyć Armie, on taki sceptyk, wykpiwający zawsze religię oraz przesady. Właśnie dlatego, że jej uwierzył; wybuchnął taką złością. Złością, która skierowała się przeciwko niemu samemu, a której był jedynie kozłem ofiarnym. Złość ta nieustannie by się potęgowała i Anna nie widziała innego sposobu zaradzenia, jak zachowanie odtąd milczenia na temat swych wizji, starannie się pilnując, by nie zdradzić się najdrobniejszym gestem czy słowem, nawet gdyby sam diabeł o dwóch głowach i trzech ogonach usiadł jej na kolanach w trakcie deseru. Będzie musiała odtąd zamykać wszystkie wizje w swoim sercu, jak to robiły przed nią ŚW. Teresa z Avila, Joanna d'Arc, Bernadeta Soubirous i wiele innych świętych. Z pewnością wymagałoby to nie lada heroizmu — czyż jest coś trudniejszego dla młodej dziewczyny, jak zachowanie czegoś w tajemnicy — ale też przysporzyłoby jej niemałych zasług. Na pewno zostanie wynagrodzona, a święta Dziewica osobiście jej się objawi, by pocieszyć ją po wybrykach pastereczek. Zdarzały się przecież podobne przypadki świętym o znacznie mniejszych zasługach.

Anna energicznie klepnęła się po ręce. Oto zaczynała popadać w grzech pychy. Długi odpoczynek na trawie nie był nic wart. Ksiądz miał rację, gdy mówił, że mętne marzenia prowadzą jedynie do zakłócenia myśli.

Czas mijał, park stopniowo pogrążał się w mroku. W oddali strażnik sygnalizował gwizdkiem, że wkrótce zamyka. Nagle skręcił w jakąś alejkę i Anna poczuła się bardzo samotnie.

Jednym skokiem podniosła się, otrzepała spódniczkę, z pewną podejrzliwością wpatrzyła się w wysadzaną drzewami alejkę prowadzącą do wyjścia, które wydawało się bardzo odległe, ukryte w coraz bardziej gęstniejącym cieniu. Wystarczy, że zabraknie jednego człowieka — w tym wypadku był to strażnik — a ożywione, pełne gwaru parki stają się nagle opustoszałe, wrogie. Odgłosy

leśne, zagłuszane dotychczas krzykiem dzieci, wesołymi dzwonekami rowerów, dolatywały teraz do Anny ze wzmożoną agresywnością. Liście poruszały się nerwowo, jakby nagle przebudzone z marazmu dnia drzewa groźnie skrzypiały. Krzyk sowy pogłębił ten nastrój: Anna szła szybko. Pod jej stopami trzeszczał żwir z jakąś niebezpieczną ironią. Z czułością pomyślała wówczas o dobrze znajomych pastuszkach i miłych pasteczkach z obicia z Jouy i jeszcze bardziej przyspieszyła kroku. Nagle gwałtownie się odwróciła, usłyszawszy za sobą hałas wśród wysokich drzew. Zobaczyła cień przemieszczający się od drzewa do drzewa. Sarna? Dzikie zwierzę? Może jakaś wróżka? Mało prawdopodobne z powodu ciemnego stroju i czarnego kapelusza...

Anna zaczęła biec. Wyjście było niedaleko. Z prawej strony dobiegł ją znajomy gwizdek strażnika. Zwolniła kroku. A więc to jeszcze nie czas, by znaleziono ją zgwałconą i uduszoną w krzakach. Smutny los uczennicy, która była już prześladowana w domu. Czyż Bóg nie dopuścił, że już dwa razy była ofiarą? Ach, oto strażnik. Jaką ma miłą twarz i sympatyczny zielony mundur! Anna przechodząc uśmiechnęła się do niego. Znalazła się teraz w labiryncie wąskich uliczek górnego Saint-Cloud. Małe opustoszałe uliczki, domy na podestach, wszystkie opasane murami, zamknięte kratami, opancerzone, z których próżno by oczekiwać pomocy, gdyby się nagle zostało napadniętym. Usłyszawszy za sobą przyspieszony krok, Anna nie odwracając się — bała się, że zobaczy wykrzywioną twarz i oszalałe oczy — rzuciła się biegiem w najbliższą przecznicę, gdzie ujrzała człowieka otwierającego bramkę, — Proszę mnie wpuścić — wysapała usiłując się wślizgnąć przez szparę. — Boję się, chyba ktoś mnie śledzi.

— Co mnie to obchodzi — mruknął tamten i odepchnął ją zamykając pośpiesznie bramę.

Anna nie traciła czasu na dyskusje. W ciągu kilku dni pobytu w Saint-Cloud zdążyła już poznać obyczaje mieszkańców tych zaryglowanych willi. Dyskutować — znaczyłoby tracić czas, a tracić czas to zwiększyć niebezpieczeństwo, którego odgłosy słyszała już na końcu ulicy. A im większe zagrożenie, tym bardziej właściciel willi w Saint-Cloud zaszywa się w swojej norze, którą całkowicie wypełnia swoim zrogowaciałym tyłkiem.

Biegła teraz usiłując zmylić prześladowcę nagłymi skrętami w sąsiednie uliczki, drżąc ze strachu, by nie trafić na ślepą ulicę.

Człowiek zdawał się lepiej znać teielnicę niż Anna, gdyż po jej nagłym zwodzie w jakąś alejkę znalazła się z nim twarzą w twarz: musiał dojść jakąś przecznicą.

Anna nagle stanęła sparaliżowana strachem. Mężczyzna zbliżył się, rozpoznała go pomimo ciemności.

— Ach, to pan Lepchot, administrator — wyjąkała.

— Tak, to ja — odparł. — Dlaczego pani tak biegła? Od kwadransa usiłuję panią złapać. Nie zauważyła pani, że idę za nią od samego parku?

— Nie — skłamała Anna, — Nie zauważyłam pana, a. biegłam, ponieważ się spieszę.

Skarciła samą siebie za to, że uległa panice. Poczciwy człowiek chciał z nią po prostu porozmawiać. Gdy jednak przyjrzała mu się uważniej, znów ogarnął ją niepokój. Administrator tarł nerwowo kapelusz, jakby za chwilę miał go potargać. Mamrotał coś cicho, przytłumionym głosem, a na czole pojawiały się, to znów znikwały uderzenia krwi, na przemian czerwone i fioletowe.

„To dlatego\* że biegł” — pomyślała w duchu Anna. O ile tych kilka minut biegu wyjaśniało jego zadyszkę, to nie usprawiedliwiała dziwnego drżenia głosu administratora.

— Mam wrażenie — bełkotał Armand Lepchot — że pani nie tylko się mnie boi, ale i nienawidzi.

— To prawda — przyznała spokojnie Anna — teraz po tym pościgu za mną jest pan odrażający.



Armand Lepchot ścisnął kapelusz- z taką turcją, że słycać było, jak pęka materiał.

— Mała cholera, łajdaczka — zaczął, po czym zreflektował się, przejechał ręką po czole. — Proszę mi wybaczyć — powiedział — to nie moja wina.

Gdy tak tkwił nieruchomo, zakłopotamy, Anna skorzystała z okazji i rzuciła się do ucieczka, najszybciej jak potrafiła, ale nie biegła, gdyż to, jak wiadomo, najbardziej irytuje wilczury i szaleńców. Dopiero kiedy znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, puściła się pędem, klucząc wśród wąskich uliczek, aż całkiem się zagubiła. Przynajmniej była uratowana.

Złapała oddech i zwolniła tempo. Kogo tu zapytać o drogę? Zawołała pod jednym z oświetlonych okien, przez które widziała siedzących przy stole. Ale żaluzje były zaciągnięte i nikt jej nie słyszał. Zresztą nawet gdyby ją usłyszano, nikt by się nawet nie ruszył.

Zapadła noc, na szczęście księżyc oświecił uliczki. Anna postanowiła iść przed siebie w nadziei, że napotka wreszcie znajomy krajobraz. Przestała kontrolować trasę i nawet zaczęła pogwizdywać. Nagle gwizdanie zastygło jej na ustach, wyrwał się jej natomiast krzyk rozpaczy... Był tutaj, na środku drogi, z bladą twarzą, wyblakłymi oczami patrzącymi spod straszliwego czarnego kapelusza. Jego bezkrwiste ręce wyciągały się ku niej; skrzeczał:

— Proszę zaczekać. Niech pani nie ucieka. Anna, sparaliżowana strachem, nie byłaby nawet do tego zdolna.

Zbliżał się do niej z wyciągniętymi rękami, z zakrzywionymi palcami; Dziewczynie wydało się, że w kącikach jego ust widziała gęstą pianę. Już miał jej dotknąć, gdy Annie powróciła odwaga i wyciągnawszy z teczki metalową linijkę, z całej siły uderzyła administratora po palcach. Przecięła nią skórę i strużki krwi wytrysnęły na mankiety Armanda Lepchot.

Rozplakał się.

— Dlaczego pani to zrobiła? —, zapytał drżącym głosem. — Chciałem tylko z panią porozmawiać. Anna znów zobaczyła zbliżające się zakrzywione palce, jakby chciały ją udusić. Tym razem nie dała się już wziąć na litość.

— Niech pan zmyka, bo roztrzaskam panu głowę.

— Czego może się pani obawiać ze strony sześćdziesięcioletniego człowieka? Prawdopodobnie poprzetrą-cała mi pani palce.

Złość i strach częściowo opuściły Annę. Czy nie uległa panice zbyt szybko? Rzeczywiście administrator wydawał się jej teraz biednym człowiekiem, żalonym i śmiesznym. Jak łatwo mogła się z nim uporać! Zrobiło się jej żal tego błazeńskiego satyra.

— W porządku, niech pan wraca do siebie —powiedziała. — Chcę zapomnieć o pana groteskowym zachowaniu i nie wspomnę o tym ojcu.

Administrator, wycierając palce chusteczką do nosa, mruknął smutno:

— Ależ nie musi pani niczego przed nim ukrywać. Przecież nie ma tu nic do opowiadania, chyba jedynie o pani idiotycznej agresji.

Anna poczuła się nieswojo, przerwała mu:

— Zgoda. Przepraszam pana. Czy mogę coś dla pana zrobić?

— Proszę zapytać swojego ojca...

— Zapytać, o co?

— O notes, czy nie znalazł notesu!

— Jakiego notesu? — niecierpliwiła się Anna.

Ale administrator szybko podniósł kapelusz, który w czasie szamotaniny upadł na drogę, i oddalił się w dziwny sposób. Jego chód był szybki, a jednocześnie wstydlivy. -

Co chciał powiedzieć? — zastanawiała się Anna. Wkrótce trafiła na znajomą uliczkę. Weszła do domu i zauważyła, że stół nie był jeszcze nakryty. A przecież

wydawało jej się, że odkąd opuściła park, upłynęło kilka godzin. Rzuciła się na stojący w ogrodzie leżak, by spokojnie się zastanowić.

Cała ta historia pachniała diabelskimi sztuczkami. Przypomniała sobie cień młodej dziewczyny rysujący się na suficie salonu podczas wizyty administratora u jej ojca. Obicie z Jouy, nocne ataki tajemnicze sylwetki, pościg w parku, a nawet bójka, wszystko to oceniała jako działalność demona. A więc nie może powiedzieć ojcu o tej nowej siedzibie zła, by znów nie wyprowadzić go z równowagi.

Gdy Anna powzięła to postanowienie, jeden pęd dzikiego wina, purpurowo złocisty, odzepił się od muru w ogrodzie i zaczął łaskotać ją po udzie. Pod wpływem lekkiego wiatru gałązka kołysała się dotykając kolejno jej kolan, pachwiny, następnie gładząc nabrzmiąły brzuch.

— Oto dowód, że to sprawka diabła — powiedziała do siebie Anna.

I pełna pogardy, rezygnując z wstydlivej przyjemności, zdecydowanym ruchem odepchnęła roślinę.

## **Opinia profesora Hyperiona**

Profesor Hyperion nieźle się ubawił. Jacques Bor-dineau nie brał mu tego zbyt za złe, pomimo że uśmiech, towarzyszący wybuchom śmiechu jego kolegi, bywał chwilami gorzki.

Był jednak przyzwyczajony do ciosów Hyperiona, kolegi ze studiów. Nie rozstawali się nigdy od czasów, gdy opuścili Dzielnicę Łacińską. Obydwaj wykładali w Nan-terre pokrewne dyscypliny. Jednakże socjologia pchnęła Jacques'a ku częściowej nietolerancji, gdy tymczasem etnologia, dyscyplina profesora Hyperiona, pogrążała go powoli w agresywnym sceptycyzmie, jak to często się zdarza ludziom oddającym się naukom porównawczym.

— Gadaj zdrów o swoim nawiedzonym domu — zanosił się od śmiechu profesor. — Twój przypadek jest oczywisty. Popadasz w pierwotny regres pod wpływem pewnej szczególnej hipnozy, z której trzeba się szybko obudzić; Nie chodzi tu o owo podejrzanе cofanie się do dzieciństwa czy rzekomy nawrót do innego życia, jak o tym zapewniają niektórzy zwolennicy metempsychozy. Chodzi o nawrót do pierwotnych stanów świadomości zbiorowej, jakbyś cofnął się w czasie aż do epoki człowieka z Cro-Magnon, który żył na tym samym etapie wierzeń, co społeczności plemienne w dzisiejszym Kongo czy Amazonii. Słuchając cię, odnoszę wrażenie, jakbym został przeniesiony do Boulous-Boulous — to taka ogólna nazwa, którą posługuję się dla oznaczenia prymitywnego świata afrykańskiego — i brał udział w magicznych

komediach. W pojęciu przedstawicieli owego świata wszystko jest przejawem jakichś straszliwych zaświatów. Każdy przedmiot ma swój diabelski odpowiednik. U początków każdego wydarzenia tkwi nadnaturalna przyczyna. Rzeczywistość jest dla nich jedynie pozorem prawdziwego świata. Tym bardziej mam powody, by kpić sobie z twoich surrealistycznych bądź surrealnych wyjaśnień co do rozmaitych ekscesów, których ofiarą rzekomo padła twoja młodsza córka.

Jakiż to czarodziej rzucił na ciebie urok, że czujesz się winny dlatego, iż skarciłeś to niezdolne dziecko? Twój napad złości był jedynie wybuchem zdrowego rozsądku. Nierozsądna byłaby pobłażliwość dla urojeń rodzących się w duszach dziewcząt w okresie dojrzewania. W społecznościach Boulous-Boulous dziewczęta poddawane są egzorcyzmom poprzez okrutne, onieśmielające obrzędy inicjacji, które mają na celu zachowanie ich nieracjonalnej kobiecości w porządku społecznym.

My zatraciliśmy tę Wiedzę i żartujemy sobie w najlepsze z kryzysów nerwowych, braku apetytu i najrozmaitszych wyskoków naszych dorastających dzieci, prowadzących nieraz nawet do patetycznych mistyfikacji. Pamiętasz, jak zaśmiewaliśmy się razem przeglądając te pseudonaukowe studia publikowane w różnych seriach poświęconych pierwiastkowi niezwykłemu czy fantastycznemu. Jako niezbity dowód istnienia jakiegoś alternatywnego świata widniały w nich opowieści o zjawach określanych jako *poltergeist*, których świadkowie zapewniali, że widzieli przemieszczające się lub latające w powietrzu najrozmaitsze przedmioty, bez żadnej interwencji i człowieka. Ma to miejsce jedynie w tych domach, gdzie są dziewczynki w okresie dojrzewania lub chłopcy zbliżający się do tego wieku. Rzecz jasna, to właśnie mała diablica lub diabełek daje pierwszy impuls owej zbiorowej hysterii, w podstępny sposób wyrzucając z ukrycia jakieś przedmioty. W krótkim czasie mieszkańcy takiego domu nieświadomie uczestniczą w oszustwie, a dom zamie-

nia się w piekło. Cieszą się tym naiwni policjanci i łatwowierni dziennikarze, mający pożywkę dla swoich długich raportów i zabaSpiych artykułów. Anna ze swoimi przywidzeniami ozywających scen z obicia z Jouy pasuje jak ulał do tego schematu, świadomie czy nie. I w pierwszej kolejności zaatakowało ciebie, wątpliwego racjonalistę, wykorzystując odwieczny związek ojciec — córka. Zwierzając się jedynie tobie ze swoich wizji, obdarzając zaufaniem, odebrała ci broń, jaką jest kpina. I w tym momencie powstała szczelina, przez którą mogła sączyć w twoje serce fatalny kobiecy narkotyk absurdu i nielogiczności. Grozi ci stanie się Boulou-Boulou. Twój odruch złości chwilowo cię uratował. Przede wszystkim nie powinieneś sobie wyrzucać, że trochę poturbowałaś córkę. To było konieczne, abyś otrzeźwiał.

— Zgodziłbym się z tym, gdyby nie fakt, że Anna była atakowana jeszcze dwa razy w tym domu, i to przez różnych członków rodziny — powiedział Jacques. — Raz przez swojego brata, którego zastała w skandalicznej sytuacji; a drugi raz przez moją żonę.

— Opowiedziałeś mi już o tych okolicznościach. Nie widzę w tym nic dziwnego, że jedno czy drugie obeszło się z nią wówczas szorstko. W obydwu przypadkach naraziła się, raz przez swoją niedyskretną ciekawość, drugim zaś razem przez złośliwość, która przybrawszy maskę naiwności mogła być irytująca. Tak znakomicie udało się jej wprowadzić ciebie w jej magiczny świat, że wszędzie doszukujesz się zbiegów okoliczności i spisków. Zastanów się, czyich spisków. Znów powracamy do Boulous-Boulous.

— Ci Boulous-Boulous mają szerokie plecy! Życzyłbym sobie, żeby wszystko było takie proste, jak na to wskazuje twoja skłonność do uproszczeń.

— Nie, ja nie upraszczam, ja tylko staram się wyjaśnić, a wtedy wszystko staje się prozaiczne. Nie miej mi tego za złe.

— Och, jakże bym chciał, żeby wszystko było proste - westchnął Jacques. — Żeby ten dom nie miał opinii nawiedzanego przez diabła, żebyśmy nie potracili głów od

czasu naszej przeprowadzki, żeby moja córka, tak spokojnie w Villejuif, nie miała dziwnych przywidzeń, żeby nasze namiętności nie wybuchały w tak zaskakujący sposób, żebym nie pożałował swojej córki, żeby moja starsza córka nie oddawała się swojemu bratu i żeby tak wyważona i powściągliwa zmysłowość Heleny nie ustąpiła nagle niepokojącemu rozpasaniu.

— Gdybyś nie dał sobie nabić głowy tymi bzdurami, że dom wywiera niezdrowy wpływ, nie widziałbyś nic dziwnego w tym, że córka wydaje się ojcu pociągająca i przez moment wprawia go to w podniecenie, w tym, że brat z siostrą wymieniają drobne pieszczoty i że żona pod wpływem zmiany otoczenia ulega zwiększonemu uniesieniu.

— Musiałem więc się bardzo zmienić - powiedział smutno Jacques. — Wszędzie dostrzegam tajemnicze wpływy. Skoro na wszystko znajdujesz odpowiedź, czy mógłbyś mi wytłumaczyć tę zmianę? Kiedyś wszystko buntowało się we mnie przeciwko przejawom nieracjonalności, A przecież gdy tylko przekraczam próg domu „Pod Koszem z Kwiatami”, mam wrażenie, że wchodzę w jakiś inny świat, którym rządzą nieznane, w najwyższym stopniu fantastyczne prawa. Mogę trząść się ze strachu. Mogę sobie kpić z tego, ale nie potrafię się pozbyć takiego właśnie wrażenia.

— Widocznie potrzebujesz tego. Cofnąłeś się być może w mistyczny świat swojej pobożności z młodzińskich czasów. Również u mężczyzn w okresie przekwitania powstają w duszy pęknięcia, którymi wciskają się dawne obrazy. Po prostu popadasz w dewocję albo w przesady, jak wolisz. A skoro ci z tym dobrze dlaczego miałbyś z tego zrezygnować? Jeżeli będziesz jednak nadal udoskonalał swą fantastyczną powieść o nawiedzonym domu, grozi ci szaleństwo. Albo natychmiast otrząśmiesz się z tego wszystkiego, albo dobrowolnie będziesz się staczał, a wtedy obawiam się, że nie najlepiej skończysz,

wykładając w Nanterre nauki ścisłe, gdy tymczasem w Saint-Cloud będziesz odprawiał czarne msze. Jacques roześmiał się, ale nie było w tym wesołości, i ujął nagle ręce przyjaciela.

— Przysięgnij mi, że jesteś tego pewien, że rzeczywiście wierzysz w to, iż dałem się zwieść absurdalnym opowieściom administratora, uległem plotkom, jakie krążą na temat domu „Pod Koszem z Kwiatami”; że wyczerpany przeprowadzką zbyt dużą wagę przypisywałem banalnym wydarzeniom, że czepiałem się niewinnych dzieci, że sam zastawiłem na siebie tę sieć, która mnie dusi.

— Już ci to powiedziałem. Zaplątałeś się sam.

— A zatem nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zaproszę cię do nas na kolację w któryś wieczór? Profesor Hyperion potrząsnął potakująco głową.

— Ale nie od razu. Zaczekam, aż ci przejdzie. Myślisz, że nie jestem równie podamy jak każdy inny? Gdybym przyjął twoje zaproszenie i zasiadł do stołu wraz z zastraszonymi współbiesiadnikami, ukrywającymi jakąś tajemnicę, mógłbym ulec owym oparom absurdu, które tylko czekają na to, by przeniknąć do naszych popękanych mózgów.

Jacques nie mógł powstrzymać się od szyderstwa.

— Twoja wiara jest zatem słaba, mój stary, a twoja bojaźliwość zadziwiająca wobec tego, co przed chwilą głosiłeś z taką pewnością i stanowczością. Katecheta mojej córki być może ma rację. Diabeł to mały wąż, który wiję się w pyle. Nikt nie traktuje go poważnie, a już najmniej profesor Hyperion, dopóki o zmierzchu milczący i niespokojni goście zebrani przy stole nie zaczną czegoś śledzić i gdy sam nie zacznie wodzić wzrokiem po tapecie z obawą, że zobaczy na niej, jak pastreczka potrząsa swym kołowrotkiem.

— Dom „Pod Koszem z Kwiatami” naprawdę rzucił ci się na mózg — wykrzyknął poważnie zirytowany Hyperion.



— A ty się oczywiście boisz, żeby z tobą nie stało się to samo. Gdzie twoje lekcje zdrowego rozsądku, gdzie twój naukowy racjonalizm? .

— Właśnie dlatego, że mi zależy na moim rozsądku, nie chcę go narażać na bezsensowne próby. Wystarczy, że widzę, do czego ciebie doprowadziła bzdurna gadanina i równie głupie praktyki.

— Ty sam jesteś Boulou-Boulou — wykrzyknął Jacques. — Dlatego, że nie wierzysz w amulety, a boisz się ich.

— Z tobą jest gorzej, to ty się ich boisz, nie wierzysz, w nic.

Ponieważ byli starymi przyjaciółmi, poprzestali na tym i zgodnie powrócili do napoczętej: butelki porto. A kiedy się rozstawali, nie mogli się powstrzymać od wypowiedzenia zgodnie magicznego zdania z lat młodości, którym zamykali zawsze dysputy filozoficzne.

— No cóż, to nie tak...

## **Nowe szaleństwa Heleny**

Jacques Bordineau zaczął odkrywać w sobie skłonności podobne do upodobań diuka de Guermantes w wyborze kochanek. „Wszystkie były do siebie podobne — czytał — ponieważ diuk lubił kobiety okazałe, zarazem majestatyczne i naturalne, coś pośredniego pomiędzy Wenus z Milo a Nike z Samotraki, zawsze blondynki...”

To dokładnie mój ideał kobiecego wdzięku — powiedział do siebie, chełpiąc się, że przypomina w tym nieznanego, wyniosłego arystokratę.

W tym momencie usłyszał dzwonek do domu „Pod Koszem z Kwiatami”. Wychylił się przez okno i rozpoznał jedną ze swoich studentek, właśnie wysoką blondynkę, raczej swobodną w sposobie bycia. Była jedną z najpilniejszych słuchaczek jego wykładów, w czasie których bez przerwy zabójczo strzelała oczami. W końcu uległ tym niemym prośbom i zgodził się na gorączkowe, niespokojne pocałunki za drzwiami szatni. A teraz przychodzi go niepokoić w dniu, kiedy nie miał zajęć! Zaklął na swoją kondycję nauczyciela, jednak trochę to mu schlebiało.

— Już otwieram — zawołał przez okno. Znalazłszy się przy bramce okazał zdziwienie.

— Po co tutaj przyszłaś, Juliette? Czy znowu chcesz mnie uwieść. Wiesz dobrze, że jestem żonaty. Nie lubię, gdy ktoś zakłóca moje życie prywatne.

— Chciałam zobaczyć, gdzie mieszkasz: interesuje mnie wszystko, co otacza tych, których kocham. Jeśli chodzi

o twoją żonę, wiem, że jest teraz w pracy. A dzieci na wykładach.

— Moje dzieci, moje dzieci... mówisz o nich, jakby to były smarkacze. Starsza córka ma prawie tyle lat co ty.

— W takim razie wydaje ci się pewnie, że popełniasz ze mną coś w rodzaju kazirodztwa.

— Nie wymawiaj tego słowa w tym domu — powiedział gwałtownie Jacques.

— Dlaczego akurat „w tym domu” Czyżby rodzina Bordineau była rodziną zбочeńców?

— Dość tego — uciał wściekle Jacques — wynoś się! Nie chcę cię więcej widzieć!

Juliette/ jakby nic nie słyszała, weszła do domu, otworzyła drzwi salonu i rzuciła się na narożną kanapę. Jacques, który szedł za' nią, powtarzał:

— Powiedziałem, żebyś się wynosiła, więc się wynoś. Juliette chwyciła go za rękę i pociągnęła do siebie na kanapę.

— Przepraszam cię — powiedziała pokornie, głosem pełnym skruchy.

Nie udawała. Obawiała się, że całkiem sobie zraziła swojego idola:

— Za co mnie przepraszasz? :— wymamrotał Jacques już na pół rozbrojony.

By przypieczętować to pojednanie, przytuliła się do niego i zniewoliła jego usta jednym z tych nie kończących się pocałunków, których sekret znają jedynie potężne kobiety o szerokich ustach. W istocie nie było to niczym nowym dla Jacques'a, który już zakosztował tych rozkoszy w zakamarkach uniwersyteckiej szatni, gdyby nie fakt, że dziewczyna przeciągała je teraz tak długo, aż poczuł, iż pogrąża się w jakiejś przepastnej nirwanie. Juliette, której uwodzicielskie zabiegi były długie i ostrożne, nie przyzwyczaiała go do tego nadmiernego zapału. Przebiegł go dreszcz, gdy poczuł na swym kolanie jej rękę. Gorączkowo ściskającą rękę, która, jak przeczuwał, nie poprzestanie na tym. Czyż nie znajdował się na tej przeklętej kanapie, na

której opanowały go nikczemne żądze, kiedy, siedział z administratorem?

Juliett przywarła do niego, i podczas gdy jej usta nie opuszczały go, Władczą ręką sprawdzała jego gotowość, a drugą odpiniała koszulę odsłaniając klatkę piersiową.

Przez pokój przepłynęła fala świergotu, która, zdawało się, dobiegła z ogrodu i tam powróciła.

„Zupełnie jak przy administratorze” — pomyślał. Juliette rozbierała go teraz jakby w zapamiętaniu. Chciał zaprotestować.

— Juliette, chyba nie ma pani zamiaru... Była pani zawsze taka powściągliwa. Poza tym moja żona może wrócić w każdej chwili.

Uświadomił sobie, że zostawił otwartą bramę wejściową i drzwi domu. Każdy mógł wejść, a on nic by nie słyszał.

Studentka z rozpaloną twarzą i drżącymi rękami przerażała go teraz.

— Przekleństwo domu opanowało i ciebie! — wykrzyknął.

Juliette zaskoczona przerwała swoje zabiegi.

— Masz rację — powiedziała przestraszona. — Odkąd weszłam do tego domu, mam wrażenie, jakbym przestała być sobą, jakby opętał mnie jakiś lubieżny demon.

Chciała wstać, ale tym razem przeszkodził jej Jacques, rzucając się na nią gwałtownie. Krótka panika, w jaką wpadła, natychmiast ustąpiła, i dziewczyna połączyła swe ruchy z gestami Jacques'a, które mnożył obrażając jej wstydliwość. Wkrótce z ubrań pozostało na nich jedynie to, o czym zapomnieli lub co pominęli w swym pędzie ku rozkoszy, a kanapa z głośnym skrzypieniem poddała się konwulsyjnym akrobacjom, które z upodobaniem urozmaicali. Kilkakrotnie przez pokój przebiegł świergot, który za każdym razem wzmagął ich zapał, jakby ktoś dolewał im niewidzialnego eliksiru. Czy był to świergot ptaków? A może to nietoperze, gdyż zmierzch już zapadł podczas tej sarabandy, której czasu nie mierzyli. Trzasnęła bramka, następnie drzwi..

Helena Bordineau weszła i zastygła w drzwiach na widok

szamoczącej się na skórzanym meblu pary. Zdziwienie stopniowo przeszło w zainteresowanie, a następnie w radość. Niedbale rzuciła torebkę, zdjęła buty i podbiegła na palcach do kanapy, przy której uklękła, i obydwoma rękami zaczęła głaskać męża i swoją rywalkę. Czy zauważyli to? Z pewnością nie od razu, pogrążeni bez pamięci w licznych orgazmach. Ale gdy Helena również się rozebrała i pokryła ich swoimi obfitymi wdziękami, otworzyły się im oczy i jednocześnie krzyknęli przerażeni. Jakaż to okrutną zemstę zamierzała nauczycielka hiszpańskiego? — Wszak wszystko, co ma związek z Hiszpanią, jest zazdrosne i gwałtowne. Ale zasypiani zostali jedynie pieścotami. W ogrodzie, wciąż wypełnionym świergotem jakiejś tajemniczej chmary, spomiędzy drzew przebłyskiwał świecący, migotający glob, który, w czasie gdy trójka kochanków szamotała się na kanapie porażona szczytem rozkoszy, wznosił się powoli, niepewnie, na kształt balonu, i jakby niechętnie wtopił się w różowe niebo..

Jacques ocknął się pierwszy i z wyrazem ogłupienia na twarzy przyglądał się zwartym jeszcze ciałom swojej żony i kochanki. Gdy te z kolei odzyskały świadomość, usiadły na klejącej się im do pośladków skórze i pozostały tak długą chwilę osłupiałe.

Wszyscy troje ubierali się pośpiesznie, nie śmiąc podnieść na siebie oczu.

Zanim Juliette ich opuściła, Helena Bordineau zastanawiała się, czy nie wypadałoby jej zaproponować kieliszka porto. Ale zanim zdążyła otworzyć usta, tamta już wyszła.

Zamiast więc propozycji poczęstunku, z jej drżących ust wyszła szaleńcza uwaga:

— Całe szczęście, że nasze dzieci nie wróciły, podczas gdy my... gdy my...

Te słowa sprawiły, że Jacques cofnął się pamięcią wstecz. Przerażająca myśl, co mogło się wydarzyć, gdyby trójka dzieci zastała ich w czasie tego piekielnego opętania, nie pozwoliła mu zasnąć przez całą noc.

## **Człowiek z UFO**

Tej soboty, gdy dzwony wzywały na Anioł Pański, Jacques Bordineau wyłączył motor swojej kosiarki do strzyżenia trawników i wsparł się o nią łokciami. Nie lubił bicia: dzwonów, chyba że to było w sierpniu na wsi, pośród rozległych pól zbóż. Nie lubił strzyc trawnika, i w ogóle wszystkich tych robót ręcznych, jakich wymagają domy i ogrody. Nie lubił też tkwić wsparty na swojej kosiarce, niczym gorliwy żniwiarz na kosie. O mało co nie rozplakał się ze zdenerwowania i postanowił dać sobie z tym wszystkim spokój. Poprosi o wcześniejszą emeryturę i ucieknie na Tahiti. Wyruszyć ścieżkami północnych Indii, od świątyni do świątyni. Wyruszyć na morze na dziesięć lat, na piętnastometrowej przestrzeni jachtu z hawajską Metyską. Czy nie rozsądniej byłoby zwyczajnie poprosić o przeniesienie służbowe — zastanawiał się — na wyspę Reunion albo na Markizy. Albo wziąć półroczny, przysługujący nauczycielom urlop i udać się na Tuamotu... Gdyż powyżej sześciu miesięcy w tych wilgotnych rozmarzonych krajach bez wyrazu musi być śmiertelnie nudno. A jeśli ktoś się nie nudzi, oznacza to, że sam stał się czarnuchem. Smutne! O mało co znów się nie rozplakał ze zdenerwowania, wziął się jednak w garść, zostawił obrzydliwą kosiarkę i skierował się do domu, gdzie zaraz wypije drinka, najlepiej Jacka Danielsa, znakomicie neutralizującego jad nienaturalnych Aniołów Pańskich wydzwanianych na Ile-de France.

Ledwie zdążył wyciągnąć butelkę, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Jacques zorientował się, że jest sam w domu,

gdyż nikt nie poszedł otworzyć; Żona widocznie udała się na zakupy, dzieci jak zwykle gdzieś poniosło.

Wytarł ręce w niebieski fartuch z udaną niezręcznością pseudoogrodnika i powłócząc nogami w odziedziczonych po przodkach sztruksach, na podobieństwo „żołnierza-oracza”, imitując wrodzone utykanie, skierował się ku bramce, rozbawiony tą komedią.

Człowiek, który stał przed nim i w zakłopotaniu miętosił na swym brzuchu kapelusz, odchrząknął, po czym przedstawił się:

— Jestem jednym z pańskich sąsiadów, panie Bor-dineau. — Wprawdzie nie z najbliższego sąsiedztwa, nie z tej samej ulicy, ale z tej dzielnicy. Pozwoliłem sobie zadzwonić, ponieważ zobaczyłem na ogrodzeniu tabliczkę „Pod Koszem z Kwiatami”..

Jacques, raczej przyjaźnie nastawiony, zadowolony, że ktoś mu przeszkodził, zachmurzył się, gdy tylko usłyszał wzmiankę o ceramicznej tabliczce. Czego chciał ten człowiek? Może to były klient burdelu przyszedł się dowiedzieć, czy nowi lokatorzy nie zamierzają przejąć interesu?

— Czy pan jest dawnym bywalcem? — zapytał ironicznie Jacques.

— Dawnym bywalcem?—- powtórzył tamten zaskoczony.

— Bywalcem burdelu zwanego „Pod Koszem z Kwiatami”.

— Nie wiedziałem, że tu mieścił się burdel. Jacques zreflektował się, że jego rozmówca był istotnie zbyt młody, by. mógł uczęszczać do byłego domu rozpusty.

— W takim razie, po co pan przyszedł? — zapytał zniecierpliwiony.

Ku zdziwieniu Jacques'a jego gość sprawiał wrażenie bardzo rozradowanego.

— Ach tak, oczywiście! — wykrzyknął uderzając prawą ręką po lewej. Mam jasność! Dom „Pod Koszem z Kwiatami” to był burdel!

Jacques już miał mu zatrzaskać przed nosem żelazną

bramkę, ale jego ciekawość wzięła górę i zaprosił go do ogrodu.

— Muszę wyznać, aby zrozumiał pan moje postępowanie, że nigdy dotąd nie zauważyłem tego napisu

— powiedział gość.

— Jakiego napisu? — zapytał zbity z tropu Jacques.

— No, pańskiej tabliczki „Pod Koszem z Kwiatami”. Pewnie dlatego, że od lat zasłaniał ją bluszcz, który

przyciąłem, wprowadziwszy się do tego domu jakieś piętnaście dni temu.

— A ponieważ ja nie przechodziłem tędy od co najmniej trzech miesięcy, to nie mogła być sugestia.

— Sugestia? Jak to?

— Nie mogłem zasugerować się wizją, choćby przelotną, pańskiej tabliczki, gdy zobaczyłem jej replikę w nie zidentyfikowanym przedmiocie, UFO czy latającym spodku, jak pan woli.

Jacques szybkim spojrzeniem upewnił się, że siekierka znajduje się niedaleko, oparta o pniak, i że w dwóch skokach mógł jej dosięgnąć. Posadził gościa na ogrodowym foteliku i zaproponował drinka.

Miał to być pretekst, by mógł nie denerwując gościa skryć się w domu i wezwać policję.

— Nie chce mi się pić — powiedział tamten i niech pan przestanie wpatrywać się we mnie swoimi wielkimi przerażonymi oczami i zastanawiać się, jak by mi zadać solidny cios siekierką, bo wszystkie pańskie myśli znakomicie dają się odczytać z twarzy.

Jacques zachnął się z zakłopotaniem.

— Musi pan przyznać, że pańskie słowa są niepokojące.

— Dalszy ciąg jest jeszcze gorszy, dlatego zachęcam pana do wzięcia siekierki; może ją pan trzymać na kolanach przez resztę opowiadania jako sposób na pańską panikę.

Jacques wzruszył ramionami, zaśmiał się, trochę uspokojony, i dał znak rozmówcy, by kontynuował.

— Pewnego wieczoru znalazłem się na drodze do Saint-Cloud — podjął opowiadanie nieznanomy. —

Wracałem z pracy i zmęczony, wciśnięty w siedzenie samo-



chodu, poddałem się posepnej wieczornej melancholii, Ciągące się wzdłuż poboczy drzewa zatrzymywały jeszcze ostatnie promienie słońca, podczas gdy drogę rozświetlało zimne księżycowe światło. Wzdychałem.' Jakże smutna była ta godzina powrotu, tym bardziej monotonna w przedwczesnej jesieni. Ale skąd się wziął ten dyskretny, przenikający smutek? Wyłączyłem radio. Wydało mi się, że odczułem ulgę zatrzymawszy ten jednostajny muzyczny strumień radia FIP, podobnie jak chiński skazaniec odzyskuje radość, nadzieję, a nawet miłosierdzie, gdy zawieszona zostaje nieubłagana kropla...

— Dalej! Dalej! — ponaglał Jacques, gdy tamten przerwał opowiadanie o niezwykłym spotkaniu. — Sam pan powiedział, że był zmęczony. Uległ pan halucynacji.

— Do diabła, żadnej halucynacji! — zaprotestował ostro gość. — A tabliczka „Pod Koszem z Kwiatami” — przecież jej sobie nie wymyśliłem.

— Musiał ją pan widzieć któregoś dnia przechodząc najprawdopodobniej zimą, kiedy bluszcz nie ma liści.

— Bluszcz zimą nie traci liści — zatriumfował tamten.

— Do czego w końcu pan zmierza?—wybuchnął Jacques. — Nie wiem. Jak zobaczyłem pańską tabliczkę, przypomniałem sobie to wszystko i pomyślałem spontanicznie, że pewnie się pan tym ubawi. A kiedy pan mi powiedział, że w tych ścianach mieścił się niegdyś burdel, moje myśli przybrały inny bieg. Zastanawiam'się, czy nie mógłby pan wyciągnąć jakiejś korzyści z mojego opowiadania. Wiem o tym, że na temat pańskiego domu krążą różne dziwne plotki, jakoby był nawiedzany przez duchy; o poprzednich lokatorach, którzy się do tego rzekomo przyczynili; również na temat administratora, który zdaje się być niewyraźny, mówi się najrozmaitsze rzeczy.

— I co jeszcze?

— Och, to wszystko są bzdury. Mówi się, że jest trochę maniakiem. Że zaczepia małe dziewczynki, a nawet chłopców. Wie pan, takie oskarżenia w małych środowiskach nigdy nie są dokładne.

— Rzeczywiście dziwny z niego typ -- przyznał Jacques — ale nic konkretnego nie można mu zarzucić.

Pomyślał, że on sam mógł złożyć na konto administratora coś bardzo konkretnego, ale że mimo to ich porachunki nie były wyjaśnione. Po raz kolejny zniecierpliwiał się. Warknął:

— Co pana mogą obchodzić moje problemy!.

— Być może zainteresuje pana, co mi przyszło do głowy, gdy dowiedziałem się, że był tu kiedyś dom schadzek. Pomyślałem sobie, że te damy z domu „Pod Koszem z Kwiatami”, od dawna zamieszkujące zaświaty, nie mogły się rozstać i w przestworzach utworzyły małą wspólnotę starych sentymentalnych i rozczarowanych ladacznic, która odmawia zerwania więzów z nieodżałowaną Ziemią. One to niekiedy o zmierzchu pełnym czarów schodzą zbiorowo na ziemię, na jakieś odległe polanki, i kierując się dawnymi wspomnieniami osaczają bezbronno przechodnia, któremu wyda się, że śnił, a który przechowa wspomnienia w swoim sercu. Ale oto pojawiła się ceramiczna tabliczka „Pod Koszem z Kwiatami”...

— A pan stąd wywnioskował...

— Po pierwsze, ja nie śniłem. Po drugie, przez nieostrożne ujawnienie swego szyldu ten niebiański dom „Pod Koszem z Kwiatami” zdemaskował się. Po trzecie, nic dziwnego, że ta wspólnota płaczących grzesznic przybrała kształt różowego balonu. Ale mnie to nie wystarcza i będę drażył dalej. Zastanawiam się w istocie, czy to zdemaskowanie tożsamości nie było zamierzone i czy te ektoplazma-tyczne prostytutki nie usiłowały wykorzystać mnie jako kanału do przekazania za moim pośrednictwem jakiegoś przesłania. Czyż nie odczułem w czasie długiej obecności w ich różowym balonie, że usiłowały mi przekazać jakąś smętną prawdę? Czyż nie usiłowały rozpaczliwie zatrzymać mnie dlatego, że potrzebowały pewnego czasu, zanim wyznanie sformułuje się na ich ustach? Cóż pan chce, to tylko wrażenie. W czasie całego tego doświadczenia miałem poczucie, że personel tego latającego burdelu (który, podkreś-

lam to, sam się zdradzał przez słynną tabliczkę) chciał mi coś powiedzieć, być może po to, żebym przekazał panu.

— Posunąłem się naprzód — rzucił Jacques.

— Bardziej niż pan sądzi, jeśli prawdą jest to, co się opowiada, że pański dom przeżywa dziwne zakłócenia, które pana niepokoją, podobnie jak nękały poprzednich lokatorów. Do pana. należy odgadnięcie przesłania, a być może uwolni się pan od tego. Często tak się zdarza W przypadku spraw z duchami.

— Nie mam pojęcia, nie mam pojęcia — wybełkotał Jacques myśląc jednocześnie o pewnych zjawiskach w formie świecącego balonu widzianego w ogrodzie — ale czyż nie był to księżyc wyolbrzymiony przez wieczorne załamanie światła? — i o powtarzających się atakach na Annę, które kończyły się swego rodzaju mglistym i przerażającym ostrzeżeniem. — Nie wiem, nie mam pojęcia — powtórzył jeszcze jakby odległym głosem.

— Tak sądziłem — stwierdził tamten nagle zobojęt-Iniały wobec tak niewdzięcznego braku zainteresowania.

Jacques Bordineau zrobił wysiłek, by naprawić swoją niegrzeczność.

— Kiedy się pan zjawił, szedłem właśnie po lampkę bur bona, by poprawić sobie humor po tym strasznym seansie z kosiarką do strzyżenia trawnika. Czy lubi pan burbona?

— Nie mam nic przeciwko burbonowi w barze „Pod Koszem z Kwiatami” — odrzekł tamten ze swobodą graniczącą z bezczelnością.

Trochę później, przy pożegnaniu, zauważył: — Teraz, gdy robi się ciemno, pański dom wydaje mi się rzeczywiście trochę dziwny. To trudno wyjaśnić. Na przykład, obicie z Jouy... gdy przygasa światło, odnosi się wrażenie, że cień ogarnia krajobraz i że postaci korzystają z tego, by zbliżyć się do siebie i spiskować. Jacques Bordineau nie był zmartwiony rychłym odejściem tego człowieka, którego niedyskrecja graniczyła z niegrzecznością.

## **Znów profesor Hyperion**

— A teraz znów latające spodki! — wybuchnął profesor Hyperion w porywie szczerej złości.

— Ja nigdy nie użyłem tego określenia — zaprotestował Jacques. Przytoczyłem ci tylko wiernie opowiadanie nieznanego. Nie dodałem żadnego komentarza.

— Nie udawaj niewiniątka. Nie zadawałbyś sobie trudu, żeby mi to wszystko opowiedzieć, gdyby nie zrobiło na tobie wrażenia. Spodziewałeś się, że ja skomentuję te wydarzenia i nadam im jakieś znaczenie.

— To jasne, że nie mają żadnego znaczenia — powiedział pospiesznie Jacques.

— I tu się mylisz — przerwał profesor Hyperion. — Przywidzenie twojego sąsiada ma bardzo wyraźne znaczenie, przynajmniej w analizie pierwszego stopnia. Pomyśl, człowiek wraca z pracy, przybity, trochę zmęczony, zatrzymuje się rozważnie na poboczu drogi i na moment zapada w drzemkę na kierownicy. Śnią mu się różne rzeczy bez związku, jak to się zwykle zdarza na granicy snu i jawy. I cóż widzi człowiek, który spędził nudny dzień w biurze? Widzi parę ogromnych różowych pośladków.. Zgodzisz się ze mną, że symboliczne znaczenie tej wizji nie kryje w sobie żadnych tajemnic.

— Oczywiście. Może nawet wzruszać swą naiwnością. Ale istnieje dalszy ciąg, mniej jasny.

— Wręcz przeciwnie! Oślepiająco jasny. Po tym wyolbrzymionym szczególnie nasz marzyciel zaczyna dostrzegać

całość,, to znaczy jedną damę, dwie damy, dziesięć, w rozmaitych baletowych pozach. Wszystko razem doskonale się zająbia. Należy nawet podziwiać u tego człowieka, wyczerpanego papierkową robotą, logikę halucynacji i precyzję obrazów.

— Mimo wszystko — wtrącił Jacques — jego opis wnętrza tej kuli...

— Przypominam ci, że to były pośladki...

— Opis tego wnętrza odpowiada dokładnie wyglądowi burdelu „Pod Koszem z Kwiatami”. A poza tym jeszcze ta historia z ceramiczną tabliczką, która miała właśnie taki napis.

Profesor Hyperion wznosił ręce do nieba.

— Gdzie się podziała, mój drogi, twoja słynna wnikliwość? Weźmy po kolei. Najpierw, jak twierdzisz, pojawia się burdel. Ja tego nie dostrzegam w opowiadaniu człowieka. Mówi tylko o ścianach z falistej blachy. Jest to raczej tradycyjny wystrój latających spodków, jaki zwykle pojawia się w powieściach czy filmach science-fiction. Twój gość uległ halucynacji, w której pomieszały się tłumione pragnienia — które wywołały wizje kobiet i zbiorowe złudzenia — stąd sceneria latających spodków. Nie ma więc w tym opowiadaniu nic takiego, co mogłoby zbulwersować naukowca.

Jacques potrząsnął głową.

— Pozostaje jeszcze sprawa napisu na ceramicznej tabliczce.

Profesor Hyperion położył na ramieniu Jacques'a rękę w opiekuńczym i nieco pobłażliwym geście, podczas gdy na jego ustach rysował się wyraz rozbawienia.

— Można by pomyśleć, mój drogi, że za wszelką cenę chcesz znaleźć fantastyczne wytłumaczenie dla najzwyczajniejszych w świecie wydarzeń. Student pierwszego roku filozofii wytłumaczyłby ci, a raczej przypomniał, bo przecież nie możesz nie wiedzieć, co należy sądzić o tych słynnych wrażeniach *deja vu*; na ich bazie niektórzy

fantaści oparli całą teorię reinkarnacji. Wiesz dobrze, bo przecież uczyłeś się także o fizjologii mózgu, że nie wszystkie jego części mają jednakowe tempo działania. Oto dlaczego — jak powiedziałby Molier — twój rozmówca sądził, czy wydawało mu się, że widzi napis na ogromnych różowych poślaskach, gdy właśnie czytał go na twoich drzwiach.

— Na wszystko masz odpowiedź — westchnął Jacques. — To, co mnie zraża w twoich wypowiedziach, to ta twoja skłonność do analizowania faktów bez brania pod uwagę ludzkiego kontekstu. Znasz dobrze moje obawy dotyczące wpływu na psychikę mieszkańców, jaki mógłby wywierać ten dom. Możesz domyślić się, jak bardzo owe hipotezy stoją w sprzeczności z moimi przekonaniem naukowymi. Powinieneś wobec tego dopuścić możliwość, że istnieje jakiś dodatkowy czynnik — niezależnie od opowiadania sąsiada z Saint-Cloud — który na mnie oddziałuje, czy jest on wiarygodny, czy nie.

Profesor Hyperion wzruszył ramionami i znużonym gestem sięgnął po butelkę porto.

— To prawda, jestem podła świnia — powiedział smutno. — Powiem tylko na swoje usprawiedliwienie, że nie mogę patrzeć, jak pogrążasz się w morzu naiwności, które nas zalewa z wszystkich stron swoimi niegodziwymi, śmiesznymi falami. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie potrafię ci pomóc. Miotają tobą burze psychiczne o niezwyklej sile, przed którymi usiłuję cię obronić, ale ty padasz ofiarą. Może boję się, że słuchając ciebie ze zbytnią pobłażliwością, sam dam się wciągnąć w jakąś spiralę złudzeń, a następnie rozumowań, które ostatecznie doprowadziłyby do abdykacji mojego rozumu?

Ustawił dwa kieliszki i nalał do nich porto.

— Na razie widzę tylko jeden sposób — zakończył z trochę wymuszonym uśmiechem. —

Wykończmy tę starą butelkę porto, którą ofiarował mi kolega z uniwersytetu w Coimbrze jako wyraz wdzięczności za przesyłkę

kilku książek przeciwko Fatimie, niedostępnych w Portugalii.

Przygnębieni, ale wciąż pełni, nadziei dwaj przyjaciele z zapalem wzniesli toast za porażkę widm, upiorów i złych duchów.

— Ostatni kieliszek! — wykrzyknął profesor Hyperion już trochę rozweselony. I dodał: — Jeszcze jeden, którego nie dostaną pozaziemskie istoty.

Wypili w milczeniu.

Długi czas upłynął im na rozmyślaniach, a tymczasem pojawiło się dno butelki.

— Mam wyrzuty sumienia, że tak cię potraktowałem — mruknął profesor Hyperion. — Sam nie jestem pewny siebie i swojej wiedzy, by kpić sobie z nieuzasadnionych lęków, które powstają przez zbieg okoliczności. Proszę cię więc o wybaczenie.

— Ależ nie, mam do ciebie żalu — zaprotestował Jacques.

— Tak, tak, musisz mi przebaczyć. Żeby wymóc na tobie rozgrzeszenie, złożę ci przebłagalną ofiarę. Skontaktuję cię z moim przyjacielem — czasami miewam dziwnych przyjaciół, który ma bzika ha punkcie parapsychologii, prawdopodobnie jest to pozostałość po nerwicy, jakiej nabawił się, gdy zginęła mu żona, porwana przez fryzjera. Jego szczególne hobby to badanie domów, „które przynoszą nieszczęście”, jak to określa. Być może jest to odpowiedni dla ciebie człowiek, i bez większych skrupułów podam ci jego adres, gdyż w całej jego zagmatwanej teorii niewiele jest z nauki.

Naturalnie, by wytłumaczyć przekleństwo, jakie zdaje się ciążyć nad mieszkańcami niektórych domów, odwołuje się on do zjawisk opętania, do tak zwanego *poltergeist*, do teorii nasycenia ścian i innych bzdur, jak na przykład przypisanie duszy jakiejś rzekomo wrogiej, zawziętej czy dowcipnej budowli. — Proponuje też czasem wyjaśnienia wiarygodne, między innymi ewentualny szkodliwy wpływ promieniowania tellurycznego.

— No, no...

— Tak, wiem, powiesz, że nadużywa się promieniowania tellurycznego. Ale ostatecznie tę hipotezę można przyjąć bez obawy ośmieszenia się. Wymienia on także, jako możliwe źródło niekorzystnych wpływów, podziemne rzeki czy lustra wody, a nawet źle zasypane studnie.

— Największym wrogiem nauki jest pozór naukowości — mruknął Jacques. — Możesz zachować dla siebie tego specjalistę od przeklętych domów.

— Pewnie masz rację — zgodził się po chwili milczenia Hyperion. — Przypominam sobie, że rozwodzi się on również na temat chochlików, gnomów, skrzatów, które, jego zdaniem, zamieszkują strychy. Tak, ten człowiek na pewno by ci się nie spodobał.

— Nienawidzę tego wszystkiego — przytaknął energicznie Jacques.



## **Butelka szampana**

By przewyciężyć posepny nastrój, dzieci postanowiły zorganizować imprezę i zaprosić na nią kumpli z Villejuif, skoro ich koledzy z Saint-Cloud bojkotowali je. Katarzyna zaprosiła więc Patricka, Piotr cały swój dawny harem oraz ostatnią wybrankę, Nadine. Nie zapomniano także o Kuriacjuszach. \*

Przygotowanie tego wydarzenia wymagało przesunięcia niektórych mebli oraz czasową ewakuację do piwnicy bardziej kruchych bibelotów, jak również nazbyt tandetnych wolterowskich foteli.

Transportując to wszystko do węglowych czeluści domowego piekła, Piotr odkrył bity, kleszcze, obcęgi, skórzane rzemienie, maski do kneblowania i inne narzędzia tortur, które administrator wyrzucił tutaj po wyprowadzeniu się pensjonariuszy burdelu „Pod Koszem z Kwiatami”. Cała ta onieśmielająca rupieciarnia sąsiadowała ze/Stosem węgla oraz zagłówkami

0 podziurawionej przez mole tapicerce, na której widniały dość zuchwałe sceny miłosne, wywodzące się jakoby z mitologii. Piotr zaczął zabawiać się zawieszaniem na ścianach piwnicy biczy i narzędzi tortur, na hakach

i pierścieniach zamocowanych tam bez, wątpienia dla przykuwania więźniów. Pomyślał sobie, że uatrakcyjni imprezę organizując przy pomocy całego tego instrumentarium kilka pomysłowych skeczy, pomimo że ściany piwnicy oglądane teraz w słabym świetle latarki przedstawiały widok przyprawiający go o dreszcze.

Gdy nadszedł czas imprezy, Jacques i Helena ulotnili

się, by pozostawić młodzież jej przypuszczalnym bezceństwu, zgodnie z panującymi zwyczajami, które zalecały, aby rodzice nie starali się przenikać nędznych tajemnic swych dzieci. Postanowili, że zjedzą kolację w klubie tenisowym, a następnie pójdą do kina na ostatni seans, tak aby nie wrócić do domu przed północą.

Gdy udawali się na tę kolację, podszedł do nich administrator, który musiał czyhać w jakimś przedsionku i nagle się wyłonił. Był bardzo blady. Jego wargi drżały. Wyciągnął ku nim palec z brudnym opatrunkiem,

— Wy go macie, wiem, że go macie — bełkotał niezbyt pewnym głosem.

Początkowo to nagłe pojawienie się go sparaliżowało Jacques'a, później jednak uspokoił się. Zwierzę wydawało się bardziej zaleźnione niż agresywne. Ale znów się przeraził, gdy zobaczył jego obłąkany wzrok.

— Macie go... — powtórzył administrator, tym razem tak cicho, że z trudem można było rozróżnić słowa, jakby stłumione jakąś tajemniczą paniką... — Wy go macie, czarny zeszyt, macie go... oddajcie mi go!

— Pan oszalał! — przerwał Jacques na pół zirytowany, na pół wystraszony. — Nie wiem, o czym pan mówi.

Za każdym razem, gdy spotykał administratora w miejscu publicznym, obawiał się, by ten jakimś słowem czy gestem nie zdradził ich poprzednich ekscesów- Wciąż nie mógł wytłumaczyć sobie świadomego w nich udziału. Po raz kolejny w grę mógł wchodzić jedynie niezdrowy wpływ domu. Ale tym razem administrator przejawiał inny rodzaj szaleństwa.

— Pan nie chce mi go oddać — krzyczał. — Pan chce mnie zgubić! Dlaczego mnie pan prześladuje? Niech pan uważa, i tak go znajdę, gdziekolwiek by go pan ukrył. To moje Ostatnie ostrzeżenie. Oddalał się rzucając pod adresem nieba jakieś niezbyt wyraźne okrzyki i wymachując owiniętą ręką.

Zanim skrecił, jeszcze raz zwrócił się do Jacques'a i Heleny z tajemniczym i groźnym ostrzeżeniem.

— Nie zapominajcie, że macie dzieci!

Helena okazała na tyle wyczucia, że nie skomentowała tego i nie zażądała natychmiastowych wyjaśnień od Jacques'a, którego przygnębienie było wyraźnie widoczne.

Ledwie zajęli stolik w klubie, szef kuchni przyniósł im butelkę szampana.

— To prezent od gości przy stoliku siódmym. — szepnął Jacques'owi do ucha, wskazując parę z dwójką dzieci. Jacques rozpoznał poprzednich lokatorów domu „Pod Koszem z Kwiatami”, którym złożył wizytę na krótko przed przeprowadzką i którzy tak źle go przyjęli. Trochę zdziwiony, podniósł się, by im podziękować. Spodziewał się też jakiegoś wyjaśnienia.

— Pozwalamy sobie państwu postawić drinka, którego winniśmy byli zaproponować, gdy nas pan odwiedził — powiedział mąż. — Byliśmy wtedy świeżo pod wrażeniem wydarzeń, jakie miały miejsce w tym domu za naszego pobytu, a pańska wizyta znów je przypomniała. To oczywiste, że nie mogliśmy być nią zachwyceni. Teraz upłynęło już trochę czasu i odzyskaliśmy równowagę. — Proszę więc wypić szampana za nasze zdrowie.

Jacques wybąkał podziękowanie.

— Jak się państwu mieszka w tym domu? — zapytała żona. — Bez niespodzianek? A z dziećmi/ też wszystko w porządku?

— Zupełnie dobrze — skłamał Jacques. — To bardzo przyjemny dom. Niczego nie można mu zarzucić.

Dwoje małżonków .sprawiało wrażenie zaskoczonych. Spojrzeli na siebie ze sceptycznym uśmiechem.

— W takim razie, bardzo się cieszymy — powiedział mężczyzna. — A czy administrator nie nachodzi państwa zbyt często? O ile wiem, ma pan dorastającego syna. Czy i jego nie nagabywał?

— Go pan ma na myśli? — zapytał Jacques czując, że się czerwieni. Zastanawiał się, jak uciąć tę rozmowę.

— Administrator to obrzydliwy stary pedał — powiedziała kobieta, - Proszę się go wystrzegać.

— Będę się go wystrzegał, będę się wystrzegał — wymamrotał Jacques.

Czuł, że małżeństwo nie dowierza mu, i zastanawiał się nad jakimś niewinnym zwierzeniem, by zaspokoić ich ciekawość. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Powiedział pośpiesznie:

— Pod niektórymi względami administrator rzeczywiście sprawia wrażenie, jakby był niespełna rozumu. Czasami mówi od rzeczy. Wydaje się, jakby ogarniała go jakaś mania prześladowcza.

— Czy nigdy nie wspominał państwu, na swój obłąkany sposób, o czarnej książeczce, którą rzekomo znaleźliście i schowali, żeby mu zaszkodzić? — zapytał mężczyzna. — Nigdy nic bliższego nie mówił na ten temat, jakby uważał, że każdy wie równie dobrze jak on, o co mu chodzi. Lokatorzy, którzy mieszkali przed nami, też byli zanudzani tą historią. W końcu przestali go słuchać.

— Mała czarna książeczka — powtórzył Jacques udając, że coś sobie z trudem przypomina.— Tak, zdaje się, że kiedyś o niej wspomniał... Nie zwróciłem na to uwagi.

— Proszę się nie martwić, na pewno do tego powróci. To wariat. Wypadałoby tylko dowiedzieć się, czy nie jest niebezpieczny.

Jacques pomyślał w tym momencie o groźbach, jakie administrator skierował pod adresem dzieci.

— Po tym wszystkim, czego dowiedziałem się od państwa, mam ochotę pójść na komisariat, by się czegoś dowiedzieć. Na pewno mają tam jego kartotekę.

— My również początkowo myśleliśmy o tym. Ale nie wydawał się aż tak niebezpieczny. Z wyjątkiem, oczywiście, naszego syna i może jeszcze innych powodów. Ale opisałem mu ze szczegółami, co mu grozi, jeżeli się nie

uspokoi. Poinformowałem go też o cenie sztucznej szczęki oraz wymieniłem kilka pouczających paragrafów kodeksu karnego. Zdaje się, że to go sparaliżowało w niewyobrażalnym stopniu.

— Chyba pójdę na komisariat — powiedział Jacques, do Heleny, gdy wrócił do swojego stolika i zdał relację z całej rozmowy.

Zauważyła:

— Fakt, że administrator jest homoseksualistą, wcale mnie nie zaskakuje, nieraz patrzył na ciebie w taki sposób...

To stwierdzenie przeraziło Jacques'a. Czy i on, nie zdając sobie z tego sprawy, patrzył na administratora w szczególny sposób? I czyżby Helena to zauważyła?

## **Niespokojna prywatka**

Piotr wygasił lampy w całym domu. Prywatka przy pełnym świetle to nie to... Na kominkach i meblach poustawiał małe lampki oliwne, żeby goście widzieli, którędy iść. Dwie z nich umieścił na schodach. To cmentarne oświetlenie przywoływało na myśl jakąś żałobną ceremonię w katakumbach. Wrażenie potęgowało się, gdy w tym skąym oświetleniu zaczęły się przesuwać niczym zjawy dziewczęta o pełnych napięcia twarzach, szukające szczęścia, czy też dziwne fizjonomie chłopców uganiających się za przyjemnościami, z uroczystymi minami wielkich kapłanów.

Nagle zgiełk głośników i czerwone laserowe błyskawice pogrążyły rozmarzone towarzystwo w chaosie, ukazując bezładnie poruszające się postacie z płomienistymi czuprynymi. Zamknięte okiennice miały dopełnić nastroju. Przez ich szczeliny przedostawał się posepny i lodowaty blask księżycy, tak że tańczący instynktownie trzymali się od nich z daleka, jakby chcieli uniknąć jakiegoś złowieszczonego przeciągu.

Wśród tej mrocznej zabawy dwadzieścia ramion, dwadzieścia zazdrosnych dłoni szukało Piotra, który celowo trzymał się z dala od lampek. Zbyt palące było jego wspomnienie o poniżeniu w szatni w Villejuif, żeby miał się wystawić na nowe prześladowania, chociaż w trakcie prywatki byłoby trudno je uskutecznić. Przytulony do Nadine w najciemniejszym kącie, kołysał się tylko w miejscu. Nie chciał ryzykować zmiany miejsca. Błędne cienie

przesuwały się z pokoju do pokoju, tkliwe w ciepłym świetle oliwnej lampki, to znów drżące, gdy dostały się w zimną smugę księżycowego światła.

Również Katarzyna zachowywała ostrożność. Błyskawicznie przechodziła od jednego partnera, do drugiego, zmieniając pomieszczenia; chciała bowiem zmylić czyhających Kuriacjuszy, którzy od chwili przybycia zdradzali swoimi uśmieszkami i ponurymi minami niewątpliwie złośliwe zamiary. Czowała, że ta zgraja tropi ją, dlatego użyła wszelkich wybiegów, korzystając z ciemności, by zmylić ślad.

Anna nie zaprosiła nikogo. W Villejuif nie miała wystarczająco oddanych przyjaciółek, które ośmieliłaby się poprosić, żeby przemierzyły dla niej pół świata. Co do rówieśników, z którymi bawiła się na szkolnym podwórku w Saint-Cloud, uważała ich za szczeniaków, którzy nie mogli jeszcze uczestniczyć w tego typu rozpustnych przyjęciach.

Błąkała się więc w słabo oświetlonych strefach w nadziei, że któryś z kolegów Piotra weźmie ją za starszą i poprosi do tańca, a może i — dlaczego by nie — trochę potarmosi, zanim zmieni partnerkę zaniepokojony, że pod bluzeczką namacał jeszcze chłopięce brodawki. Nie sądziła, by było coś grzesznego w tych niewinnych prowokacjach. Ma się rozumieć, chodziło o grzech przeciwko czystości, gdyż niezaprzeczalnie był w tym grzech, oszustwa. Ale ten był z rzędu drobniejszych i pociągał za sobą mniejsze skutki, poza tym nie dało się go uniknąć w czasie towarzyskich wieczorów, kiedy to każdy przystraja się w pawie pióra i opowiada zmyślane historie.

Po kilku takich przyjemnych pomyłkach Anna oszołomiona, trochę zasapana, poszła do salonu, by ochłonać, i przytknęła ciało do szyby. Wydało jej się, że z ogrodu dochodzi jakieś światło intensywniejsze niż blask księżyca. Jednocześnie poczuła na ramieniu czyjąś rękę; chciała ją namacać, ale niczego tam nie było. Mimo to nadal czuła ucisk na ramieniu. Odwróciła się żywo i usiłowała dotknąć

tego lub tę, kto się z nią drażnił, lecz trafiła w pustkę. Tajemniczy towarzysz zniknął, zanim zdążyła go złapać. Dostrzegła "jedynie biały odblask — mogła być to twarz o bardzo jasnej karnacji albo bardzo blada ręka — który zniknął nagle jak zdmuchnięty. Wtuliła się w kąt z niemiłym wrażeniem. Tuż obok niej przeszedł jeden z Kuriacjuszy. Rozpoznała go w nagłym blasku światła, które doszło z ogrodu. Było tak gwałtownie ostre, iż można by przysiąc, że cały księżyc spadł na ziemię. Jednak przez wąskie, nachylone pod kątem żaluzje nie dało się niczego dokładnie zobaczyć.

Jasność utrzymywała się na tyle długo, że Anna mogła zauważyć dziwny wygląd dziewczyny, która tańczyła z Kuriacjuszem. Była mocno uszminekowana, włosy miała platynowe. Nosila jakąś wieczorową suknię, a raczej nocną koszulę bezwstydnie prześwitującą — zaraz, jak to się nazywało w starych romansidłach?... aha, była w negliżu! Mocno przyklejona do Kuriacjusza, kołysała się niczym uwodzicielka na balu z przedmieścia. Skąd pochodziła ta dziewczyna? Wyglądała na strasznie starą. Miała chyba ze trzydzieści lat... Kto ją tu zaprosił?

Kuriacjusz i ta dziwaczna kreatura pogrążyli się w cieniu. Ale zaraz potem w ostrym świetle dobywającym się przez żaluzje wyłonił się inny Kuriacjusz z równie niezwykłą partnerką. Miała bladą cerę i czarne włosy. Także mocno wymalowana i ubrana w nieprawdopodobną koronkową sukienkę o swobodnie rozchylających się połach. To zjawisko wchłonięte zostało natychmiast w wir imprezy, ustępując miejsca nowej wizji — trzeciego z Kuriacjuszy w towarzystwie innej zaskakującej kreatury, obleczonej w przylegającą do ciała łososiową halkę, wykończoną koronką, na przodzie tak wydekoltowaną, że ogromny biust widoczny był prawie w całości. Okrągła, jasnowłosa właścicielka tych obfitych wdzięków rozchyłała szerokie szkarłatne wargi, ukazując nieskalaną klawiaturę zębów. Wir wchłonał i tę niezwykłą parę.



Katarzyna podeszła do Anny, wciąż tkwiącej w kącie.

— Widziałaś te dziewczyny? — zapytała Anna słabym ze zdziwienia głosem.

— Tak — szepnęła Katarzyna — przedziwne istoty! I skąd się tu wzięły? Tak czy owak uwolniły mnie od Kuriacjuszy, którzy łazili za, mną krok w krók. Oby ich już nie puściły!

— W każdym razie wszyscy trzej sprawiali wrażenie bardzo zaangażowanych — odrzekła Anna, która przypomniła sobie w tym momencie wyraz idiotycznej ekstazy na twarzach kuriacjuszy.

— To chyba stare kurwy. Jeszcze jeden z wymysłów Piotra. Zebrał je pewnie pod Halles, by zaskoczyć kolegów.

— Ale byłaby draka, gdyby ^ię rodzice o tym dowiedzieli — zauważyła Anna.

— A może to pomysł tych imbecyli Kuriacjuszy — zastanawiała się Katarzyna. — To byłoby w ich stylu. Jedno się tylko nie zgadza: od początku sprawiali wrażenie, jakby się na mnie zawzięli i postanowili tropić przez cały wieczór, niczym myśliwi. I nagle porzucają ten zamiar i tańczą z trzema dziewczynkami!. Sprawiali wrażenie zaskoczonych, a więc to na pewno nie oni je tu zaprosili.

— Wyglądali na zdumionych i jednocześnie zachwyconych — dodała Anna.

Gdy na moment w polu widzenia sióstr pojawił się Piotr, starsza złapała go za marynarkę.

— Czy to ty zaprosiłeś te trzy dziwki wysmarowane i wystrojone jak na Pigalle? — zapytała surowo Katarzyna.

— Jakie dziwki? Nie zauważyłem nic takiego. Zaprosiłem tylko koleżanki z Villejuif.

— Czy przypadkiem nie miałeś trzydziesto- i trzydziestopięcioletnich przyjaciółek?

— Nigdy więcej jak osiemnaście lat! — wykrzyknął Piotr. — Jeszcze mam czas, by zajmować się ich mamami.

— A więc to kawał Kuriacjuszy — westchnęła Anna.

- Mówię ci, że trudno w to uwierzyć — ucięła Katarzyna.
- Te dziewczyny wyglądają na kurwy — powiedziała Katarzyna.
- Może to jednak ty zaprosiłeś je dla hecy?
- Nie znam dziwek — zaprotestował Piotr — nigdy się z nimi nie zadawałem. Mam do nich wstręt i wcale mnie nie bawią.
- Wszyscy mężczyźni tak mówią — powiedziała szyderczo Katarzyna — a tym czasem dziwki robią kokosowe interesy.
- Skąd o tym wiesz?
- A wiem — odcięła się Katarzyna z miną, jakby wiedziała na ten temat bardzo dużo, podczas gdy w rzeczywistości nie wiedziała nic.
- W każdym razie nie ja je zaprosiłem. Mogę przysiąc.
- A zatem kto? — zapytała Anna, która czuła, że ogarnia ją niepokój.
- Może to sprawka Nadine, żeby mnie pognębić i zepsuć nam wieczór — powiedział Piotr. — Odkąd przyszła, urządza mi same sceny. Nie może mi darować, że ją spoliczkowałem.
- Spoliczkowałeś ją? — zdziwiła się Katarzyna. — Teraz? Tutaj?
- Nie, to dawna historia, ale ona jest pamiętliwa.
- To niemożliwe, Nadine nie należy do osób, które miałyby kontakty z tego typu dziewczętami zaprotestowała Katarzyna.
- Tego typu dziewczętami! — wykrzyknął Piotr. — Jakiego typu one są, do diabła? Mówicie obydwie o nich od kwadransa, jakbym ja je widział. A może one istnieją jedynie w waszej wyobraźni? Albo to nasze koleżanki przebrały się dla zabawy?
- Patrz, odwróć się, oto jedna z tych przebranych koleżanek/ Sprawia wrażenie zainteresowanej tobą.

Ta

nawet w porównaniu z innymi wygląda ekstrawagancko— zaśmiała się Katarzyna. Piotr odwrócił się gwałtownie i spotkał twarzą w twarz z fenomenalną olbrzymką o wypomadowanych, gładko zaczesanych włosach. Cała w czarnej skórze ozdobionej metalowymi płytkami; wyglądała jak połyskujący insekt. Z zasznurowanego gorsetu przez dwie dziurki wyglądały pomalowane henną sutki, a w rozcięciach skórzanej spódniczki mini podrygiwały smukłe umięśnione uda. Kreatura nerwowo uderzyła pejczem w krótkie botki przeszywając Piotra władcym spojrzeniem. On, osłupiały i potulny, dał się wciągnąć do cienia temu okazałemu skarabeuszowi rodzaju żeńskiego, który otoczył go swoimi mocnymi rękami i przylgnął do niego, wydobywając z więźnia to westchnienia szczęścia, gdy poczuł dotknięcie piersi lub nagiego uda, to znów tłumione skargi, gdy w ciało wgniatały się elementy zbroi.

Obie siostry chwyciły się gorączkowo za ręce i patrzyły na siebie szeroko rozwartymi oczami.

— Albo stajemy się szalone — mruknęła Katarzyna — albo to inwazja Marsjan.

— Boję się — powiedziała Anna — nic tego wieczoru nie jest normalne.

Jakiś chłopiec torował sobie drogę w tłumie tancerzy, wymachując nad głowami małym bukietem fiołków.

— Patrick! — wykrzyknęła Katarzyna z ironią, gdy rozpoznała swojego romantycznego, nieśmiałego wielbiciela. — Nareszcie jesteś!

Jak bardzo odległe wydały jej się fantastyczne przejażdżki łódką po jeziorze w lasku Yincennes! W ciągu tych tygodni spędzonych w domu „Pod Koszem z Kwiatami” stała się tak dalece obojętna, że cklive dawne uczucia budziły w niej pogardę i kpiny.

Bukiet fiołków! Gdy tymczasem Piotr porwany został w piekielny mrok salonu przez żelazną olbrzymkę przybyłą z Królestwa Zła!

— Spóźniłem się — tłumaczył się Patrick — bo w ogrodzie zatrzymała mnie grupka figlarek, które tańczyły i skaKały między trawnikiem a tym dziwnym pomarańczowym dmuchanym namiotem, który rozbiliście przy tylnej ścianie. .

— Jakim znowu dmuchanym namiotem! — wybuch-nęła zaskoczona Katarzyna. — Niczego nie urządzaliśmy w ogrodzie. Jest zbyt zimno.

— Nie mam przywidzeń! — zaprotestował Patrick. — Były ubrane w króciutkie przezroczyste sukienki, które można by wziąć za koszule nocne. Gonily za mną i zaczepiały. Chciały mnie wepchnąć do namiotu, który wewnątrz był cały oświetlony. Wyglądał jak gigantyczny holenderski ser, taki, jakie widzi się na rysunkach Beniamina Rabiera, zamieszkiwane przez uczone szczury, które mówią i noszą okulary.

— Cóż za dzieciak! — powiedziała Katarzyna ze złością.

Nie wiedziała, co ma zrobić z bukiecikiem fiołków, i w końcu zatknęła go Patrickowi za koszulę.

— Masz, kotku, bardziej ci z nim do twarzy niż mnie.

— Chciały mi go zabrać — powiedział Patrick płaczliwym głosem. — Musiałem cały czas trzymać go nad głową, tak że nie mogłem się bronić. A one z tego korzystały.

Co chcesz przez to powiedzieć, że „one z tego korzystały”? — zapytała szyderczo Katarzyna. .

— Chyba nie będziesz wymagała, żebym ci to dokładnie opisał? Już ci powiedziałem, że to były figlarki. A w dodatku prawdziwe świntuchy.

— Zamknij się — zapominasz, że Anna słucha — skarciła go Katarzyna.

— Daj spokój! — wtrąciła Anna. — Wyobraź sobie, że widziałam gorsze rzeczy na obiciu z Jouy! Natychmiast ugryzła się w język. Przecież Katarzyna nie wiedziała o niczym! Jedynie ojciec był wtajemniczony. Na szczęście jej słowa przeszły nie zauważone.

— Udało mi się im wyrwać, ale straciłem jeszcze kwadrans, zanim się znalazłem w tych absurdalnych ciemnościach. Trochę z tym przesadzacie! Zresztą, zobaczcie, chyba kończy się oliwa w lampkach... Żółte odblaski, które dawały małe oliwne lampki, rzeczywiście jakby osłabły i stawały się teraz pomarańczowe, a nawet czerwone. Niektóre zaczęły mrugać. Sufity, pogrążone dotąd w ciemności, rozjarzyły się jakąś podejrzaną fosforescencją.

— Ten wasz dom jest rzeczywiście dziwny — powiedział wstrząśnięty Patrick.

— Ten dom jest znakomity — wybuchnęła bezczelnie Katarzyna.

Wobec byłego wielbiciela, tak naiwnego i głupiego, poczuła się w obowiązku bronić domu\* „Pod Koszem z Kwiatami”, choćby był nie wiadomo jak odrażający. Szaleństwa i perwersje tego domu wydały jej się łatwiejsze do zniesienia niż smętny rozsądek ugrzecznionych młodych ludzi.

Patrick nie zdążył nic odpowiedzieć, gdyż trio złożone z młodych kobiet w białych halkach, bardzo podobnych do tych, które zaczepiały go w ogrodzie, porwało chłopca ze sobą.

Kiedy zniknął pośród tancerek, których jedynie twarze w pomarańczowym odblasku wyłaniały się z gęstego cienia, Anna rzuciła oszczędną uwagę pod adresem Katarzyny:

— One ci go zgubią, tó twoje rachatłukum!

Dziewczęta wróciły do swojego kąta — punktu obserwacyjnego, z którego wydarzenia wydawały im się tak odległe, jak konstelacje astronomom. Przestało je dziwić nieustanne pojawianie się w rozbawionym dumie dziwacznych, poprzebieranych postaci, które z całą pewnością nie mogły być zaproszone. Światło lampek stawało się coraz bardziej czerwone, a sufity przecinały od czasu do czasu fioletowe fale, jakby rzucone przez jakiś niewidoczny reflektor lub, być może, wyłaniały się z samego tynku.

Oprócz muzyki lecącej ze sprzętu Hi-Fi, która od jakiejś chwili zdawała się przycichać, a dźwięki stały się płaczliwe; niewyraźne, zaczęły przebijać dźwięczne, przerywane odgłosy niewidzialnej pianoli. Piotr chciał podejść do swojego sprzętu, by odnaleźć przyczyny tego tajemniczego zjawiska, ale uwięziony w żelaznym uścisku czarnej olbrzymki nie mógł się z niego wyswobodzić, nawet napinając wszystkie mięśnie. Dźwięki pianoli stawały się coraz bardziej opętające. Nikt nie wydawał się zaniepokojony tym dziwnym zjawiskiem, podobnie jak nikomu nie przeszkadzało pogrążenie się domu w całkowitych niemal ciemnościach. W mrocznej magmie tancerzy odcinały się od czasu do czasu, gdy znalazły się w świetle księżyca, białe zwiewne sukienki tajemniczych gości, a także ich mleczone piersi, wciąż wymykające się z bezwstydných dekoltów.

Katarzyna i Anna po omacku przesunęły się w kierunku bufetu, który otaczało niezwykle światło, jakby pochodzące ze ściany.

— Barman, whisky! — powiedziała odruchowo Katarzyna, po czym natychmiast wykrzyknęła zdumiona: — Tu jest barman!

Rzeczywiście, za stołem w jadalni, który zamieniono na bufet, stał niewysoki drobny człowiek o kręconych włosach, przypominający Hiszpana. Nawet w najbardziej bezsensownych marzeniach o wielkości Piotrowi i Katarzynie nie wpadło do głowy, żeby wynająć na prywatkę barmana... Skąd się wziął ten typ?

Człowiek zdawał się ich nie zauważać i zignorował zamówienie Katarzyny. Zaangażowany był w ożywioną rozmowę z trzema mężczyznami w średnim wieku, ubranymi w ciemne garnitury z udrapowanymi w kwiat kokardami w butonierę.

— Czy wie pan, że mała Lulu... — zaczął barman i nagle ściszył głos przy końcu opowiadania, które trzej mężczyźni przyjęli gromkim śmiechem.

— Nie słyszeliście o ostatniej przygodzie Mimi — po-

wiedział jeden z wystrojonych mężczyzn. — Wyobraźcie sobie, że poszła z Rosjaninem, byłym oficerem carskiej armii. A musicie wiedzieć, że Mimi, zagorzała komunist-ka — co rzadko się zdarza w tej profesji — kazała się długo prosić. A kiedy się wreszcie rozebrała i zobaczył jej tatuaż, czerwoną gwiazdę...

Przy końcu opowiadania, niewątpliwie skandalicznego, mężczyzna zniżył głos, tak że Katarzyna nie dosłyszała puenty, która znów wywołała burzę rubasznego śmiechu.

— Jedną whisky — powtórzyła Katarzyna — i sok pomarańczowy dla tej małej.

— Z wódką — szepnęła Anna, pochylając się do ucha barmana.

Ale ten wciąż zachowywał się, jakby ich nie słyszał ani nie widział. Katarzyna i Anna ze złością obróciły się do niego plecami.

— Nie wiem, kto przebrał się za barmana, ale mógłby być bardziej uprzejmy dla pań domu — dała się Katarzyna.

Po chwili stosownych dąsów znów się odwróciła, by ponowić zamówienie, i nagle oniemiała: barman i trzech wystrojonych mężczyzn — których, przynajmniej mimochodem, obecność na prywatce była wielce niezrozumiała — zniknęli; jakby pochłonęła ich ściana — pomyślała Katarzyna.

— Wchłonęła ich ściana — powiedziała ledwo widoczna Anna, głosem spokojnym, jakby chodziło o zupełnie powszechne, banalne zjawisko.

Ściana przestała wysyłać światło, jeszcze przed chwilą otaczające rozległym blaskiem postacie, które teraz znikły.

Pianola wydawała coraz bardziej przenikliwe dźwięki, a ruchy tancerzy stawały się coraz bardziej chaotyczne. Kobiety w bieli z jeszcze większym zapamiętaniem prowadziły taneczny krąg. Z ich rozpalonych tajemną gorączką gardel wydobywały się jęki, w których smutek zdawał się mieszać z rozkoszą.

Na schodach rozgrywała się milcząca potyczka między Kuriacuszami a ich syrenami, usiłującymi zaciągnąć ich na piętro. Inna walka toczyła się pod stołem w salonie, gdzie trio wilczyc, które porwały Katarzynię przed nosa Patricka i najpierw unieruchomiły przygniatając mu ręce ciężarem ud, siedząc na klatce piersiowej, rozbierały go powoli. Wydawały przy tym pożądlive mlaśnięcia, za każdym razem czekając, aż zacznie się bronić, zanim dobrały się do następnej części garderoby.

Frenetyczny tłum podobny do magmy wulkanu, której bezlitosny żar stapia wszystko w jedną płynną ławę, rozstępował się jednak, by zrobić przejście przerażającej parze: Piotrowi i olbrzymcew czarnej skórze. On przestał się szamotać, chcąc się od niej uwolnić, poddał się maniakalnemu rytmowi pianoli. Olbrzymka ciągnęła go teraz do kuchni, skąd prowadziły drzwi do piwnicy. Pchnęła je i wraz z Piotrem pokonywała strome schody, skacząc ze stopnia na stopień w szaleńczym rytmie. Mocno przyciskany do skórzano-stalowego gorsetu, Piotr dał się ciągnąć z zamkniętymi oczami, jego stopy ledwie dotykały ziemi. Całe towarzystwo, z tajemniczymi gośćmi na czele, przeniosło się teraz do piwnicy. Zapaliły się lampki ukazując straszliwą ścianę, na której Piotr pozawieszał narzędzia tortur. Olbrzymka- wydała dziki ryk i jednym ruchem ręki przykuła Piotra do zamocowanego w ścianie pierścienia na wysokości człowieka. Rozpięła chłopcu koszulę, opuściła ją do bioder i zdjawszy z haka pejcz, potrząsała nim w kierunku tłumu wykrzykując:

— Kto chce pejcz? Kto chce pejcz?

— Ja! — krzyknęła Nadine, która nagle wyłoniła się z tłumu z potarganymi włosami, czerwona, ogarnięta furją.

Przejęła pejcz i zaczęła nim chłostać tors Piotra.

— Masz za twój policzek! — wrzeszczała. — A to za twoje obelgi! I za kłamstwa!

Piotr mimo palącego bólu powstrzymał się od wycia. Z całej siły oparł się o ścianę, usiłując uwolnić się z pęt.



Kiedy oszalała Nadine znów podniosła pejcz, by tym razem smagnąć go po twarzy, Piotr w ostatnim wysiłku, tak wielkim, że bał się, iż' za chwilę pękną mu żyły w skroniach, wyrwał ze ściany pierścień, do którego zamocowane były łańcuchy. Gwałtownie uwolniony runął na ziemię. Wraz z pierścieniem w obłoku pyłu posypała się lawina rupieci i nagle, jakby wypadł ze ściany, czarny zeszyt poplamiony gipsem odbił się od ziemi i spadł otwarty; jego pozostałe kartki drżały jeszcze, jakby przewracał je jakiś niewidzialny palec.

W piwnicy zapadła zadziwiająca cisza. Na górze ucichła pianola. Ktoś przekreślił wyłącznik. W słabym świetle elektrycznej lampki ukazały się bezkrwiste twarze gości, których przygnębiony wyraz i błędne oczy upodabniały raczej do podróżnych ocalonych z katastrofy po wykolejeniu pociągu.

Nadine ze zdumieniem przyglądała się swej ręce, wciąż jeszcze uzbrojonej w pejcz, i nagle rozplakała się. Piotr szukał wzrokiem czarnej olbrzymią. Zniknęła. Zapytał, czy ktoś widział, jak wychodziła? Zobaczył wokół zdziwione twarze: Jaka czarna olbrzymka? Nic podobnego nikt nie zauważył.

Tajemnicze istoty w białych prześwitujących sukienkach też się gdzieś rozprószyły. Kto je widział? Zdaje się, że nikt. Nawet Patrick, który jeszcze zapinał guziki. Wyglądało na to, że jedynie Piotr i Katarzyna widzieli wszystkie te niezwykle postacie. A Anna?

Piotr nie zauważył jej wśród zebranych.

— Gdzie jest Anna? — mruknął do Katarzyny.

Katarzyna wzruszyła ramionami.

— Pewnie została na górze.

W tym momencie rozległ się długi przenikliwy krzyk, krzyk grozy, krzyk wzywający na pomoc. To był głos Anny.

Jacques i Helena Bordineau otwierali właśnie bramkę. Usłyszawszy przerażający krzyk, rzucili się do domu.

## **Florentine**

Gdy tłum gości udawał się za Piotrem do piwnicy. Anna zostawszy nieco z tyłu, znów poczuła na swym ramieniu lekki ucisk. Odwróciła się gwałtownie i tym razem, zamiast ginącego w ciemności odbicia, napotkała spojrzenie jasnoszarych oczu młodej uśmiechniętej dziewczyny. Mogła mieć szesnaście lat. Jej uśmiech był smutny. Od stop do głów ubrana była na czarno. Miała śmiesznie skrojone spodnie, dawniej chyba nazywano je „pumpami”. A więc tak ubierali się bywalcy kafejek z Saint-Germain-des-Pres w 1950 r. — pomyślała Anna, która pasjonowała się filmami z tej prehistorycznej epoki.

— Jesteśmy prawie rówieśniczkami — powiedziała dziewczyna łagodnym głosem i jakby trochę osłabionym przez tajemniczy dystans.

— Z pewnością jestem młodsza od pani, mam dopiero czternaście lat — odparła Anna.

— Teraz czternastolatki prawie nie różnią się od szesnastolatek...

Dziewczyna nagle przerwała.

— Nie mam ochoty na te ich szaleństwa w piwnicy — powiedziała po chwili — jestem zmęczona.

— A więc niech pani odpocznie — rzekła łagodnie Anna.

Melancholia młodej dziewczyny intrygowała ją i trochę denerwowała. Czyżby impreza ją nudziła? Nie powinna była jednak okazywać tego wobec jednej z pań domu.

— Przepraszam — powiedziała nieznajoma, jakby

odgadując myśli Anny — czuję się tak dziwnie. To pewnie ten dom...

Anna natychmiast poczuła sympatię do dziewczyny. A więc dom oddziaływał na tamtą podobnie jak na nią.

— Jak pani na imię? — zapytała uprzejmie.

— Florentine.

— A więc, Florentine, proszę pójść odpocząć w moim pokoju. Pokażę pani zdjęcia. Posłuchamy płyt! Dość już mam tej okropnej pianoli.

Dziewczyna posłusznie skinęła głową. Anna wzięła ją za rękę, która była dziwnie zimna, i poprowadziła słabo oświetlonymi przez lampki oliwne schodami.

Wchodząc do pokoju Anna zapaliła plafoniery. W drzwiach dziewczyna odruchowo cofnęła się, czemu towarzyszył głuchy jęk.

— Czy coś się stało? - zapytała Anna zdziwiona i trochę zaniepokojona.

Czy nieznajoma nie rozchoruje się na dobre w jej pokoju? Może za dużo wypiła? Albo jest trochę znerwicowana? Co za pomysł, żeby ubierać się całkiem na czarno!

Florentine weszła do pokoju drobnym kroczeniem i znieruchomiła na środku dywanu. Z jej ust wydobyło się westchnienie i nagłym gestem wskazała na tkaninę z Jouy.

— Poruszają się — powiedziała z przerażeniem. Anna poczuła, że krew w niej zamarza.

— Zejdźmy natychmiast! — powiedziała. — Nie znam pani. Proszę wyjść z mojego pokoju!

Popychała dziewczynę w kierunku drzwi, ale ta opierała się. Krzyczała, w końcu się rozplakała. Anna roz-trzęsa się. Usiłowała wyprowadzić ją z pokoju ciągnąc za lodowate ręce. Zupełnie jak u trupa.

Florentine gwałtownie się jej wyrwała, podbiegła do okna i zaczęła wzywać pomocy. Targała przy tym włosy z głowy, drapała się po twarzy. Gdy się odwróciła, Anna zobaczyła na jej twarzy przerażenie.

Nagle dwie czarne ręce jakby wyskoczyły ze ściany i zacisnęły się na szyi dziewczyny, która zaczęła się dusić.

— Florentine! — krzyknęła Anna.

Chciała jej pomóc, ale była jakby sparaliżowana. Z nadludzkim wysiłkiem uniosła rękę do czoła, ta opadła do piersi, z trudem przeniosła ją na lewe ramię, potem prawe. Zaledwie nakreśliła ten nieudolny znak krzyża, rażące światło zniknęło z ogrodu, jakby nagle wypaliło się słońce sztucznych ogni. Olbrzymi lśniący obiekt przesunął się przed drzwiami i uniósł w kierunku dachu.

Anna ukłękła, drżała od stóp do głów i szczekała zębami. Spostrzegła, że dziewczyna staje się przezroczysta, następnie zamglona i z szyją ciągle w przerażającym uchwycie, stopniowo zagłębia się w ścianę, aby pogrążyć się w niej zupełnie.

W pokoju znów zapanowała cisza. W elektrycznym świetle wyglądał jeszcze normalniej niż zwykle, z małym łóżkiem, pluszowym misiem, tapetą z Jouy.

To było ponad siły Anny. Wtedy wydała z siebie ten przeraźliwy, wyraźny krzyk, który wstrząsnął gośćmi i przstraszył rodziców; państwo Bordineau wracali i tak już mocno przygnębieni po obejrzeniu francuskiego filmu intelektualnego.

## **Człowiek od skrzatów**

Jacques i Helena wchodząc pospiesznie do domu natknęli się w salonie na procesję gości, którzy oszołomieni wychodzili z piwnicy. Piotr i Katarzyna stali na schodach przerażeni i nie mogąc złapać tchu wydusili:

— Anna... na górze... w pokoju.., nieprzytomna. Dziewczyna leżała na boku, dysząc i jęcząc, na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie zemdlonej..

Jacques zaniósł ją na łóżko Heleny: Przeczynał, że w pokoju Anny istnieją niezdrowe prądy magnetyczne, i chciał ją stamtąd wynieść.

Dziełu zimnym okładom na czoło Anna powoli przychodziła do siebie. Jej pierwsze słowa brzmiały:

— Ona wróciła...

Rodzice nie śmieli dociekać, bojąc się, że znów zemdleje. Ody całkiem przyszła do siebie, Anna nie podjęła już tego tematu. Wciąż obawiała się kpin lub reprimendy ojca tym bardziej że sama nie była pewna, czy nie zasługuje na nie. Wizje, które ją tak przerażały, traciły na intensywności, gdy próbowała je sobie przypomnieć. Znikały z jej pamięci podobnie jak zły sen, po którym pozostaje jedynie wspomnienie strachu, jaki wywołał.

Jacques nie dał się zwieść dyskrecji Anny. Zdawał sobie sprawę, że przez swoje wcześniejsze brutalne zachowanie zasłużył na jej nieufność i że nie ma co liczyć na zwierzenia. Był jednak przekonany, że tej nocy córce objawiło się coś strasznego, jakieś widmo zrodzone z halucynacji lub, kto wie, duchy przybyłe z królestwa zmar-

łych. Zdziwił się przez moment na myśl o, tym, jak plastyczny stał się jego umysł, skłonny teraz zaakceptować istnienie rzeczywistości upiorów, *lamii*, *ghuli*, a nawet *katakhames* i *broncolaques*, od których roilo się w traktatach o demonologii.

Gdy wrócił, uderzyło go u uczestników zabawy przygnębienie połączone z przerażeniem. Zaraz też się pożegnali, z zadziwiającym pośpiechem.

Chyba uwierzy w końcu w istnienie demonów, których podstępna działalność coraz dotkliwiej odczuwał: jej efektem było poniżenie jego rozumu.

Jacques obserwując córkę, wyczerpaną, leżącą na poduszkach Heleny, z niepokojem śledził jej powolne przychodzenie do siebie przez najbliższe dni, kiedy to z trudem coś przełykała, oszczędna w słowach sprawiała wrażenie nieobecnej, i jakby kryła w sobie jakąś tajemnicę, której nie chciała — lub nakazie nie chciała — wyjawić. Czuł, że ogarnia go fala litości, i skłonny był teraz do podjęcia decyzji, które kiedyś budziły w nim niechęć.

Zadzwoił do profesora Hyperlona i poprosił go

o adres owego magika, który rzekomo potrafił zbadać, czy dany dom oddziałuje niekorzystnie, i znał środki zaradcze zapobiegające tej pladze. Hyperion podał mu adres bez żadnego komentarza.

Jacques, chcąc ukryć zakłopotanie, zdobył się na żarty ze swojego nagłego zwrotu

i powołał się na Greków i ich respekt w stosunku do jakiegoś potencjalnego „nieznanego Boga”. Nie wywołało to żadnej reakcji ze strony przyjaciela, który zapewniał go jedynie, iż odwołanie się do maga traktuje jako pewne doświadczenie filozoficzne, z którego może wyłonić się prawda. Czarownik mógł być cudotwórcą z gatunku tych, których cudowne właściwości kiedyś dadzą się wyjaśnić naukowo; nie należy w to wątpić.

Jacques zaprosił „odczyniającego uroki” na dzień, kiedy nie miał wykładów i był pewien, że będzie sam. Helena i dzieci miały być poza domem.

Specjalista od sił nieczystych pojawił się przed drzwiami cały w czerni, z na pół oskubaną wroną na ramieniu.

— Ten ptak wykazuje ruezwykłą wraźHwOść ńa fatalne wpływy—wyjaśnił Jacques'owi Bordineau.

— Gdy tylko wyczuje je w ziemi czy ścianach, zaczyna drzeć, jest niespokojny, bije skrzydłami. Po jego ruchach mogę określić liczbę,, nasilenie oraz kierunek tych fal. Mogę także zlokalizować ich źródło.

— Dzielna bestia — powiedział Jacques skinąwszy głową. Chciał pogłaskać ptaka, ale ten dziobnął go. — Widocznie ja też w taki czy inny sposób muszę wydzielać złe fale — zauważył Jacques, szukając buteleczki z jodyną.

— Niewątpliwie ma pan w sobie skutki złych fal, a wrona nie rozróżnia ich samych od ich nosiciela —odrzekł mag.

Jacques odpowiedział z nutką rozbawienia w głosie:

— Zatem ten ptak traci w moich oczach.

Magik zaczął już inspekcję domu, szybko przechodząc z pokoju do pokoju. Od czasu do czasu zatrzymywał się nagle, jakby poddając się fluidom, to znów obmacywał rękami ściany. Przypominał w tym Indian tropiących niedźwiedzia bądź też architekta w poszukiwaniu rys. W ten sposób obszedł pomieszczenia na piętrze. Nieco dłużej zabawił w pokoju Anny, który dokładnie przetrząsnął marszcząc nos. Wreszcie odchrząknął: — Hm, hm.

Jacques uznał to za pesymistyczną diagnozę.

— Ten pokój jest bardzo naładowany —powiedział sentencjonalnie magik.

— Chce pan przez to powiedzieć, że jest w nim za dużo mebli?

— Ależ nie — zachnął się tamten wzruszając ramionami — mam na myśli energię zgromadzoną w tych ścianach niczym w baterii elektrycznej. Nie wiem jeszcze, czy jest ona niebezpieczna, czy nie. Zobaczymy, co powie na ten temat wahadełko.

Mężczyznę wyjął z małej walizeczki wahadełko składające się z "jedwabnego sznurka i kawałka białego metalu i zaczął z nędzą obchodzić dokładnie wszystkie kąty. Chwilami wydawał się zmieszany, a niekiedy nawet wściekły.

— Nic z tego nie rozumiem wykrzyknął- wreszcie— wyczuwam jakieś sime oddziaływanie psychiczne, ale w czasoprzestrzennej strukturze pokoju nie wykryłem żadnej anomalii.

Jacques przez grzeczność udał zatroskanego. Zapytał:

— Czy to możliwe?

Magik zbiegł po schodach i rozpoczął teraz swoje praktyki na parterze. W badaniu wahadełkiem nie pominął jednego decymetra kwadratowego.

- Niespotykany przypadek, panie Bordineau — Stwierdził uczenie magik, rzucając się na fotel, niewątpliwie wyczerpany. - Nie wykryłem ani w podłodze, ani w ścianach najmniejszej fali tellurycznej. Nie ma też podziemnych rzek ani uspionych luster wody. Z pewnością słyszał pan o żałosnych skutkach, jakie tego rodzaju geologiczne przypadłości mogą wywierać na mieszkańców domu.

— „Żałosne" to zbyt słabe określenie — potaknął skwapliwie Jacques.

— Nie wykryłem również pod ziemią pokładów metali, tak niebezpiecznych, ani zasypanych studni, które, jak pan wie, wysyłają wielce szkodliwe fale, sięgające nawet strychów.

— Oczywiście, oczywiście. Wszystko zatem w jak najlepszym porządku. Skoro nie istnieją choroby, nie ma też chorych!

— Spokojnie. Przyczyna pozostaje nie znana, ale objawy są oczywiste. Opisał mi pan przez telefon rozmaite niepokoje, przywidzenia, obsesje, których ofiarą padli mieszkańcy tego domu. Uderzyła mnie w tym wszystkim ich klasyczność. Chodzi o dokładnie określone zjawiska, które stwierdzono na całym świecie i niemalże we wszystkich epokach. I jeśli nie są wywołane przez promieniowa-



nie telluryczne, ich przyczyną musi być czyjaś obecność, istot żyjących bądź nie.

— Żyjących bądź nie? Co pan chce przez to powiedzieć? — zdziwił się Jacques.

— Prawdę mówiąc nie sądzę, by chodziło o zmarłych, to znaczy o duchy. Rzadko się zdarza, żeby opanowały one cały dom. Ich działalność ogranicza się zwykle do jednego pokoju, a czasem tylko do jednego kąta w danym pomieszczeniu. Nie nękają całego domu. Pojawiają się w konkretnym dniu o stałej godzinie, po długich sięgających nawet roku okresach ciszy. Wydarzenia w pańskim domu „Pod Koszem z Kwiatami” muszą więc być innej natury. Doszukiwałbym się tu raczej działalności Małego Ludku, który rzadko daje o sobie znać, ale gdy się na to decyduje, nie troszczy się zbytnio o dyskrecję.

— Mały Ludek? — zapytał łagodnie Jacques, siląc się na obojętny ton.

— Mam na myśli gnomy... Chochliki. Wie pan chyba o tym, że w większości domów strychy i piwnice zamieszkiwane są przez te istoty nie większe od grzebieni dłoni, które są swego rodzaju miejscowymi bóstwami rodzin, ale które zdolne są do najgorszych kawałów, jeśli nowo przybyli lokatorzy czymś się im narażą.

— Ależ my nie wyrządziliśmy im żadnej krzywdy! — przerwał gwałtownie Jacques.

— One nie lubią dzieci. Są o nie zazdrosne. Zazdroszczą im zabawek, ubrań... Wie pan, że skrzaty ubrane są dość skromnie: w filcowe marynarki, spodnie z szorstkiej skóry, zielone czapeczki .bez pomponów,

— Tak, widziałem *Królewnę śnieżkę* — powiedział Jacques.

— Proszę sobie nie kpić — rzekł człowiek od skrzatów. — Tu nie chodzi o przesady. Wszystkie społeczeństwa wierzyły w Mały Ludek i starały się go chronić. U Arabów to były dżiny, u Skandynawów trolle i *tomtes*, koboldy u Niemców, gobeliny u Normanów i paryżan —

te nauczyły ich tkania dywanów, i stąd wzięła się nazwa tych wyrobów — w Irlandii były to *boggarts* i *bogles*, w Burgundii *farfadets*, w Italii nazwano je *farfarelli*. Zdaje się, że jest pan jedyny na świecie, który nie wierzy w ich istnienie.

— Zapewniam pana, że to z braku informacji — pośpiesznie powiedział Jacques. — Gotów jestem nawet publicznie przyznać się do winy, byle tylko utwierdził mnie pan w tym rodzącym się przekonaniu.

— Jest pan człowiekiem małej wiary! — skarcił go magik kręcąc głową. Wyglądał na niezadowolonego i zatroskanego. — Najgorsze, że pański sceptycyzm obraża Mały Ludek i tym samym rozdrażnia go pan jeszcze bardziej. Zazwyczaj jego przedstawiciele są przychylni ludziom, ale jak zaczną się mścić...

— Jestem gotów się poprawić — wybąkał Jacques ogarnięty jednocześnie jakimś nieokreślonym lękiem i chęcią śmiechu.

Człowiek zaczynał się płatać: czy nie okaże się niebezpieczny?

— Jestem przekonany — ciągnął magik — że to one odgrywały perwersyjne pastereczki i lubieżne baranki, które pańska córka widziała ozywające na tapecie z Jouy. Mogły również — dzięki swej zdolności projekcji obrazów, którą posiadły w najwyższym stopniu — wprowadzić ją w stan nieprzyjemnych halucynacji... Wszystko zaczyna się wyjaśniać. Są niezadowolone... Musi się pan , koniecznie pojednać z Małym Ludkiem. A wtedy z wrogów zamienią się w przyjaciół i będzie pan zdumiony przysługami, jakie potrafią oddawać.

— To byłoby wspaniałe — zauważył Jacques.

— Przeprowadził się pan stosunkowo niedawno. Duchy domu nie okrzepli jeszcze w swej wrogości. Jestem przekonany, że bez większego wysiłku można je będzie zjednać.

— Zjednamy je — powiedział zdecydowanie Jacques.

— Sprawa wydaje się nie taka trudna, przynajmniej jeśli moje analizy są słuszne. Trzeba egzorcyzmować zazdrość, jaką nasze skrzaty, tak źle potraktowane, odczuwają wobec Anny, o jej stroje, które w ich oczach są pełne przepychu; nie mówiąc o zabawkach.

Po tych słowach magik otworzył pudło, w którym Anna przechowywała swoje zabawki z dzieciństwa, pomimo że od lat nie przywiązywała do nich wagi. Wyjmował kolejno mebelki dla lalek, miniaturowe serwisy do herbaty, lalki, małe kuchenki, ubranka pielęgniarek. Pośród całego tego kramu typowo dziewczęcych zabawek znalazło się też kilka metalowych ciężarówek i mała kolejka elektryczna. Pudło teraz było puste. Człowiek od skrzatów zamknął wieczko, wyciągnął nad nim ręce nie dotykając.

— Dokonuję przeniesienia — powiedział. — Przeniesienia?

— Przenoszę do pudła niektóre z wyjętych zabawek, ale w postaci zminiaturyzowanej, dostosowanej do rozmiarów skrzatów... Proszę się nie obawiać — powiedział na widok osłupiałego i przerażonego Jacques'a. — Nie jestem szalony, a tego typu operacje przenoszenia — miniaturyzacji są banalnie łatwe i nie powinny pana zaskakiwać.

— Proszę mi wybaczyć.

— Przeniesiemy te mebelki dla lalek, lalki, ciężarów'kę, kuchenkę i kolejkę elektryczną. Myślę, że to dobry wybór.

— Tak, bardzo dobry — energicznie powiedział Jacques.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, przyniosę też trochę ubrań Anny. Na przykład wyszywane dzinsy, skórzaną spódniczkę i ten czerwony płaszcz z szerokimi rękawami, który leży na łóżku.

— Proszę bardzo.

— Już skończone — powiedział człowiek od skrza-

tów. — Teraz zostawimy wieko półotwarte i dyskretnie się wycofamy, tak by Mały Ludek mógł odnaleźć nasze prezenty.

— Wycofajmy się dyskretnie — powtórzył Jacques, dając przykład i wychodząc na palcach.

Gdy magik przechodził obok niego, kierując się do drzwi, wrona, która przez cały czas pozostawała na jego ramieniu, znów dziobnęła Jacques'a, tym razem o mało co nie w oko. To od razu zepsuło mu humor, który był nie najgorszy podczas całej tej maskarady. „Dość tego — pomyślał — pozwoliłem mu się trochę pobawić, ale teraz już koniec.

Zdecydowanie popychała go na schody. Tamten, zdziwiony, potykał się, chwytając poręczy. Spłoszone ptaszysko biło skrzydłami i krakało.

— Proszę mnie nie wypychać — protestował specjalista od skrzatów, gdy Jacques Bordineau ciągnął go za rękę w kierunku holu wyjściowego, — Jeszcze nie koniec! Teraz trzeba trochę odczekać, a później pójść do pokoju pańskiej córki, żeby sprawdzić, czy Mały Ludek znalazł i zabrał sobie prezenty... Ale niech mnie pan tak nie popycha! Słowo daję, pan jest szalony.

Jacques gwałtownie otworzył drzwi wejściowe. Ale natychmiast cofnął się, tłumiąc okrzyk. Na podeście stał Armand Lepchot, najwyraźniej zaskoczony. Miał dramatyczny wygląd, białe oczy, ręce skrzyżowane.

Jacques chciał zatrzaskać drzwi, ale administrator wsunął w szparę stopę i zaczął szturmować wejście. Na widok magika z ptakiem zachwiał się przez moment, jakby ugodzony niewidzialną strzałą, po czym podniósł ręce do twarzy i zakrył oczy.

— Litości — jęknął — proszę, niech mi go pan odda! Na co on panu potrzebny? To nie pańska misja pomścić ich. Nagle Lepchota ogarnęła złość.

— One są silniejsze od pana — ryknął do magika, grożąc mu pięścią.

Człowiek od skrzatów cofnął się w głąb holu, jego oddech stał się głośny, urywany. Tymczasem przerażona wrona gwizdała i pluła.

— Wynoś się! — magik wydobył z siebie słaby głos — i niech Moce i Trony zwałą się na ciebie i cię zmiżdzą!

Jednocześnie kreślił w powietrzu obiema rękami rozmaite figury odczyniające.

— Czego pan, do cholery, chce — ryknął Jacques Bordineau rozwścieczony i przerażony.

— Niech mi go pan odda.

— Co mam oddać?

— Mały czarny zeszyt!

— Już panu powiedziałem, nie wiem, o czym pan mówi.

— One mi powiedziały. Pan go znalazł! One powtarzały mi to przez całą noc, dziwki!

— Jakie one? — wybuchnął Jacques.

— Niech pan nie zgrywa idioty. Dobrze pan wie, o czym mówię. Mieszka pan w domu "Pod Koszem z Kwiatami" już blisko miesiąc.

Magik był wyraźnie poruszony.

— Nie podoba mi się to wszystko — wykrzyknął. — Nic mi pan nie wspomniał, że ten szaleniec jest zamieszany w pańskie domowe problemy. To wszystko zmienia. Moja specjalność to przeklęte domy, a nie psychiatria. W takim razie już idę. Proszę nie zapomnieć o czeku dla mnie!

Jacques Bordineau przytrzymał mężczyznę za poły marynarki, drugą ręką zasłaniając się przed atakami roz-histeryzowanej wrony.

— Proszę zostać! Niech pan zostanie! — błagał. — Sam pan powiedział przed chwilą, że jeszcze nie skończyliśmy.

Nade wszystko obawiał się pozostania sam na sam z administratorem, któremu nie wiadomo jakie znów zboczenia mogły się zrodzić w głowie i czy to wszystko

nie zakończy się nowym, wciąż niezrozumiałym zamachem na jego cnotę.

Ale magik wyrwał mu się i już biegł do drzwi. Jacques w tej podbramkowej sytuacji krzyknął do administratora:

— Tak, mam go. Oddam go panu, ale teraz proszę stąd odejść. W przeciwnym wypadku za nic nie odpowiadam.

— Czy mogę to traktować jako obietnicę?

— Przysięgam panu — powiedział uroczyście Jacques — ale nie mogę go panu przekazać w tej chwili. — Na poczekaniu wymyślił: — Jest w kufrze, do którego klucze ma tylko moja żona.

— Proszę uważać — zagroził administrator głuchym głosem. — Drugi raz to panu nie przejdzie. I proszę pamiętać, że ma pan dzieci — dorzucił tajemniczo.

Jacques Bordineau wyprowadzony z równowagi jednym pchnięciem wyrzucił obu mężczyzn za drzwi, a następnie energicznie popchnął ku bramce...

Wieczorem Anna przyszła ze skargą do ojca:

— Czy to ty przewróciłeś do góry nogami moje pudło z zabawkami?

— Tak — skłamał Jacques — szukałem, czy nie ma tam jakichś gratów, zniszczonych rzeczy, które można by podarować na Gwiazdkę biedakom.

— Mogłeś mnie zapytać — dąsała się Anna. — To moje zabawki z dzieciństwa, zależy mi na nich. Przechowuję je na pamiątkę.

Westchnęła:

— W porządku... nic nie szkodzi. Ale co byś powiedział, jakbym zaczęła wertować twoje książki i wybierać te, które można dać biednym... Zresztą...: Idę poukładać to wszystko.

W chwilę później zeszła jak wicher.

— Przesadzasz! — krzyknęła z ujmującą swobodą, jaka cechuje dziś stosunki dzieci z rodzicami. — Ukradłeś mi dwie lalki, kuchenkę, kolejkę elektryczną i ciężarówkę.

Poza tym jakoś dziwnie nie mogę znaleźć mojego czerwonego płaszcza i skórzanej spódniczki, które leżały na łóżku. Czy to też przeznaczyłeś dla biednych?

Jacques stał przez chwilę z otwartymi ustami, nie mogąc wydobyć głosu. Później przytrzymał się za oparcie krzesła i doznał lekkiego ataku nerwowego; tupał przy tym i wydawał nieartykułowane okrzyki.

Anna sądziła, że to zabawa, i wesoło krzyknęła:

— Jak się tak krzywisz, upodabniasz się do karła.

To wywołało u Jacques'a nowe, pełne ekspresji spazmy.

## **Czarny zeszyt**

Wieczorem tego samego dnia Anna zauważyła na stole w pokoju Piotra czarny zeszyt, poplamiony gipsem, który przyniósł z piwnicy i niedbale rzucił.

— Co tu robi ten wysmarowany, obrzydliwy kajet? — zapytała brata.

— Znalazłem go w piwnicy. Był ukryty w zagłębieniu w ścianie i zamurowany warstwą gipsu. W ferworze zabawy gips odpadł i zeszyt wyleciał ze ściany.

— I cóż to za tajemniczy dokument? — spytała Anna. Jednocześnie przypomniała sobie napad administratora przy parku Saint-Cloud... „Mały czarny zeszyt” — bredził szaleniec...

— Właśnie go przekartkowałem. Wygląda na księgę rachunkową. Ktoś tam pisał o klientach, którzy zapłacili tyle i tyle, o zakupie napojów, są jakieś rachunki procentowe dla personelu.

— To musi być książka rachunkowa właściciela dawnego burdelu.

— A fe! — zachnął się Piotr zaskoczony słownictwem siostry.

— No już dobrze, nie udawaj swojego nobliwego tatusia. Daj mi lepiej ten zeszyt, chcę go poczytać w łóżku, żeby się nauczyć, jak prowadzić burdel. Może mi się przydać w przyszłości.

Piotr wzruszył ramionami i podał zeszyt Annie. W chwili gdy już go miała wziąć, przytrzymał go.



— Mogą tam być rzeczy, których dzieci w twoim wieku nie powinny czytać — powiedział kpiąco. Ale Anna już mu wyrwała zeszyt z rąk. Piotr nie poszedł za nią do pokoju. Był przesądny i obawiał się zbyt zbliżyć do niebezpiecznej strefy łóżka młodej dziewczyny, by znów nie opętał go jakiś lubieżny i wstydlivy popęd, jak to się zdarzyło z Katarzyną. Anna ułożyła się wygodnie na poduszkach i zaczęła przeglądać tajemniczy zeszyt.

Piotr mówił prawdę. Wyglądało to na zwykłą książkę codziennych rachunków, taką, jakie prowadzi każdy szanujący się sprzedawca. Tyle za szampana. Tyle i tyle zapłacił pan M D\*, niewątpliwie jakiś bogaty klient, za dwie dziewczyny jednocześnie. Było więcej tego typu szczegółów, co ożywiało trochę prozaiczne rachunki. Anna ubawiona przyjęła jeszcze wygodniejszą pozycję, nie pozwoliła swojej ręce błądzić tam, gdzie miałyby na to ochotę, i w ten sposób uczyniwszy ofiarę na rzecz anioła stróża, powróciła do lektury, oddając tym samym część siebie diabłu. Zaczęła od korica, podobnie — zwykle niecierpliwa — czytała kryminały. Na ostatniej stronie w zeszycie widniały słowa: „Ta księga domu jest ostatnią z tych, jakie prowadziłam w ciągu mojej długiej kariery. Za kilka dni mój interes zostanie zamknięty na skutek wejścia w życie absurdalnej ustawy Pani Richard. Po przeczytaniu ostatnich stron stanie się jasne, dlaczego postanowiłam nie zniszczyć tego zeszytu. Już dawno wynalazłam dla niego pewną skrytkę, o której tylko ja wiem. Zostawię go tam, gdy będę opuszczać dom. Gdyby przypadkiem któregoś dnia oskarżono mnie o popełnienie owej zbrodni, której prawdziwe okoliczności zostały tu opisane ze wskazaniem rzeczywistego winnego, nikt nie będzie mi mógł zarzucić — gdyż będę daleko stąd — że napisałam ten dokument na własną obronę”.

Tekst wydał się Annie zarazem tajemniczy i ekscytujący. Kusiło ją, by rzucić się od razu na te „ostatnie

strony", o których była mowa w postscriptum, ale by przedłużyć przyjemność, zmusiła się do rozpoczęcia od pierwszej strony, gdzie widniała długa lista rozmaitych napojów, gęsie wątróbki, kawior. Bardziej interesująca była wzmianka u dołu strony: „Panowie Br. i Ch. polecieli mi zorganizować w salonie na piętrze małe przyjęcie dla nich i dwóch przyjaciół. Sporządziłam kosztorys, który ich odstraszył. Skoro są tak skąpi, będą się musieli zadowolić jedną *roteuse* i dwiema dziewczętami na nich trzech". Go to jest *roteuse*, zastanawiała się Anna, a w końcu postanowiła, że zapyta o to Piotra. Była nieco rozczarowana dowiedziawszy się, że termin ten pochodzący z niemodnego już dziś żargonu, nie oznaczał kurtyzany poddawanej pneumatycznym perwersjom, ale pocziwą butelkę szampana.

Dalej, wśród nudnych wyliczeń, odkryła tę smakowitą notkę: „Surowo skarciłam Gladys i Viviane, które zastałam na pieszczotach. Powtórzyłam im to, co mówię wszystkim na wstępie: »Nie życzę sobie, żeby tego rodzaju praktyki męczyły was i osłabiały«. Macie zachować siły i zapał dla swoich klientów. Obie dziewczyny słuchały mnie z minami zbitego psa. Przeprosiły i obiecały już nigdy tego nie robić. Ale ja zupełnie im nie ufam, są fałszywe. Zwłaszcza Gladys. Muszę pomyśleć, czy się ich nie pozbyć."

Anna przez moment pożałowała biednej Gladys, ale czytając dalej uspokoiła się.

„Znalazłam sposób, żeby odseparować Gladys od innych. Przeznaczyłam ją do interesów na zewnątrz. Bowiem niektórzy klienci wolą przyjmować dziewczęta u siebie w mieszkaniach, Kiedy Gladys nie jest na spotkaniu, siedzi sama, zamknięta w małym pokoiku z telefonem. Przynosi zyski znacznie większe niż przedtem."

Anna zastanowiła się chwilę nad tym nie istniejącym już światkiem, z jego surowymi regułami i szczególną moralnością, z drobnymi konfliktami. To musiało być

urocze, niemal rodzinne środowisko, daleko odbiegające od tego bagna, w którym dziś utknęła rozpusta ze swoimi transwestytami, orgiami w Lasku Butońskim, nieletnimi prostytutkami i narkomankami na Polach Elizejskich, z odrażającymi, rozgrzаныmi ulicami; po których snują się wśród pasków do pończoch niezdecydowani i rozczarowani obcokrajowcy.

W domu „Pod Koszem z Kwiatami” wszystko w porównaniu z tym było w dobrym tonie. I nic nie uchodziło uwagi właścicielki. Anna, początkowo uprzedzona z powodu jej surowości, uznała w końcu, że było to konieczne, aby zaprowadzić ład w tym domu bezładu.

Gdy sprawa Gladys została załatwiona, zeszyt ujawnił następną, tym razem dotyczącą Michele.

Po raz kolejny — pisała surowa właścicielka — Michele odesłała klienta, który przyszedł się do mnie poskarżyć w sekrecie. Jeśli to tak pozostawię, za jej przykładem pójda inne i takie praktyki rozpowszechnią się. Moje dziewczęta naturalnie mają tendencję do odwalania roboty, jak robią to ulicznice. A przecież klienci właśnie dlatego przychodzą do mnie, by tego uniknąć. Ukaralam Michele i ujawnilam powód. Jeśli to nie pomoże, wyrzucę ją. Ta dziewczyna doprowadziłaby mnie do bankructwa!”

Biedna Michele — pomyślała Anna. Ale z drugiej strony, dlaczego odsyłała klientów? I dokąd ich odsyłała? Czy właścicielka chciała przez to powiedzieć, że wypędziła ich z domu? A może wysyłała ich na poszukiwanie czegoś, co zostało dla zabawy ukryte w salonie albo w ogrodzie, tak jak wysyła się debiutujących alpinistów na polowanie na Yeti. Właścicielka miała rację, że nie tolerowała takich kaprysów.

Ponieważ zeszyt nie wspominał więcej o Michele, Anna wywnioskowała, że musiała się poprawić. Znów rachunki za napoje i wiktuały. Wynagrodzenie dla barmana. Strasznie mało dostawał — zauważyła Anna. Ale to było w dawnych frankach, a poza tym dochodziły

napiwki. W nowelach Maupassanta panowie, którzy odwiedzali domy „pod czerwoną latarnią” wypijali tam ogromne ilości napojów. Większość z nich zdawała się zresztą tylko po to przychodzić. Barman tak się wzbogacał, że pożyczał pieniądze zgranym wicehrabiom.

Jeszcze jedna historia dziewczyny, która została ukarana za palenie papierosów w barze!

„Klienci udają, że ich to bawi — pisała właścicielka — ale nie idą z nią. Tego rodzaju męskie typy nie cieszą się powodzeniem. Poza tym w oddechu czuć papieros.

Ta kobieta ma zawsze raq'ę — pomyślała Anna. Usłyszała w ogrodzie hałas, jakby ktoś szedł żwirową alejką. Przerwała lekturę i, nadstawiła ucha, ale nie słyhać było nic więcej. Musiało jej się zdawać. A może przemknęło jakieś zwierzę: zabłąkany kot, których tyle było w tej okolicy.

Anna wróciła do zeszytu i kartkowała go szybko. Spieszyło jej się teraz do tych ostatnich stron, które z pewnością kryły jakąś ciekawą tajemnicę.

Gdy tak przebiegła wzrokiem kolejną stronę, rzuciło się jej w oczy pewne imię.

— Florentine — mruknęła sama do siebie. — To imię. dziewczyny-zjawy, którą widziałam poprzedniego wieczoru i która mnie tak wystraszyła!

Poczuła się nieswojo. Ten zbieg okoliczności wytrącił ją z równowagi. Tyle dziwnych rzeczy już się wydarzyło w tym domu.

„Na imię ma Florentine — czytała Anna — i zgłosiła się bez żadnych dokumentów, z jedną małą torbą za cały bagaż. Powoływała się niewyraźnie na jakąś byłą pensjonariuszkę domu „Pod Koszem z Kwiatami”. Ma miłą powierzchowność, wydaje się uprzejma, ale nie mogę jej przyjąć w takich okolicznościach. Tłumaczę jej to. **Zaczyna** płakać. Przez szloch mówi mi, że jestem jej ostatnią deską ratunku. Uciekła z gospodarstwa, gdzie umieściła ją opieka społeczna. Traktowano ją źle, bito, słabo żywiono,

zmuszano do sypiania z ojcem rodziny i dwoma synami. Równie dobrze mogła więc zarabiać aa ulicy. Zadebiutowała na ulicy Blondel. Ale pojawił się problem papierów. Bez papierów narażona była na łapanki. Gdyby ją przesłuchano, przyznałaby się do wszystkiego i odesłano by ją do gospodarstwa. Wtedy to rzekomo jakaś była pensjonariuszka, która pracowała na tej samej ulicy dała jej adres pensjonatu »Pod Koszem z Kwiatami«. Nie do końca wierzę w tę historyjkę. Niepełnoletnie, które chcą pracować w naszym domu, zwykle opowiadają patetyczne historie, by usprawiedliwić brak papierów. Powiedziałam to Florentine stanowczo i pokazałam jej drzwi. Ale ona nie chce wyjść, płacze, opiera się i błaga, żebym ją zatrzymała przynajmniej na tę noc, że nie ma gdzie pójść..." Z ogrodu znów dobiegł odgłos kroków. Anna poczuła ukłucie w sercu. Czyżby złodziej...? Nie, to z pewnością ojciec wyszedł na mały spacer przed snem, by zażyć świeżego powietrza. „Faktycznie świeże — pomyślała — można się udusić”.

Powróciła do lektury:

„...Złamałam się i zgodziłam przyjąć ją na nocleg. Dostanie materac na piętrze, ale nie ma mowy o pracy. Pomimo jej zawodzenia byłam niewzruszona. Nie ma dokumentów, nie zatrudnię jej. Świadcami tej sceny było dwóch czy trzech klientów, z czego nie byłam zadowolona. Zwłaszcza że młody L. patrzył na małą moim zdaniem zbyt cynicznie. Ten chłopiec zawsze mnie niepokoił. Nie wiem, po co tu przychodzi, skoro jest, jak wszyscy twierdzą, pedałem. Ma dziwne upodobania; zawsze życzy sobie, żeby dziewczęta, które wybiera, ubrane były jak podrostki. »Dlaczego na przykład nie w krótkich spodenkach albo w mundurkach?« — zagadnęłam go pewnego dnia, aby się z nim podroczyć i pokazać, że znam się na ekscentrycznych gustach. »A czy to byłoby możliwe« — zapytał jak najpoważniej, z wyrazem dzikiego pożądania.

Podszedł do Florentine podrygując. »Czy mademoiselle napije się ze mną?« »Mademoiselle nie należy do naszego domu, zabieram ją do spania — uciełam. — Proszę powiedzieć barmanowi, żeby przygotował dla niej kanapę. Ale L. nie podniósł się ze swego krzesła i nadał pożerał wzrokiem Florentine. Miał półotwarte usta, jakby łapał oddech. Widziałam, że jego wargi zwilżone niemal spienioną śliną drżały, jakby nie mógł opanować wzruszenia. To prawda, że mała miała wygląd chłopca. Nosiła pumpy, które zaczynały być modne, golf, włosy krótko obcięte, płaskie piersi. Jestem pewna, że nie miała nawet 17 lat! Gdy wstała, żeby pójść ze mną, widziałam wzrok M.L., który obrzucił ją całą spojrzeniem, by następnie zatrzymać się na jej krągłym, małym, zgrabnym tyłeczku, podobnym jak u młodzieńców. »Niech pan przestanie się na nią gapić, powtarzam, że nie ma jej w naszym menu« — powiedziałam do niego. »Nawet jeśli zapłacę podwójnie?« — »Ani potrójnie, ani poczwórnice, powiedziałam, że nie!« Skrzywił się i zajął swoim kieliszkiem. Zostawiłam go nadąsanego i zaprowadziłam Florentine do pokoju na piętrze, tego po prawej..."

To mój pokój — pomyślała Anna. Przeszedł ją dreszcz.

W tym momencie skrzypienie ciężkich kroków na żwirze stało się znacznie wyraźniejsze; usłyszała też suchy trzask, a następnie drapanie w ścianę. Znowu jakieś zwierzę? Kocur na łowach, może sowa? Ale ten ciężki krok? Czy to rzeczywiście był jej ojciec? Anna spostrzegła, że ogród nie był oświetlony. Gdyby ojciec pracował na parterze; jego okno rzuciłoby blask. Serce zabiło jej mocniej, ale zaraz skarciła się, że jest tak tchórzliwa..

„Kiedy zesłam — czytała dalej — L. tkwił tam nadal. Poszłam do kuchni, by wydać polecenia, a gdy wróciłam do salonu, zniknął..."

Anna błyskawicznie zamknęła zeszyt. Z zewnątrz, całkiem blisko, dochodziły hałasy, jakby ktoś wspinał się

po schodach lub po drabinie. Przeżona położyła zeszyt na łóżku i nastawiła uszu. To coś wspinało się po ścianie. To coś szło w jej kierunku, to coś chciało ją skrzywdzić. Chciała krzyknąć, wezwać na pomoc brata, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ściśniętego gardła. Pozostała tak z otwartą buzią, dysząc ze strachu, z oczami utkwionymi w oknie. Na framudze pojawiła się najpierw jedna ręka, potem druga. Następnie przerażająca głowa, z potarganymi włosami, wykrzywionymi ustami i oczami zasłoniętymi maską, zza której okrutnie błyszczały przez szparki. Pomimo przebrania Anna była pewna, lub prawie pewna, że rozpoznała Armanda Lepchot, administratora. Zdradzał go mały wzrost, siwe włosy, tłuściutkie ręce. To odkrycie wcale jej nie uspokoiło, wręcz przeciwnie.

Człowiek, który wspiał się tu przy pomocy wysokiej drabiny z ogrodu, zwykle wspartej o wiśnię, pchnął ręką połówkę okna, które było tylko przymknięte, Anna sypiała bowiem przy otwartym oknie, gdyż nauczono ją, że tak jest higienicznie. W obramowaniu pojawiła się już cała postać. Na usta wystąpiła mu piana, bełkotał: „Kajet, kajet”.

Dziewczyna nie miała już wątpliwości. Skoro, ten człowiek domagał się zeszytu, nie mógł to być nikt inny, tylko niebezpieczny szaleniec administrator. Rzuciła zeszyt pod łóżko i nagle odzyskawszy głos i zdolność ruchu myślała już tylko o ratowaniu własnego życia. Z krzykiem uciekła z pokoju.

Anna nie zauważyła, że zeszyt porwany pędem powietrza osunął się po ścianie i zatrzymał między nią a tapicerką łóżka, później znalazł się na podłodze zaklinowany na grzbiecie przy nodze łóżka.

Człowiek w masce wskoczył do pokoju, myszkował wszędzie, podnosił nawet prześcieradła, rzucał poduszkami o ziemię.

— A przecież go miała, smarkula! Musiała go ze sobą zabrać — wykrzyknął.

Piotr i Jacques Bordineau słysząc krzyk Anny wybiegli na korytarz, a gdy im wszystko opowiedziała, pobiegli czym prędzej do pokoju. Zobaczyli, że okno rzeczywiście było uchylonej ale poza tym nie zauważyli nic szczególnego. Poduszki na ziemi, łóżko w nieładzie — to dało się wytłumaczyć strachem wywołanym przez zły sen.

— Na pewno przyśniło ci się — powiedział uspokajającym ojcowskim tonem Jacques Bordineau; pilnował się, by nie urazić córki i tak doświadczanej w ostatnich dniach.

By ją całkiem uspokoić, dwaj mężczyźni przeszukali ogród. Pod oknami Anny nie było widać żadnych śladów po transportowaniu drabiny. Stała na swoim miejscu, oparta o ziemię. To prawda, że na świeżo przystrzyżonej gęstej trawie nie zachowałyby się ślady po tak krótkim ucisku.

— Niech będzie — zgodziła się niechętnie Anna. —Może mi się to przyśniło. Czytałam i widocznie zasnąłam. Nic dziwnego, że od tamtej przygody śni mi się ten kretyń administrator...

— Jakiej przygody? — zapytał Jacques nagle zaniepokojony.

— Och, nic takiego, opowiem ci — powiedziała pośpiesznie Anna przypomniawszy sobie, że przemilczała przed ojcem swoje burzliwe spotkanie z Armandem Lepchot w pobliżu parku...

Nie przyjmowała do wiadomości, że to był sen. Wszystko było zbyt wyraźne w jej pamięci.

Nie chcę spać w moim pokoju — powiedziała zdecydowanie.

—Dobrze, wstawię twój materac do naszej sypialni, ale nie będzie ci tam zbyt wygodnie — powiedział pojednawczo Jacques Bordineau.

— Wszędzie będzie mi lepiej niż w moim pokoju. Zanim zasnęła na twardym pościeliu, Anna przypomniała sobie, że czarny zeszyt zniknął. Nie widziała go na



łóżku. Była coraz bardziej pewna, że zamaskowanym człowiekiem był administrator, rozpoznała go po wściekłym nosowym głosie. To on musiał go zabrać! Był to dowód, że nie wyśniła tego wszystkiego! Zresztą Piotr widział, jak brała z jego stołu zeszyt i zniosła go do swojego pokoju. Nie chciała po raz kolejny budzić rodziny, ale zaczęła drzeć na całym ciele.

Uspokoiła ją trochę myśl, że skoro szaleniec ma już zeszyt, da jej nareszcie spokój.

## Niepokój

Jacques Bordineau, gdy się przebudził, zdziwił się, że na drodze do łazienki znalazł materac, na którym leżała Anna głęboko pogrążona we śnie. Był tak pewien, że incydent z poprzedniego wieczoru spowodowany był jedynie sennym koszmarem, iż nie przejął się nim zbyt, spał spokojnie i teraz dopiero przypomniał sobie, dlaczego jego córka znalazła się tutaj.

Kiedy przypominał sobie wszystko, znów ogarnęła go złość, za którą winił jednocześnie i skrzaty, i rozpustne pastereczki, i nowe nocne przywidzenia córki. Obudził Annę gwałtownie i nie mówiąc nawet „dzień dobry” kazał jej przejść do swojego pokoju. Nie uczynił najmniejszego gestu, żeby pomóc córce przenieść materac, co Helena Bordineau mu wypomniała.

— Pomóż jej, widzisz przecież, że to dla dziecka za ciężkie!

Udał, że nie słyszy. Czuł się zresztą zbyt zmęczony, by zdobyć się na wysiłek, jakiego od niego oczekiwano. Odkąd Helena odkryła za sprawą nieba czy piekła dar rozkoszy, każdego wieczoru otaczała go swymi zabiegami, na które trzeba było odpowiedzieć. Cała zabawa rozpoczynała się też zaraz po przebudzeniu. Nieraz z żalem wspominał czasy, kiedy majestatyczna cisza wypełniała małżeńską świątynię.

Nagły zły humor ojca pogorszył także samopoczucie Anny, którą nękały wczorajsze wspomnienia. „To nie był sen — mruknęła — i podły administrator był tu napraw-

dę". Ale riadašana nriria ojca zniechęciła ją do przekonywania go o tym, przynajmniej od razu. Znowu określiliby ją jako mistyfikatorkę i po trzykroć heretyczkę. Co do matki, dla której żywiła jedynie czułą pogardę, wiedziała, że nie może na nią liczyć w sytuacjach, kiedy wydarzenia wykraczają poza normalność i trzeba walczyć z aniołem. W zaciszu swojego katolicyzmu, naszpikowana bigoterią Helena Bordineau z rzadka i ostrożnie spoglądała na rzeczywistość. Chociaż ostatnimi czasy Anna zauważyła u niej fantazję, swobodę, a nawet zaskakujący brak szacunku; oczywiście trudno było stwierdzić, czy nie jest to skutek wstrząsów, które rozbiły jej lodowe więzienie.

Anna chciała ubrać swoją czarną skórzaną spódniczkę. Już wczoraj, po wizycie gościa z walizeczką, stwierdziła jej brak, przejrzała swoją garderobę, nie udało jej się jednak znaleźć, podobnie zresztą jak czerwonego płaszcza, w którym było jej do twarzy... Była pewna, że jeszcze czegoś brakuje: na przykład wyszywanych dżkisów, chyba że zaniósła je do farbowania. A na dodatek te zabawki — pamiątki, których nie odzyska.

Wszystko się sprzysięgło przeciwko niej tego ranka. Ojciec był wściekły. Ubranie skradziono — być może podczas prywatki — i mnóstwo tajemniczych sekretów leżących jej na sercu, o których nie mogła z nikim porozmawiać, na przykład istnienie czarnego zeszytu, rzeczywista obecność administratora w jej pokoju poprzedniej nocy.

Ten nadmiar spraw tak ją przytłoczył w drodze do szkoły, że w odruchu wściekłości i buntu — przeciwko rodzinie, światu i Bogu — zawróciła i skierowała się do parku Saint-Cloud. Były to pierwsze w jej życiu wagary...

Jacques za kierownicą swojego samochodu, udając się na zajęcia, złagodniał nieco pod wpływem muzyki z Radio-Lezard. Opuściła go złość i miał nawet wyrzuty sumienia, że gniewał się na córkę i zraził ją sobie. Wyrzucał sobie, że coraz częściej daje się ponieść nie kontrolowanym emocjom. To prawda, że krążyło wokół

niego wiele zagadek, zbyt wiele fantasmagorii bezczelnie tańczyło mu przed oczami. Dziwił się jednak, że jest tak wrażliwy. Cóż warte były jego przekonania, skoro przy pierwszym wyzwaniu irracjonalności waliły się w gruzy. Nieźle musiał się przy nim ubawić Hyperion. Czy rzeczywiście kpił sobie z niego? A może to była litość. Czyż nie przysłał mu tego ekstrawaganckiego „człowieka od skrząców”, jakby chciał udowodnić, że nie obawia się kompromitacji z powodu mitologii. Często powtarzał, że nie należy pogardliwie odnosić się do wody święconej czy do rytualnych gestów plemiennych. Jako przykład cytował też starożytnych Rzymian, którzy, sceptyczni do szpiku kości, poświęcali jednak wszystko bogom. Jacques widział nieraz, jak podczas mszy pogrzebowej czy z okazji ślubu wraz z wiernymi wstawał, siadał, klękał, a nawet skłaniał głowę na Podniesienie. Raptem wszystkie alibi, jakie sobie wyszukał, zmiotła jedna fala wstydu. Poczuł nagle podrażnienie nerwów i jakieś zaburzenie wzroku — i z trudem trzymał się jezdni — gdy pomyślał, że raz na zawsze zblądził się jako filozof racjonalista, dając wiarę groteskowym komediom, które rozgrywały się w pokoju Anny. Miał moment olśnienia, pod wpływem nadmiernego wstydu, gdy przypomniał sobie atak nerwowy, jaki nim wstrząsnął, gdy Anna oświadczyła mu, że zniknęły niektóre jej zabawki i ubrania, dokładnie te, które magik rzekomo zmniejszył, by je podarować Małemu Ludkowi.;. Mały Ludek! Jacques Bordineau zazgrzytał zębami i gwałtownie zahamował, lądując z samochodem na poboczu drogi. Równie dobrze mógł się wpakować w drzewo, tytułem kary za swe bzdurne myśli. Był cały mokry i dużo czasu minęło, zanim się uspokoił.

„Spokojnie — Jacques zaczął rozumować jak racjonalista — to jasne, że magik pó prostu ukradł zabawki i ubrania”.

„Czy rzeczywiście — odpowiadał Jacques ławowierny — po cóż miałby kraść stary samochodzik, połamaną

kolejkę elektryczną i zniszczone lalki? W jakim celu, dla kogo?" . ....

„A może jest kolekcjonerem?" -

„A gdzie ukrył ubrania? W swojej małej walizeczce? Skoro schował tam zabawki, jak twierdzisz, nie było już na nie miejsca. I jak mógł dokonać tych wszystkich sztuczek na twoich oczach?"

„Więc co o tym sądzisz?"

„A jeśli rzeczywiście zminiaturyzował te wszystkie przedmioty? Na seansach londyńskiego Towarzystwa Metapsychicznego widziano nie takie dziwy. I nie zapominajmy, że to Hyperion, supersceptyk, przysłał tego nieprawdopodobnego czarodzieja".

Jacques Bordineau uruchomił samochód kładąc kres tej nierozwiązywalnej debacie, która na dodatek groziła rozgoryczeniem.

Jadąc minął Annę i zdziwił się, że idzie w przeciwną niż do szkoły stronę. Z pewnością zapomniała czegoś z domu i przez to się spóźni. Możliwe, że to przez niego, wytrącona z równowagi z powodu jego złego humoru, zpomniała zabrać jakiejś ważnej książki czy zeszytu. Zatrąbił na nią, ale nawet nie podniosła głowy; na pewno była zła i uparta. Nie miał jej tego za złe, przeciwnie, ogarnęła go fala wyrzutów sumienia pomieszanych ze wzruszeniem. Wyrzucał sobie, że nie potrafił obronić jej przed fantazjami i urojeniami małej egzaltowanej dziewczynki. Czy rzeczywiście były urojeniami te nagle ozywające postacie z tapet z Jouy, te nie zamierzone ataki na Annę jej rodzonoego ojca, brata, a nawet matki, te nocne zjawy natarczywe i częste, które ją dręczyły? Czy złudzeniem były także te dziwne dziewczyny, które pojawiły się na prywatce, a które w sposób bardzo dokładny i zgodny opisali mu Piotr i Anna?

Przebiegł go dreszcz. A jeżeli administrator rzeczywiście wtargnął do pokoju Anny ostatniej nocy? Jeśli to nie był sen?

Fakt, że drabina stała na swoim miejscu, przy wiśni, kiedy poszedł spenetrować ogród, o niczym nie świadczył; Drabina jest lekka, łatwo ją przenieść. Powinien był sprawdzić, czy nie ma zadrapań na futrynie okna.

Ogarnęła go panika, przypomnij sobie niejasne groźby Armanda Lepchot: „Proszę pamiętać, panie Bordineau, że ma pan dzieci...”

— Anna...

Nagle zawrócił i zaczął jechać w kierunku domu. Ale nie spotkał córki. Nie mógł jej przeoczyć, gdyby rzeczywiście wróciła po coś do domu „Pod Koszem z Kwiatami”.

Jacques Bordineau zbity z tropu dojechał do samego domu, gdzie Helena, w wolnym od pracy dniu, krzątała się w fartuchu. W tym dniu urządziła zawsze wielkie porządki.

Przywitała go ze złością:

— Przyjechałeś, żeby mi się tu plątać?

— Nie widziałaś przypadkiem Anny?

— Już dawno wyszła.

.— Chodzi mi o to, czy nie wróciła?

— Głupie pytanie! Dlaczego miałyby wracać?

— Po nic... po nic... myślałem...

Helena, zajęta swoimi sprawami, wzruszyła ramionami i nie próbowała dociekać.

Jacques ruszył z powrotem, na próżno usiłując pokonać głuchy niepokój.

Okolo południa Helena Bordineau poszła odkurzyć w pokoju Anny. Odsunęła łóżko i uwieczony między nim a ścianą czarny zeszyt wypadł na płask. Helena Bordineau podniosła go i pomyślawszy, że to szkolny zeszyt Anny, położyła go na stole. Gdy zauważyła, że jest poplamiony gipsem, zaczęła go czyścić; w końcu zabrała ze sobą do kuchni i rzuciła na kredens, obiecując sobie, że później dokończy czyszczenie papierem ściernym. W końcu zapomniała o nim .

## Porwanie

Anna skierowała swoje kroki do parku Saint-Cloud. Gdzież indziej w tej dzielnicy bez wyrazu można by się udać na wagarzy?. Nie przyszło jej do głowy, żeby pojechać do Paryża, gdzie mogłaby się włóczyć po bulwarach albo po salach Luwru, które są ogrzewane i poza interesującymi obrazami oferują zwiedzającym wygodne ławki.

Nie miała głowy do rozrywek. Park ze swoją melancholijną jesienną aurą lepiej współgrał z jej nastrojem. Trudno iść się zabawiać w Paryżu, mając serce pełne obaw i żalów.

Niewiele dzieci — trzeba to podkreślić — potrafiłoby znieść tak długo tajemnicze prześladowania, których Anna stała się przedmiotem w domu „Pod Koszem z Kwiatami”. Spacerując alejkami usianymi złocistymi liśćmi robiła w duchu wstrząsające zestawienie: prowokujące zachowanie pasterek i baranków, jakieś lubieżne zjawy kobiet jednocześnie łagodne i przerażające, a na koniec bulwersujące pojawienie się Florentine i jej nie mniej patetyczne zniknięcie. Anna z przerażeniem wspomniała również ataki, których dotąd — można powiedzieć, że cudem udawało się jej uniknąć. Za każdym razem w tych sytuacjach miała wrażenie, że jej agresor, występujący początkowo pod postacią jakiegoś monstrum, a następnie wcielający się kolejno w jej ojca, brata, wreszcie matkę, był jakby zainspirowany przez jakiegoś tajemniczego reżysera i odgrywał rolę, która na skutek ciągłego powtarzania stawała się jakby jakimś ostrzeżeniem.

Anna z przerażeniem dotknęła rękami szyi; przed oczyma stanęła jej sina twarz Florentine, gdy dusiły ją czarne szjfeny.

Ze złością rozgarniała nogą suche liście. Bała się, to zrozumiałe, ale przede wszystkim złościło ją, że nie może się nikomu zwierzyć ani na nikim oprzeć.

Ani na ojcu — okazał się przecież tak słaby i ulegający nastrojom, i równie szybko ze sceptyka stawał się łatwowierny, jak z czułego brutalny.

Ani na matce, która by jedynie wpadła w panikę i poleciła jako lekarstwo różaniec i świece. Również katecheta nie mógł jej w niczym pomóc; z pogardą odrzucała teraz jego manichejskie wyjaśnienia.

Niech sobie ksiądz w piekle szuka swoich diabłów z obrazów z Epinal! Moce, które ją prześladowały, nie były całkiem złe ani całkiem dobre, nie mogły być to zatem ani demony, ani anioły. Z jednej strony narzucały jej lubieżne myśli i obrazy, z drugiej jakby chciały ją ochronić, przestrzec przed jakimś czyhającym, nie znanym niebezpieczeństwem.

Doświadczenia Anny uczyniły z niej cyniczną realistkę. Z tej perspektywy ksiądz Florian wydał się jej nagle jakiś mały, karykaturalny i jakby okaleczony przez swoje ideologiczne protezy i maski nowoczesnych księży.

Kiedy samochód ojca przejeżdżał koło niej, nie podniosła głowy. Czy coś jeszcze łączyło ją z ojcem? Gdzie znikły te czasy, kiedy mieli wspólne tajemnice? Wszystko teraz przed nim zatajała, zarówno niemiłe spotkanie z Armandem Lepchot na opustoszałych ulicach Saint-Cloud, jak i domaganie się przez administratora enigmatycznego czarnego zeszytu. Jej zaufanie do ojca tak bardzo osłabło, że tego ranka nie miała nawet ochoty przekonywać go o swej pewności, iż administrator rzeczywiście nawiedził ją poprzedniej nocy, posługując się drabiną z ogrodu, i wskazać mu dowody.

Anna poczuła się bardzo osamotniona i było jej smut-



no. Krajobraz parku odpowiadał ternu uczuciu; strzępy mgły osiadającej na oszronionych gałęziach stanowiły fantasmagoryczną, zmieniającą się ciągle dekorację. Toteż pojawienie się na jakimś zakręcie alejki Kota w Butach, w kapeluszu z piórami i burach z cholewami, lub Ośleji Skórki z płaczem opuszczającej swój przeklęty zamek nikogo by nie zdziwiło.

Anna przyspieszyła kroku. Wspomnienia wzbudziły w niej niepokój. Przenikał ją wilgotny chłód. Nie była przyzwyczajona do tych lodowatych leśnych mgieł. W duchu pomyślała, że węgry, podobnie jak kąpiele morskie, z prawdziwą przyjemnością można praktykować jedynie latem. Pomyślała też, że jeszcze mogłaby wrócić do szkoły i usprawiedliwić się. Spóźniłaby się niewiele ponad pół godziny. Gdy tak szła ze spuszczoną głową, przeżuując swoje myśli, Anna zagłębiała się coraz dalej w park i nie za bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Próbowwała zorientować się według położenia słońca. Ale akurat mgła przysłoniła je. Postanowiła iść prosto przed siebie. W końcu przecież dotrze do wyjścia. Szła teraz szybko, prawie biegła, zmarznięta i trochę przerażona pustką w parku. W pobliżu nie było nikogo, w którąkolwiek stronę się skierowała. Nawet strażnika. Widocznie grzał się teraz w kącie przy kominku w swojej altance.

Zbliżyła się do drogi z nadzieją, że znajdzie tam jakiś drogowskaz. Gdy zatrzymała się na chwilę i jedną ręką wsparła o drzewo, drugą wytrzepywała z buta kamień, jej czujność obudził szelest deptanych zeszlętych iisici.

Czyżby ktoś ją śledził? „, znów się zaczynało jak poprzednim razem, gdy administrator gonił za nią od drzewa dó drzewa. Pobieglą **W** kierunku drogi, gdzie spodziewała się złapać jakiś przejeżdżający samochód. Jej prześladowca zbliżał się. Miała wrażenie, że słyszy głos dobiegający z oddali, jakby z nieba albo z unoszącego się wysoko balonu, i odróżniła słowa: „Idź w lewo, idź

w lewo". Bez żadnego powodu usłuchała i skręciła w przecznicę. Po przebiegnięciu kilkuset metrów zwolniła i nasłuchiwała. Zdawało się, że prześladowca zgubił jej trop. Usiadła na chwilę pod drzewem, by złapać oddech. Skrzypnęła gałąź i Anna skoczyła na równe nogi. Odnalazł ją! Zbliżał się drobnym truchtem. Znow zaczęła biec, ale doganiał ją. I znowu usłyszała nad głową krzyk, w którym wyróżniła słowa: „Skręcaj w prawo, skręć w prawo". Dostrzegła ledwo widoczną ścieżkę odchodzącą w prawo i rzuciła się w nią pędem. Zyskała moment wytchnienia. Ta niezwykła opieka zdumiewała ją i przerażała zarazem. Czyż nie przypominała tej opieki, jaką mały Mats i Asa otoczeni zostali podczas pęknięcia lodów na jeziorze Hjelmarm przez Nilsa Halgersona, gdy ten odbywał powietrzną podróż wraz ze stadkiem dzikich gęsi? Z tą różnicą, że w przypadku Anny był to głos kobiecy, a nawet chór kobiecych głosów.

Ślad Anny był jednak zbyt widoczny i ścigający odnalazł go szybko. Deptał jej po piętach. Dyszał. Czuli go tak blisko, że spodziewała się, iż za chwilę jego ręka schwyci ją za włosy. I znow dał się słyszeć głos: „Skręć w lewo". Ale w tej samej chwili Anna zauważyła po prawej, w prześwicie lasu, ogrodzenie parku i wydało jej się, że łatwiej będzie o ratunek w tym kierunku, gdzie na pewno znajdzie wyjście. Było to błędne rozumowanie, musiała bowiem pokonać odkryty teren, gdzie prześladowca natychmiast zyskał przewagę. Niemal czuła jego oddech na karku. Czy mimo wszystko nie lepiej będzie widzieć nadchodzący ostateczny cios — jeżeli taki miał nadejść — niż otrzymać go zniemacka? Anna zobaczyła wówczas zastygłego w biegu, o kilka kroków od niej, zasapanego i spoconego człowieka, którego tożsamość od kilku chwil, jak się obawiała, odgadła. Znow ten odrażający administrator! Przypomniła sobie, że podczas jego pierwszego ataku łatwo sobie z nim poradziła i nawet zraniła go dość poważnie. To wspomnienie trochę ją

uspokoilo i dodalo odrobine pewnosci siebie — niech ten czlowiek cierpi tysiaczkrotna smierc., Bylo jednak nieostroznoscia z jej strony zblizac sie do szalenca, ktorego konwulsyjne ruchy winny byly ja przestrzec. Mogla uciec. On wprawdzie biegal szybciej od niej, ale prędko sie męczył. Mogla go zgubic. Przechodząc nagle od strachu do nadmiernej pewnosci siebie Anna rzucila mu w twarz: — Co cie napadlo, nędzny stary glupcze, zeby tak za mna biegac! Chcesz zostac kaleka? Zaczela szukac wokol siebie jakiegoś kamienia albo grubego kija, ale nic takiego nie znalazla, Armand Lepchot zblizył sie na odleglosc ręki i Anne znów ogarnal lek. — Wiesz dobrze, czego chce — zaskrzeczal szaleniec. — Nie, nie mam pojecia! — odkrzyknęla Anna. — Oddaj czarny zeszyt, który czytalaś wczoraj wieczorem w łozku. A wiec to byla prawda, rzeczywiście byl u niej! — Rzucilam go na łozko, kiedy uciekalam — powiedziala Anna slabym głosem — a pan go zabral. Jestem tego pewna, bo go tam juz nie bylo, jak wrócilam, do pokoju z moim ojcem i bratem. — Niczego nie bylo na łozku i przeszukalem cały pokój; bez skutku. Zabralas go ze soba, zeby oddac ojcu, taka jest prawda! — krzyczal poirytowany administrator. Annie wydaló sie, ze znalazla sposob na wyjście z opresji. Udalá zdemaskowaną kłamaczuchę i ze skruszoną miną wyznala: — Tak, rzeczywiście, zabralam go ze soba i oddalam ojcu. Sądziła, ze skoro przyznala, iz zeszyt nie byl w jej posiadaniu, i wskazala, kto go aktualnie ma, Armand zostawi ja w spokoju i pozwoli odejsc. Ale stalo sie inaczej. Zlapal ja mocno za rękę i biegł,, popychajac w kierunku drogi, gdzie stal zaparkowany zielony samochod. Anna rozpoznala starego volkswagena administratora.

— Dlaczego nie zostawi mnie pan w spokoju? — szlochała. — Przecież powiedziałam, gdzie jest czarny zeszyt. Może się ^ari zwrócić do ojca.

— On mi go nie da. Wiem, że chce mnie zgubić. On mnie nienawidzi. Ma do mnie pretensje. Życzyłby sobie zobaczyć mnie w grobie albo w najstraszniejszym z lochów.

W tym momencie Armand Lepchot zrobił krótką przerwę, jakby, się zastanawiał, i dodał szyderczo,

— Nie bardzo wiem, dlaczego mnie nienawidzi i czego nigdy mi nie wybaczy.

Przerwał i ściągnął brwi, jakby żałował, że za dużo powiedział.

— To znaczy, uprzedził się do mnie, ponieważ jest przekonany, że zhańbiłem go. Boi się, że będę się tym chwalił, że to rozgłoszę i go zniesławię!

Głos administratora stawał się coraz wyższy. Piszczął teraz jak wściekły kot.

— Cóż to za historia? — z wysiłkiem wysapała Anna ciągnięta przez krzaki.

— Nieważne! Wiem, że pilno mu będzie, żeby zanieść czarny zeszyt na policję. Teraz na pewno go czyta. Nie ma ani chwili do stracenia!

Gdy dotarli do volkswagena, otworzył drzwiczki z prawej strony i rzucił Annę na siedzenie z taką siłą, że przez moment była pozbawiona czucia. Obiegł samochód, wszedł z impetem drugimi drzwiami i zanim Anna zdołała zrobić jakikolwiek gest, ogłuszył ją niemal uderzając grzbietem dłoni. Wyciągnął ze skrytki butelkę, której zawartość wylał na złożoną we czworo, przygotowaną wcześniej chusteczkę do nosa. Zakneblował nią usta Anny, przytrzymując jej głowę drugą ręką, wczepioną we włosy.

Wszystkie te czynności wykonywał z taką precyzją i pośpiechem, jakby miał je doskonale opanowane przez wielokrotne powtarzanie.

Pod wpływem eteru Anna dusiła się i broniła coraz

słabiej. W końcu poddała się zamroczeniu. Gdy wróciła jej świadomość, miała związane dłonie i nogi w kostkach i skórzonym paskiem przytwierdzone do siedzenia.

Volkswagen podskakiwał na leśnych alejkach, zarzucało nim, o mało co nie zahaczył o słupek przy bramie wyjściowej i w gwałtownym poślizgu wydostał się na wąskie uliczki Saint-Cloud.

Administrator z obłędem w oku pędził na złamanie karku, nie zwalniając na skrzyżowaniach ani na światłach. Białe końce palców zaciskały się na kierownicy.

„Z pewnością spowoduje wypadek” — pomyślała Anna zastanawiając się, czy powinna sobie tego życzyć. W razie zderzenia, gdyby volkswagen się zapalił, chyba nie wyszłaby z tego cała, będąc tak powiązana. Zważywszy na sytuację, w jakiej się znalazła, zachowywała za, dziwiający spokój. Skoro administrator nie zabił jej od razu, chyba można było mieć nadzieję?

Volkswagen pędził teraz po szerokiej drodze. Administrator zdjął na chwilę nogę z gazu.

„Nie boi się już pościgu” — powiedziała sobie w duchu Anna.

I tak była przekonana, że nie było nikogo w chwili porwania w parku Saint-Cloud.

„To wariat — skwitowała — ale jest ostrożny i dokładny. Tego typu ludzie nie przelewają krwi bez potrzeby, A zresztą, dlaczego miałyby mi zrobić coś złego?”

Armand Lepchot sam dostarczył jej odpowiedzi w chwilę później, kiedy zbliżali się do mostu Sartrouville.

— Zobaczymy, mój ptaszku — powiedział głosem pełnym słodyczy, który zadawał kłam rozpalonym oczom — zobaczymy, czy twój tatuś będzie przedkładał bezsensowną i głupią zemstę nad życie córki. Na widok kawiarni wolno stojącej przy drodze zwolnił i zatrzymał samochód trochę dalej, w przecznicy, Upewnił się co do więzów Anny, dodał knebel i pobiegł do kawiarni, by zatelefonować.

## Spotkanie

"Woźny dyskutował przez telefon: — Nie mogę przeszkadzać panu profesorowi w zajęciach. Proszę zadzwonić później. Wykład kończy się o 11.00.

Rozmówca pieklił się. Profesor Bordineau musi podejść do telefonu! Chodzi o sprawę niezwyklej wagi! Woźny jeszcze się wahał.

— Mogę przekazać profesorowi jakąś wiadomość.

— Niech natychmiast podejdzie do aparatu — ryczał obcy głos na drugim końcu drutu. — Jak. się dowie, że kazał mi pan czekać, wyleje pana, może pan być pewien.

Woźny stawiał się.

— Mam swoje zasady, przyjmuję rozkazy jedynie od moich przełożonych. Skoro nie chce pan zostawić wiadomości, odkładam słuchawkę.

— Nie! Nie! — błagał głos — proszę nie odkładać! Niech pan biegnie powiedzieć profesorowi, że ten telefon dotyczy jego córki i że jej życie jest w niebezpieczeństwie.

— Jego córki!

— Tak, jego córki Anny.

Przerażony i pełen obaw, że ryzykuje swoje stanowisko zwlekając z zawiadomieniem Bordineau, woźny popędził i wpadł niczym huragan do sali wykładowej, w której profesor ód pół godziny rozwodził się na temat wpływu ludowych rytuałów animistycznych na liturgię katolicką w XIII wieku. Temat bardzo ńa czasie...

U komisarza policji Jacques Bordineau rozkleił się:

— Wiedziałem — płakał — że wiśi w powietrzu jakaś katastrofa i spadnie na Annę.

— Jak to wiedział pan? — wypytywał zaintrygowany komisarz.

— Och, nieważne! — westchnął Jacques— powiedzmy, że to było coś w rodzaju przeczucia. Co mam teraz zrobić?

— Nie ma pan obowiązku informować mnie o wszystkim, co pan wie — powiedział zirytowany komisarz. — Skądinąd jest jasno określone, co pan ma zrobić. Termin .ultimatum upływa w południe.

— Jak to, jasno określone? Czy pana zdaniem mam się stawić na spotkanie?

— Oczywiście. Przynajmniej, jeśli życzy pan sobie zobaczyć córkę żywą. Powinien pan tam pędzić. I to sam! Oczywiście będziemy w pobliżu, możliwie jak najdyskretniej.

- Nawet nie znam tej byłej gazowni w Sartrouville.

— Łatwo ją znaleźć. Ja ją znam. Pokażę panu na planie. To dobre miejsce na tego typu spotkanie.

Prawdziwy labirynt zrujnowanych hangarów i chwiejących się kolumn destylacyjnych. Niemożliwe, żebyśmy tam znaleźli tego ptaszka. Nawet trudno byłoby go osaczyć. Jeśli ukrył się tam z pańską córką, najrozsądniej będzie pertraktować. I właśnie to jest pańskie zadanie.

Zrobił pfzerwę, po czym dorzucił obojętnym tonem:

— Jeśli taka jest pańska wola.

— Czyżby pan w to Wątpił, panie komisarzu? — wykrzyknął Jacques, którego ta odzywka poderwała na równe nogi.

— Nie wątpię, nie wątpię — mruknął komisarz; Ale faktem jest, że nie powiedział mi pan wszystkiego. Czy nadal upiera się pan przy stwierdzeniu, że nie wie pan nic o czarnym zeszycie, którego żąda ten szaleniec jako okupu za córkę?

— Tak, upieram się przy tym stwierdzeniu, jak to pan określił.. Armand Lepchot wielokrotnie prześladował mnie, domagając się zeszytu, którego nigdy nie widziałem, nie wiem, co zawiera, i który, jak mi się zdaje, jest wytworem jego chorego umysłu, ponieważ indagował o niego już poprzednich lokatorów.

— Ale przecież powiedział panu przez telefon, że widział go w rękach pańskiej córki. Określił dokładnie, kiedy i gdzie, a pan przyznał się, że poprzedniej nocy córka przekonywała pana, jakoby administrator złożył jej wizytę włamawszy się do pokoju. I że pan ją zbył, zapewniając, że się jej to przyśniło.

— Niestety — jęknął Jacques Bordiheu. — Jakże mogłem uwierzyć w jej opowiadanie!

— A córka nic nie wspomniała na temat tego słynnego zeszytu?

— Nie... a przecież mówi mi o wszystkim! Komisarz skrzywił się.

— Wszyscy ojcowie tak sądzą. Jacques podniósł się gwałtownie.

— Trzeba już iść.

— Zawiozę pana — powiedział komisarz. — Nie jest pan w stanie utrzymać kierownicy. A poza tym nie zna pan tej okolicy. Wysadzę pana niedaleko wejścia do gazowni. Dalej będzie musiał pan sobie radzić sam. Jacques złapał się za głowę.

— A czarny zeszyt, o który się dopomina! Nie mam go. Nigdy go nie widziałem. A przecież o to mu chodzi!

Komisarz spojrział na niego ze współczuciem.

— Naturalnie pomyślałem o tym — powiedział. Wyjął z segregatora oprawiony na czarno zeszyt i podał go profesorowi.

— Ponieważ chodzi mu prawdopodobnie o notes z zapiskami lub księgę rachunkową prowadzoną bądź przez barmana dawnego lokalu „Pod Koszem z Kwiatami” z czasów, gdy był jeszcze domem publicznym, bądź



przez jedną z tych dam albo szefową — ten, wyciągnięty z zapasów naszych materiałów, jest z pewnością do niego podobny.

W samochodzie Jacques Bordineau zasypał komisarza pytaniami:

— Na jakiej podstawie twierdzi pan, że zeszyt, którego domaga się Lepchot, mógł być prowadzony przez kogoś z personelu dawnego burdelu?

— Nie mogę tego panu powiedzieć — sucho odparł komisarz.

— Mam prawo wiedzieć — zaprotestował profesor.

— W tym przypadku nie ma pan żadnego prawa. Wręcz przeciwnie.

— Nie rozumiem, co chce pan przede mną ukryć?

— Ukrywam to, co powinienem ukryć. Mogę tylko powiedzieć, że mam akta pańskiego administratora. Ale akta te były gromadzone od dawna. To sprawa, która się zakończyła, zanim się jeszcze zaczęła. Z braku dowodów, z braku świadectw. Dochodzenie nie zostało wszczęte. W związku z tym nie można nawet mówić o umorzeniu. Nie było dalszego ciągu. Zresztą dawno już nastąpiło przedawnienie.

Komisarz zachnął się zirytowany.

— Opowiadam panu to wszystko, ponieważ jest pan zbulwersowany. Widzi pan, skoro uporządkowano akta, nie ma prawa nawet wracać do sprawy. Ale nie chciałem, żeby odniósł pan wrażenie, idąc na to przykre spotkanie, iż coś przed panem ukrywam.

— Dziękuję panu — powiedział głucho Jacques.

Od jakiegoś czasu poruszali się wśród tragicznej scenerii: we mgle majaczyły widma zbiorników gazowych, w których rdza powygryzała kratery; zdawało się, że zaatakują ich szkielety kolumn destylacyjnych; pomiędzy nimi ogromne hangary, poczerniałe od sadzy, z powybijanymi szybami.

— Wysadzę pana tutaj — powiedział komisarz. —

Dojdzie pan do uliczki w dole, a stamtąd zboczy pan po lewej, w Odległości około stu metrów, wejście do fabryki, drzwi i kraty już dawno zostały wyłamane przez zbieraczy złomu, wejdzie więc pan bez trudu. Radzę stosować się dokładnie do poleceń Lepchota: winien pan dojść do trzeciego hangaru po prawej licząc od wejścia; stanąć przed nim w odległości pięćdziesięciu kroków i czekać, trzymając w prawej wyciągniętej ręce czarny zeszyt.

— Na co czekać? — jęknął Jacques. — Co on może mi zaproponować?

— Powszechnie dobrze wiadomo, jak w dzisiejszych czasach odbywają się tego typu wymiany: zakładnik za okup lub dokument. Przyprowdzi zapewne pańską córkę i będzie ją trzymał przed sobą prawdopodobnie powiązaną i zakneblowaną. Każe rzucić sobie pod nogi zeszyt. Porwie go i zniknie w labiryncie fabryki.

— Czy jest pan pewien, że nie zabierze ze sobą mojej córki?

— Tak, tego jestem pewien". Będzie miał to, na czym mu zależało: odzyska zeszyt bez świadków. Teoretycznie nie będzie pan mógł nawet zaskarżyć go o kidnaping.

— Może być pan pewien, że to zrobię! — wykrzyknął Jacques Bordineau.

— Nie jestem pewien, czy będzie leżało to w pańskim interesie, zwłaszcza jeśli ten maniak pozostanie na wolności — zauważył komisarz.

— Jak to! Nie zaaresztuje go pan?— wykrzyknął profesor.

- Już panu tłumaczyłem, że niemożliwe byłoby otoczyć ten kombinat w sposób niezauważalny.

Trzeba by ufyć do tego ogromnych sił. A to mogłoby zaszkodzić pertraktacjom. Ponieważ nie złapiemy go na gorącym uczynku, nie będziemy mieli żadnych dowodów przeciwko niemu, chyba że wniesie pan skargę, czego prawdopodobnie pan nie uczyni w obawie, by znów nie targnął

się na pańską córkę, zanim prokuratura przedsięwzie jakieś środki ostrożności. To błędne koło.

— Nie może być mowy o tym, żeby pozostał na wolności! — krzyknął Jacques.

— Najlepszym wyjściem będzie tatemowanie go w zakładzie psychiatrycznym — powiedział komisarz. — Już ja się tym zajmę. To będzie skuteczniejsze niż więzienie.

Jacques wysiadł z samochodu. Znim się oddalił, jeszcze się zawahał.

— A jeśli zorientuje się, że zeszyt jest czysty, czy nie zacznie się wszystko od nowa? Przede wszystkim zaatakuje mnie i będzie chciał odebrać córkę.

— Nie jest wykluczone, że z ulgą stwierdzi, iż zeszyt jest pusty.

— Nie rozumiem.

— Powtarzam panu, że tego nie mogę wyjaśnić... Co do pańskiej córki, jak tylko pan ją odzyska, proszę nie zwlekać i udać się z nią w bezpieczne miejsce. Proszę pamiętać, że będziemy niedaleko. Gdy Jacques zaczął się oddalać, komisarz przywołał go i wręczył mu małe czarne pudełko, wielkości paczki papierosów.

— To kieszonkowy nadajnik. Gdyby zaszła potrzeba, proszę nacisnąć guzik.

Od chwili wejścia do fabryki Jacques'a zdumiała cisza panująca na tym ogromnym żelaznym cmentarzysku. Od czasu do czasu przerywała ją jakaś żałosna skarga. To wiatr gwizdał w ruchomych rurach.

Dokładnie odliczył: jeden, dwa, trzy hangary. Od drzwi do trzeciego odmierzył pięćdziesiąt kroków i zastygł pośrodku podwórza skierowany twarzą do hangaru. Tkwił tak trzy minuty wpatrując się intensywnie w drzwi, tak że oczy wkrótce zaczęły go palić, Czas. minął. Spojrzał na zegarek.

Brakowało kilkunastu minut do dwunastej, terminu ultimatum. Ogarnęła go panika, chciał krzyknąć, aby zasygnalizować swoją obecność. Jak to

bywa w koszmarach sennych, z jego gardła wydobył się jedynie słaby głos. Podniósł kamień i cisnął nim z całej siły o drzwi hangaru, które długo wibrowały pod wpływem uderzenia. W ciszy wymarłej fabryki najmniejszy hałas rezonował niczym wystrzał. Zapadła jeszcze głębsza cisza.

jakieś skrzypnięcie dobiegło z głębi hangaru, co obudziło czujność Jacques'a. Ktoś nadchodził z lewej strony. Słysząc było dźwięczne uderzenie, a po nim metaliczny hałas, jakby przewrócono jakiś słup. Nagle pchnięte od środka drzwi otwarły się szeroko i głos Armanda Lepchot, zadziwiająco wyraźny i wzmocniony przez te żelazne ruiny niczym przez megafon, powiedział:

— Wyjdę z pańską córką. Pan zostanie na miejscu z rękami w górze. Jak dam znać, rzuci pan czarny zeszyt w połowie drogi pomiędzy nami. Wtedy puszcze dziewczynę. Będzie pan nadal trzymał ręce w górze, dopóki nie dobiegnie do pana i dopóki ja nie podniosę zeszytu. Czy dobrze pan zrozumiał?

— Zrozumiałem — odpowiedział Jacques, najgłośniej jak potrafił.

Armand Lepchot pojawił się w drzwiach, prowadząc przed sobą Annę, jak to przewidział komisarz. Trzymał ją brutalnie za włosy, odciągając głowę do tyłu. Dziecko miało związane ręce w przegubach. Kostki były tylko spętane. Mogła iść drobnymi kroczkami jak lalka.

— Proszę mi pokazać zeszyt! — krzyknął Lepchot.

— Przecież go pan widzi — powiedział Jacques nagle zaniepokojony, wymachując zeszytem nad głową.

— Jak mi pan udowodni, że to ten właściwy?

— Nie bawiłbym się w oszukiwanie pana, Lepchot, marzę jedynie o uratowaniu dziecka.

— Wyciągnie pan w moim kierunku otwarty zeszyt, trzymając obiema rękami, i będzie pan przewracał kartki.

Jacques przerażony zastanowił się, czy nie nadszedł

moment, by nacisnąć guzik czarnego pudełeczka. Po czym przypomniał sobie słowa komisarza: ' być może Lepchot będzie zadowolony, gdy się przekona, że w zeszyt nic nie ma. O ile będzie w stanie rozpoznać to na taką odległość. Ależ tak... naturalnie... z tej odległości nie mógł widzieć, czy kartki są zapisane, czy nie. To miał być zwykły chwyt dla upewnienia się. Należało zrobić to, czego zażądał, nie okazując wahania.

Jacques trzymał w górze otwary zeszyt i kartkował go.

Ale zdarzyło się coś, czego nie przewidział... Lepchot wyciągnął z kieszeni maleńką japońską lornetkę, przyłożył ją do oczu i starannie wyregulował...

— Oszukał mnie pan! — wrzasnął nagle, w tym zeszyt nic nie ma. To nie jest ten zeszyt z domu „Pod Koszem z Kwiatami”!

— Ależ tak, ależ tak — Jacques starał się przybrać pewny ton — skoro nic w nim nie ma, to znaczy, że nie ma i to wszystko. '

— W zeszyt było pełno zapisków, widziałem go setki razy. Pan wie, że o tym wiem. Niech pan nie próbuje dłużej mnie okłamywać. Zaniósł pan zeszyt na policję albo wkrótce pan to zrobi. Zapłaci za to pańska córka!

I Lepchot z odrażającym śmiechem, ciągnąc Annę za włosy, zniknął za drzwiami hangaru, które zatrzęsnał, wywołując w tej ogromnej hali długi, głęboki grzmot.

Jacques rzucił się za nim, otworzył drzwi i znalazł się wśród stosu metalowych beczek poukładanych jedna na drugiej. Nie spospb ścigać i odnaleźć kogokolwiek w tym labiryncie.

Wyszedł na podwórko, zrobił parę kroków z sercem 'ściśniętym z niepokoju i złości. Tak, powinien był się na niego rzucić i wyrwać córkę temu obłąkańcowi, choćby za cenę życia, gdyż tamten na pewno był uzbrojony. A gdyby to Anna padła ofiarą? Jęknął z bezsilności i chwycił się rękami za głowę.

Hałas przewracanych beczek dochodzący z głębi han-

garu wyrwał go z tego stanu niezdecydowania. Lepchot uciekał, a Anna wciąż, pozostawała zakładniczką...

Jacquds Bordineau szybko podniósł głowę. Przestał się wahać. Pozostawało mu tylko jedno... Zanurzył rękę w kieszeni, wziął czarne pudełko i nacisnął guzik.

## **Fatalny upadek**

Policja licznie obsadziła wszystkie skrzyżowania ulic graniczących z gazownią.

— W czasie gdy pan pertraktował, ja zdążyłem wezwać posiłki — powiedział komisarz do profesora.

— Sytuacja jest lepsza, niż przypuszczałem. Teren gazowni wyraźnie wyznaczają szerokie ulice. Nasz poszukiwany jest osaczony. Pozostaje teraz znaleźć go w tym labiryncie, a to może być niebezpieczne, jeśli jest uzbrojony.

— To przede wszystkim może być niebezpieczne dla mojej córki.

— Proszę się nie obawiać, mam doświadczenie. Nigdy nie usiłujemy zdybać zwierzyny w jej norze<sup>^</sup> ale raczej delikatnie zwabić ją w nasze sieci.

Policjanci przeczesywali dawną fabrykę budynek po budynku. Gdy jakiś teren został oczyszczony, kordon przesuwał się naprzód.

— Oto on! — wykrzyknął inspektor.

Lepchot trzymał zakładniczkę w talii, przyciskając ją do siebie. Tak wyłonił się z kryjówki, do której policja ostrożnie się zbliżała, metr po metrze. Rzucił się do ucieczki przez szerokie podwórze otoczone zabudowaniami, z których okien widoczne już były kaski specjalnych oddziałów.

Zawahał się. Trochę dalej znajdowały się inne kryjówki, które jeszcze nie zostały wykryte. Ale pociągnąłby za sobą wszystkich, którzy go tropili. Wymknąłby się im

jedynie po to, by wpaść w pułapkę nieco dalej, pogarszając tym swoją sytuację.

— Mańry go! — wybuchnął komisarz. — Musimy być teraz bardziej ostrożni.

Wydał zalecenia. Pościg miał trwać nadal, ale w nieco innej formie. Policjanci mieli zbliżać się powoli, dobrze widoczni, nie wyciągając broni. Na wypadek gdyby ścigany się ujawnił, mieli zatrzymać się i czekać, aż ón pierwszy przemówi.

Komisarz stuknął w megafon sprawdzając, czy działa.

Lepchot przemierzył podwórze do połowy i nagle zmienił kierunek. Biegł wlokąc Annę w kierunku gigantycznego gazometru.

Komisarz i profesor nie mogli go teraz widzieć. W czasie gdy przebiegali, by zmienić punkt obserwacyjny, powstała wielka wrzawa. Policjanci i oddziały specjalne wylegli z hangarów i innych zabudowań i zbrali się na podwórzu zapowiadając jakiś nadzwyczajny spektakl...

— Mój Boże, ależ to szalenie! — krzyknął komisarz. — To wszystko jest zbutwiałe!

Z miejsca, do którego teraz dotarli, profesor i komisarz zobaczyli, co wywołało ten długi okrzyk zdziwienia i przerażenia u tropiących administratora. Postanowił on bowiem, ciągnąc za sobą zakładniczkę, pokonać wąskie, widoczne na zewnątrz metalowe schodki, wznoszące się wokół zbiornika z gazem, zakończone małą blaszaną platformą na wysokości czterdziestu metrów nad ziemią. Pod ciężarem szaleńca i jego ofiary schodki, których stopnie, wąska poręcz i zamocowujące śruby przeżarte były rdzą, chwiały się grzechocząc. Uszkodzone kawałki blachy odrywały się i ze świstem spadały w dół, lądując wśród gęstniejącego bez przerwy tłumy. Do policji i do C.R.S. dołączyła teraz ekipa pogotowia ratunkowego, która nie tracąc z oczu widowiska przygotowywała na wszelki wypadek nosze i aparaty do kroplówek.

Krzyk wstrząsnął zgromadzonymi. Dolna część scho-



dów właśnie się oderwała i runęła na ziemię i niemiłosiernym hałasem. Tak więc niemożliwy był już pościg za Lepchotem, który mimo widocznego zmęczenia pospiesznie kontynuował wspinaczkę. Potykał się co kilka stopni, a wszelkie wstrząsy stanowiły coraz większe zagrożenie dla reszty schodów.

— W oczekiwaniu na strażaków poleciłem rozłożyć na ziemi wokół małej platformy materace. Mam nadzieję, że wystarczająco złagodzą uderzenie na wypadek... — powiedział komisarz.

— Z tak wysoka to niemożliwe — odparł przygnębiony Jacques. Dziwił się sobie, że nie stracił jeszcze zimnej krwi, że nie tonie we łzach i nie rozdrapuje twarzy.

. Czuł w sobie jakąś niewytłumaczalną, zadziwiającą ufność.

Lepchot rzucił Annę na platformę, która zatrzęsała się i niepokojąco nachyliła. Jedna ze śrub, przytwierdzających ją do gazometru, wypadła. Administrator położył się obok Anny usiłując złapać oddech. Wiedział, że jest zgubiony i żadne pertraktacje nie zdadzą się na nic. Było już za późno. Profesor go zdradził i oddał zeszyt w ręce policji. Zło dokonało się. Pozostawała mu jedynie zemsta. Anna i on zginą razem. Jego ofiara słabo oddychała, zdjęta przerażeniem zamknęła oczy, obojętna na wszystko, byle nic nie widzieć.

Lepchot przyjrzał się dziewczynie. Nikczemny uśmiech pojawił się na jego ustach. Oparł się jedną ręką o krawędź platformy, drugą zaczął podnosić Annie sukienkę. Gdy poczuła na swoim udzie wilgotną, rozgrzankowaną rękę szaleńca, nie zastanawiając się, gwałtownym ruchem usiłowała zepchnąć Lepchota w przepaść. Ten w odruchu rozpaczycy uczepił się poręczy, która w całości niemal przeżarta przez rdzę pod wpływem ciężaru oderwała się. Zdażył jeszcze rozpaczliwie uchwycić się platformy i powoli wdrapał się na nią dzięki silnym przegubom., Czterdzieści metrów niżej widzowie tych przeraża-

jących akrobacji wstrzymywali oddech. Gdy administrator manewrował walcząc o życie, Anna nie odważyła się ponowić pchnięcia. A przecież mogła się go pozbyć na zawsze. Ale tym razem towarzyszyłaby temu intencja zabójstwa i Anna obawiała się obciążać sumienie, gdyż jak sądziła, nie wyjdzie z tego cało, a gdyby jakimś cudem stało się inaczej, musiałaby się stawić przed Najwyższym Trybunałem.

Administrator widocznie rozumował inaczej... ponieważ gdy tylko znalazł się obok Anny, leżąc częściowo na niej, ponowił swoje obraźliwe gesty. Dziewczyna broniła się, chciała uderzyć go w twarz. Ta szamotanina nadwreżyła jeszcze bardziej platformę, która o mało co nie oderwała się od zbiornika.

— Nie ruszaj się — syczał Lepchot — bo obydwójce zginiemy!

Anna posłusznie znieruchomiała. Dopóki żyje, istnieje jakaś szansa... Pomyślała, że pewnie ją zgwałci. Znieść coś takiego, i to na oczach zgromadzonego tłumu, wydało jej się okrucieństwem, ale perspektywa natychmiastowego upadku w przepaść wydała jej się nie mniej przerażająca. Czy lepiej było przeżyć zhańbiona, czy zginąć jako dziewica-męczenniczka? Przez szpary w podłodze zauważyła nagle strażaków wciągających na podwórze wielką drabinę. I to pomogło jej podjąć decyzję...

Lepchot jedną ręką dobierał się do niej, drugą usiłował uwolnić się od swoich ubrań. Anna sparaliżowana strachem, ale zdecydowana nie ruszać się, była przygotowana na fatalny cios. Nadszedł jednak nie z tej strony, skąd się spodziewała... Pod wrażeniem tego nieoczekiwanego poniżenia i wywołanego nim oburzenia Annę opuściła wszelka ostrożność i zebrawszy siły zrzuciła z siebie Lepchota, Jednocześnie okładała go pięściami i kolanem nie zważając na złowieszcze skrzypienie platformy.

— Świnia! — wybuchnął Lepchot rozwścieczony z powodu tej ostatniej zniewagi.

W odruchu wściekłości, tracąc głowę, zacisnął się z zimną ręką na szyi dziewczyny. Natychmiast zaczęła się dusić. Przez myśl przemknęły jej wszystkie sceny, jakie rozegrały się w domu „Pod Koszuszki Kwiatami”, kiedy to symulowane duszenie, było nagle przerwane. Na moment przed utratą świadomości podskoczyła: — Florentine! Florentine. Na pomoc! - wrzasnęła. Te słowa uderzyły Lepchotę, jakby otrzymał kulę w pierś. Jego ręce rozluźniły się, zatoczył się do tyłu i wymamrotał coś niewyraźnie. W tej samej chwili platforma gwałtownie podskoczyła. Stracił równowagę, zachwiał się i z wyrazem głębokiego zaskoczenia na twarzy runął w przepaść.

Wylądował na materacach, które znajdowały się o czterdzieści metrów niżej, Zdawało się, że nie były wystarczająco grube...

— Chyba, że umarł ze strachu — powiedział komisarz.

Wielka drabina strażaków skierowała się ku Annie.

## Zeszyt przemówił

Anna, zaledwie powróciła do swojego rodzinnego gniazdka, zdawała się nie pamiętać o tragedii, jaką dopiero co przeżyła.

Jej ojciec nie ukrywał ulgi. Obawiał się bowiem, że konieczne będzie długie leczenie u psychiatry.

— Jestem pełen uznania dla ciebie — powiedział — można by pomyśleć, że nic ci się nie przydarzyło.

Jesteś prawdziwą Joanną d'Arc.

— Nie ma w tym żadnej mojej zasługi — odpowiedziała spokojnie Anna. — Tak naprawdę nigdy się nie bałam. Czułam się otoczona jakąś tajemniczą opieką. Wiedziałam, że zostanę uratowana. Nie czułam się zagrożona, może jedynie wtedy, jak ten łajdak próbował mnie udusić. Ale zaraz Florentine przyszła mi z pomocą.

— Florentine? Kto to jest Florentine?

Anna przypomniała sobie teraz, że nigdy nie wspomniała ojcu o czarnym zeszycie i o tym, co w nim wyczytała. .

Czy powinna mu teraz wszystko opowiedzieć, skoro tragedia została zażegnana?

Podczas gdy Anna rozmyślała nad tym wszystkim, Jacques nie mógł uwolnić się od dręczących go pytań, dotyczących morderczych zapędów Armanda Lepchot...

Dopiero Piotr położył kres ich rozterkom, gdy odnalazł na kredensie, pod stosem talerzy, czarny Zeszyt pobrudzony gipsem, który Helena Bordineau położyła tam z myślą, że go później wyczyści.

— Ależ to ten zeszyt, który znalazłem w piwnicy! — krzyknął wydostając go.

— Oczywiście, to ten! — wykrzyknęła z kolei Anna. Musieli się wytłumaczyć. Wtedy to Jacques Bordineau

dowiedział się — ze zdziwieniem, a także ze skruchą — wszystkiego, co córka starannie przed nim zatajała z obawy, by go nie zirytować. O jej pierwszym spotkaniu z administratorem w pobliżu parku. O odkryciu czarnego zeszytu w pokoju Piotra. I o próbie odebrania go przez administratora podczas nocnego wtargnięcia do jej pokoju.

— A tymczasem zeszyt jest tutaj! — zdziwił się Jacques. — Dlaczego Lepchot sądził, że to ja go ukrywam?

— Znalazłam go w pokoju Anny, był zaklinowany między ścianą a nogą łóżka — wtrąciła Helena Bordineau.

— Ach, teraz wszystko jest jasne. Byłam przekonana, że administrator sobie go zabrał. Tymczasem zeszyt wślizgnął się między ścianę a łóżko. Nic dziwnego, cisnęłam, go gwałtownie pod łóżko i uciekając w panice porwałam prześcieradło, pozrzucałam poduszki.

Jacques nie słuchał dalej, gorączkowo przeglądał zeszyt. W nim tkwił bowiem klucz do tajemnicy. Cała rodzina skupiła się wokół niego, słuchając lektury. Doszedł do momentu, w którym Annie przeszkodziło wtargnięcie Lepchota.

— W tym właśnie miejscu zatrzymałam się — powiedziała — w momencie, kiedy właścicielka umieściła Florentine w. pokoju, a po zejściu do salonu stwierdziła, że niejaki L. zniknął.

Jacques czytał, co nastąpiło dalej:

„...Gdzie on się podział? — zapytałam barmana. Ten odpowiedział, że poszedł na górę; Czego tam szukał?... Florentine!... Przypomniałam sobie natychmiast obłudny wzrok, jakim ten opętaniec, ten bezwstydnny zboczeniec obrzucił Florentine, gdy wchodziła po schodach, wpatrując się szczególnie w jej chłopięcy tyłek. Gdy zamierza-

łam udać się na piętro, by zobaczyć, co ten typ kombinuje, doszedł stamtąd hałas, a po nim przeraźliwy krzyk. Barśnan i obeoii przy tym klienci podnieśli głowy, zdumieni. Uspokołam ich gestem. Często zdarzało się, że klienci kłócili się z dziewczynami, a nawet wymierzali ciosy. Poza tym dziewczęta awanturowały się z byle powodu. Może dlatego, że najmniejsze dziwactwo W zachowaniu klienta przywołuje im od razu na pamięć Okrutne historie o uduszonych albo rozprutych nożem prostytutkach. Mimo to krew zastygła mi w żyłach i kosztowało mnie dużo wysiłku, by spokojnie pokonać schody. Kiedy otworzyłam drzwi pokoju, to, co zobaczyłam, było tak przerażające, że do dziś nie wiem, jakim cudem zachowałam na tyle zimną krew, że powstrzymałam się od wycia. Nieszczęsna Florentine leżała w poprzek łóżka, jej ubranie było potargane. Twarz miała kolor fioletowy, wyciągnięty język był czarny, oczy w słupek. Siady palców na szyi wskazywały, co jej się stało. Morderca L. leżał w fotelu osłupiały i bełkotał:

»To nie moja wina, nie wiem, co mi się stało. Ja chciałem...chciałem...ona nie chciała... Krew uderzyła mi do głowy.«

Dobrze wiedziałam, czego chciał i czego zazwyczaj żądał od moich dziewcząt, przeważnie na próżno... Gdy odmawiały, M.L. nieodmiennie dawał przedstawienie prawdziwych ataków nerwowych. Dziewczęta krzyczały: Idź sobie do swoich chłopców! Dlaczego nas tu nachodzisz? Zdaje się, że to właśnie lubił, brać od tyłu! Tymczasem monstrum śliniło się w fotelu, nie czas był na filozofowanie. Na szczęście jestem kometą zdecydowaną, to niezbędne w moim zawodzie. Sytuacja była jasna. Zbrodnia w moim lokalu oznaczała zamknięcie, prawdopodobnie definitywne, a zatem bankructwo. Nikt z personelu nie znał Florentine. Nawet jej imienia. Można ją było potraktować jako gońca. Dziewczyna, która podesłała ją do mnie, na pewno nie zainteresuje się dalszym jej

losem. Nie miała dokumentów ani ładnych krewnych. Niewykluczone, że uda mi się opanować sytuację i tragedia pozostanie tajemnicą -r straszną tajemnicą — między mną a mordercą.

Zamknęłam go w pokoju z trupem. Zeszłam do salonu i poleciłam barmanowi, żeby puścił wśród klientów plotkę, że obawiam się nalotu policji. W okamgnieniu salon opustoszał. Tłoczono się w szatni. Odesłałam barmana. Bez trudu przekonałam dziewczęta, żeby zamknęły się w małym salonie na parterze: »Być może, że przychodzą sprawdzić tylko moje papiery, całą dokumentację, ale lepiej, żeby was nie widzieli\* — powiedziałam. Zamykały się prawie z własnej inicjatywy, tak mało mają sympatii dla glin. W ten sposób pozbyłam się wszystkich świadków; pobiegłam do ogrodu, z szafy ogrodnika wyjęłam łopatę i motyczkę... Nie mam odwagi dalej opowiadać. Była to najstraszniejsza godzina w moim życiu. O mało co nie dostałam ataku nerwowego, gdy po powrocie do salonu zobaczyłam, że M.L., który nie zadał sobie trudu, by wytrzeć buty, zostawił wyraźne ślady z błota na dywanie.

Następnego dnia poinformowałam go o istnieniu zeszytu i co w nim zanotowałam o wydarzeniach ostatniej nocy. Powiedziałam mu również, że umieściłam go w miejscu nie do odnalezienia. Wpadł w furję i domagał się, żebym wyciągnęła zeszyt i zniszczyła w jego obecności. Absolutnie się na to nie zgodziłam. Zeszyt jest teraz moją jedyną bronią przeciwko niemu i sędziom, gdyby zaczął o tym rozpowiadać. Mam przynajmniej gwarancję, że tego nie zrobi. Tak więc chyba wyjdę z tego cało." Po skończeniu lektury cała rodzina pozostała w milczeniu. Wszystko wydawało się teraz tak jasne, że niepotrzebny był żaden komentarz.

Musimy teraz rozważyć, czy przekazać ten dokument komisarzowi odezwała się wreszcie Helena Bordineau.

— Wykluczone! — wykrzyknął Jacques. — On nie chciał mi nic wyjawić z akt administratora, więc ja mu nie przekażę swego dokumentu.

— Ale pomyśl, że tylko on może potwierdzić, że M.L. to właśnie Armand Lepchot — zaproponował Piotr.

— Wystarczającym dowodem jest zawziętość, z jaką starał się odzyskać zeszyt. To dlatego objął administrację domu. Musiał go wszędzie szukać. Tak czy inaczej byłbym głupcem<sup>^</sup> gdybym dał znać policji o istnieniu czarnego zeszytu; Rozpoczęliby śledztwo w sprawie zniknięcia Florentine, mielibyśmy same kłopoty...

— Nie mówiąc już o tym — dodała Helena bardzo wzburzona — że przewróciliby ogród do góry nogami i zniszczyliby mi wszystkie kwiaty i sadzonki.

Piotr nie był zbyt przekonany.

— Jakim cudem komisarz zdobył jakieś informacje na temat tej sprawy. Przecież nikt nie mógł przeczytać tego zeszytu, dobrze ukrytego w piwnicy.

— Należy przypuszczać, że barman rozgadał w kawiarni albo gdzie indziej o tym burzliwym wieczorze, o tajemniczym krzyku, o groźbie nalotu. To ostatnie mogło zastanowić policję, która nie planowała na ów wieczór żadnej łapanki — odpowiedział ojciec.

— Dlaczego Lepchot tak bardzo zabiegał, żeby zniszczyć zeszyt? — dociekał Piotr. — Skoro cała sprawa była przedawniona, jakie mogło mieć znaczenie to, co on zawierał.

— Przedawnienie nie zmazuje hańby!

— Niech będzie, to trzyma się kupy, dajmy temu spokój — powiedział Piotr. — W każdym razie, biedna Florentine.

— Pomyśleć, że jest pochowana tu w ogrodzie, niedaleko mojego okna — powiedziała Anna.

— To mało prawdopodobne. Dawniej ogród rozciągał się znacznie dalej, daleko poza dzisiejsze granice. To był prawdziwy park. Później jego największa część, najbar-



dziej oddalona od domu, została rozparcelowana. Tak więc jest bardzo możliwe, że ci potajemni grabarze pochowali Florentine jak najdalej się dało od domu „Pod Koszem z Kwiatami”, to znaczy w części zabudowanej później.

— W takim razie znaleziono by ciało przy kopaniu fundamentów —powątpiewał znów Piotr.

— Buldożery nie mają oczu — odpowiedział ojciec. I trzeba wziąć pod uwagę sposób, w jaki Florentine została zakopana: bez trumny, może nawet bez całunów. W takich warunkach zwłoki rozkładają się w ziemi całkowicie w ciągu kilku lat.

— Najlepsze, co możemy zrobić, to pomodlić się za nią — zauważyła Helena.

## **Rozgrzeszenie**

Ta refleksja miała dalszy ciąg w uwadze, jaką zrobił profesor Hyperion, gdy w kilka dni później przechadzał się z Jacques'em Bordineau po ogrodzie.

— Cieszę się, że ta psychodrama dobiega końca, pomimo iż w tak okrutny sposób. Sądzę, że szok wywołany przez ten epilog okaże się zbawienny i wyleczy także wasze wykolejone umysły.

— Dziękuję za te „wykolejone umysły”!

— Nie obrażaj się. Każdy na twoim miejscu straciłby rozum. Mimo to utrzymuję — i tu znów się obruszy się — że to wszystko działo się jedynie w waszych głowach.

— Jak to! A śmierć administratora! A czarny zeszyt!

— Nie chodzi mi o to, ale o te wszystkie zjawiska obsesji czy opętania, na które, jak twierdzicie, wszyscy po trochu byliście narażeni w waszym domu. A także halucynacje i przywidzenia, które moim zdaniem dadzą się łatwo wytłumaczyć, choćby przez twoją nieostrożność, jaką było wyjawienie rodzinie, że dom „Pod Koszem z Kwiatami” był dawniej domem publicznym. Stąd wszystko się zaczęło, to jasne.

— Jak zatem wytłumaczysz te dziwne ostrzeżenia, jakie otrzymała Anna... To udawanie duszenia... i to opętanie seksualne, jakie dom nam tak obficie narzucał?

— Dobrze, pójdźmy w tym kierunku, który sugerujesz. Dawne pensjonariuszki domu „Pod Koszem z Kwiatami”, przynajmniej te nieżyjące, a jest ich niewątpliwie większość, sformowane w niebiańskie oddziały kierowały

się dwojakim pragmem: za pośrednictwem mieszkańców domu chciały jeszcze raz przeżyć swoje dwuznaczne przyjemności, posługując się subtelnym nawiedzaniem; a także chciały, przestrzec twoją córkę przed niebezpieczeństwem. Na koniec dodam, że kierowały wami w taki sposób, żeby został odnaleziony czarny zeszyt, a zbrodnia administratora ujawniona i ukarana. To wszystko bzdury, ale jeśli cię to zadowala... Nie wierzę jednak zbyt w tę opowieść. Trzeba umieć żyć z pewnymi tajemnicami, których nauka nie potrafi jeszcze wyjaśnić, i nie próbować przedwcześnie przeniknąć sekretów bogów. Lukrecjusz wypowiadał się na ten temat interesująco. Przyjmij na wzór poety żartobliwą hipotezę, ale za bardzo się w nią nie angażuj. Jeśli w końcu pogodzisz się z tym, żeby odesłać swoje piekielne obrazki do muzeum wyobraźni, będziesz mógł pozbyć się niepokoju, który ciągle jeszcze cię gnębi.

— Gdybyś wiedział, jak bardzo chciałbym móc cię posłuchać — westchnął Jacques.

— Widzę, że jeszcze nie całkiem się wyleczyłeś. Dlatego proponowałbym ci sprowadzić księdza.

— Księdza? — zdziwił się Jacques — po cóż to?

— Żeby odprawił modły nad grobem Florentine.

— Egzekwie, i to ty proponujesz coś takiego! I tak nie wiadomo dokładnie, gdzie jest pochowana.

— Wystarczy odmówić je w ogrodzie. Niekoniecznie musi to być właśnie nad grobem.

Jacques cierpko wyraził zdziwienie, że Hyperion udziela mu podobnej rady. Ten bronił się, iż bynajmniej nie zrezygnował ze swojego sceptycyzmu filozoficznego; rozwinął natomiast błyskotliwie myśl, że czasami znak krzyża, kilka kropel święconej wody mogą być skutecznym placebo dla niektórych osób, które, jak się obawia, mogły się przeziębnić w nieskończonych przestworzach metafizyki.

— Mimo wszystko — powiedział Jacques kręcąc głó-

wą — żebyś ty, ateista, namawiał mnie do sprowadzenia księdza?

— Zapewniam cię, że to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie w twoim interesie. Byłeś mimo wszystko wychowany w religii katolickiej i zawsze gdzieś tam coś z tego zostało. A z całą pewnością w sercach twoich dzieci, których nie zdążyłeś jeszcze nawrócić na agnostycyzm. W niektórych delikatnych przypadkach należy dostosować się do rytuału plemion. Nie zapomnij, że starożytni Rzymianie, pomimo że tak sceptyczni...

— Dobrze znam twoje teorie.

Jacques pomyślał z rezygnacją, że jedynym, do którego mógłby się z tym zwrócić, był ksiądz Florian, częściowo już wtajemniczony w przeżycia lokatorów dOiriu „Pod Koszem z Kwiatami”: Zobowiązano go do zachowania tajemnicy. Przysiągł na Biblię, na pół rozbawiony, na pół zaniepokojony.

Przyszedł któregoś wieczoru, w wielkiej tajemnicy, wdział sutannę oraz komżę, wyciągnął z torby kropidło i małe srebrne wiadereczko, do którego wlał wodę święconą.

— Chce ksiądz, żebym ja to niósł, po tylu latach bawił się w ministranta? — zapytał Jacques, który czuł w sobie jakąś przemianę.

' Był przy tym profesor Hyperion. Nalegał, żeby przyjść. Okazał się bardzo przydatny, jak zresztą w czafeie wszystkich uroczystości religijnych, żegnając się wtedy, kiedy należało, i manewrując kropidłem ze zręcznością dewotki.

W chwili kiedy ksiądz w zapadającym zmierzchu odczytywał łacińskie formułki absolucji— po łacinie, proszę czytać po łacinie", doradzał Hyperion z miną znawcy — jakieś rozproszone światło pojawiło się między drzewami.

— To dziwne — zauważył profesor Hyperion — wygląda jak zorza polarna albo jakiś projektor w chmurach.

— Albo UFO — dodał sarkastycznie Jacques.

Światło uniosło się między drzewami; po czym nagle wspięło się ku niebu i tam zmalowało, stało się małym świecącym punkcikiem, aż całkiem zgasło.

— Zupełnie jak w *E.T.* — powiedziała zamyślona Anna..

— To mogły być też reflektory samochodu — odezwał się znowu Hyperion półgłosem, jakby mówił do siebie.

Po skończonej ceremonii udali się do salonu na parterze, gdzie oczekiwał ich gorący indyk.

Ponieważ zbliża się Boże Narodzenie, przygotowałam wam bożonarodzeniową kolację — powiedziała Helena.

Makabryczne nabożeństwo bynajmniej nie odebrało apetytu pełnemu godności katechecie, który poprosił o udko. Hyperion wołał skrzydełko.

— Benedicite Dominus... — zaintonował ksiądz Florian przypomniawszy sobie nagle, że nie odmówił modlitwy dziękczynnej za indyka.

Wszyscy wstali, opuszczając głowy, by wysłuchać modlitwy. Hyperion nieoczekiwanie wziął bochen wiejskiego chleba i nakreślił na nim znak krzyża.

— Przesadzasz — szepnął Jacques.

— Nie ma potrzeby dodawać „Niech pokój będzie, z wami” — powiedział ksiądz rozsiadając się. — Bowiem wygląda na to, że rzeczywiście szczęście powróciło do tego domu, a spokój zagościł w waszych duszach.

Nikt nie odpowiedział, ale każdy w duchu uznawał prawdziwość tych słów. Piotr i Katarzyna nie odczuwali już w stosunku do siebie tych niejednoznacznych skłonności, które ich tak zaskoczyły, a którymi natchnął ich jakiś tajemniczy obcy geniusz. Anna nie przyjmowała więcej tych przykrych wizyt w swoich snach — przekonano ją, że to się działo w snach... Jacques odzyskał równowagę, którą wydarzenia domowe tak bardzo zakłóciły.

Jedynie Helena nie mogła o sobie powiedzieć, że wróciła do „poprzedniego stanu”, gdyż to, co zostało przed nią odkryte, nie zostało jej odebrane. Ale czyż można było uznać to za nieszczęście?

- Jest więcej rzeczy... — powiedział profesor Hyperion.

—Napijmy się — przerwał Jacques — to dobre wino!

Zdawało się, że wszystko wróciło do normy w domu „Pod Koszem z Kwiatami”.

Jedynie przez moment na czole Jacques'a zagościł cień, gdy zobaczył, jak Helena z nieobecną miną wpatruje się w płótno z Jouy.

- Co tam jest? — zapytał trochę nerwowo. — Na co patrzysz?

- Co? — zapytała Helena podskoczywszy — ależ nic takiego, nic, możesz być pewny.

Wydało mu się, że w jej głosie wyczuwa nutkę fałszu. Może to tylko wrażenie...